N d 21

Zwolski

WSPOMNIENIA Z ŻYCIA ŁOWIECKIEGO

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

UR. 26. IX. 1816 — † 20. X. 1889

Fotografja z r. 1885.

Podobiznę fotografji i podpisu wzięto z pracy W. Ziembickiego: «Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego z zakresu przyrody, łowiectwa i gospodarstwa». Łowiec 1927.

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

WSPOMNIENIA
Z ŻYCIA ŁOWIECKIEGO

WYDANIE DRUGIE

LWÓW
NAKŁADEM MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA
ŁOWIECKIEGO

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

«Wspomnienia z życia łowieckiego» zajmują naczelne miejsce wśród tych utworów Kazimierza hr. Wodzickiego, które były poświęcone myślistwu. Na te «Wspomnienia» złożyły się artykuły, drukowane w trzech pierwszych rocznikach «Łowca», mianowicie:

1. Wspomnienia z życia łowieckiego. O wilkach. «Łowiec» 1878.

2. Wspomnienia myśliwskie. Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach. «Łowiec» 1879.

3. Wspomnienia z łowów na dziki. «Łowiec» 1880.

Cykl ten, staraniem redakcji «Łowca» został następnie (1880) wydany w postaci książkowego przedruku, ale nakład ograniczony i czas sprawił, że jest to dziś wielka rzadkość bibljograficzna.

Dlatego też Małopolskie Towarzystwo Łowieckie przystąpiło obecnie do ponownego wydania. Niech ono będzie zarazem pamiątką

50-letniej rocznicy istnienia «Łowca». Powtórzenie wspomnień jednego z najznakomitszych tego czasopisma współpracowników, który przed laty 50-ciu na jego szpaltach dzielił się z Bracią myśliwską swemi niezrównanemi wrażeniami, uważaliśmy za najlepszy sposób uczczenia tej rocznicy.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie.

We Lwowie, w grudniu 1928.

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIE W KARPATACH

Stary czy młody myśliwy, przeczytawszy zapiski A. Barthelsa, w «Łowcu» umieszczane, uczuł wdzięczne uczucie, rozswobodził umysł, wniknął w duszę znakomitego autora, polował wraz z nim, Litwy zapragnął, a gdy skończył wielce zajmujące czytanie, żal i tęsknota go ogarnęła, gorąco pragnął dalej z nim polować — jeszcze go słuchać. Jak mistrzowski obraz przemawia do widza, cieszy się, boleje i żale wypowiada, tak te obrazki *Tygodnia poleskiego,* łowów na wilki i niedźwiedzie na Litwie, pełne prawdy, prostoty i świeżości, wryte w pamięci, towarzyszą myśliwemu i ubarwiają mu smętne i pełne niepokojów życie polskie, z którego szatan systematycznie wydala swobodę, miłość, zgodę i pomyślność. To też szczerze wyznajemy, że polowanie jest wielkiem dobrodziejstwem, obdarzającem człowieka skarbem swobody i odpoczynku umysłowego, jest to zdrój, z którego czerpiemy ów prawdziwy klejnot życia — swobodę. Śród lasów, w polu, na bagnach, umysł swobodny jak z więzów otrząsa się z trosk, usuwa niepokoje, leczy dolegliwości, i usiłuje ześrodkować myśli

i uczucia w jednym kierunku. Jest to fascynacja, zmagnetyzowanie, idealizowanie człowieka, jest to absorbowanie umysłu — wyrwanie chwilowe z kolei życia. Znałem starych, zużytych rozkoszników, pijących pełną czarą rozkosze życia bez wytchnienia i hamulca, którym wreszcie, jak to mówią, przejadło się życie, a nudy ogarnęły umysł, u których zniszczył się organizm, wyschło wszelkie w sercu uczucie i żaden już im promyk więcej nie świecił. To czarna noc przedwczesnej starości! Takich ludzi zimnych już i martwych dla każdej życia rozkoszy, widziałem radośnie drżących na widok lisa, rogacza, a nawet nie ponętnego szaraka, polowałem z tymi młodymi starcami, noszonymi i prowadzonymi, i przekonałem się, że namiętność polowania pokonała wkońcu wszystkie inne. Z przekonania, opartego na doświadczeniu, twierdzę, że namiętność myśliwska uspokaja, uszlachetnia człowieka, rozjaśnia umysł, tępi złe skłonności, podnosi uczucie, nadaje swobodę i stwarza trzeźwą i zdrową myśl. Częstokroć stojąc wobec olbrzymich starodrzewów, lub wobec tajemniczych gąszczów, nad głębokiemi jarami, świadkami kataklizmów przyrody, pamiątkami zniszczenia, nie mogąc pohamować pracy myśli, marzyłem i dumałem nad krajem i społeczeństwem naszem, nad zawziętością stronnictw, namiętnościami politycznemi, nad tą źle zrozumianą mi-

łością własną, upajającą człowieka, nad próżnością, paraliżującą pracę umysłową, — nad tą namiętnością sobkostwa, pochłaniającą w swojem ja społeczeństwo, i wysnułem poglądy na nasze sprawy i sterników, chcących stworzyć bałwany na spokojnem morzu, niecierpliwych, szukających jak nawalniki pożywienia w rozhukanej burzy, a nie w wolnej i nieustającej pracy. Dumając i marząc w oczekiwaniu zwierza, mimowolnie wzrastało we mnie przekonanie, iż, gdybym tych nawalników mógł z sobą zabrać w niedostępne bory, zanurzyć ich w skarbach przyrody, oswobodzić ich umysł, wzbudzić wzruszenie i zaszczepić chęć do polowania, to zdaje mi się, że stopniowo jadby ustępował, namiętności stygły, i zwolna miłość bliźniego ogarnęłaby ich duszę, a za nią pojawiłoby się porozumienie, wyrozumiałość, pobłażanie i ta zgoda, jedyne niezłomne ogniwo społeczeństwa.

Wyjąwszy kłusowników, będących złodziejami i rozbójnikami, nie znałem złych ludzi, w pełni tego znaczenia między myśliwymi, zawsze wykrywałem w nich uczucie i swobodę umysłu, niejeden zanadto bywał ciekawy widzieć dno butelki, lecz i wtedy sprawdzało się przysłowie: *in vino veritas,* widziałem serdeczność, dobre chęci i usposobienie bez zawiści, trującej stosunki. Z prawdą nie byli w zgodzie, a im bardziej wyziewy trunków cisnęły na

umysł, tem więcej się ona od nich oddalała, ale te przesady, kłamstwa i ubarwienia jaskrawe nie przynosiły nigdy szkody bliźniemu, a miały urok poezji, blask świeżości, wzbudzały ciekawość w tej gmatwaninie prawdy z łgarstwem. Dziś dla nich już pole ciaśniejsze, bo teraz polowania wspólne, przy świadkach w przetrzebionych kniejach — to inna scena; lecz dawniej z psami, ze zdrowemi nogami łatwo było na cały dzień zniknąć, a wieczorem opowiadać cuda z tysiąca i jednej nocy, naśladować opowiadania księcia «Panie kochanku» lub Münchhausena, być rycerzem niezwalczonym, strzelcem najcelniejszym, pogromcą grubego zwierza. Minęły już czasy samoistnych myśliwych, niepodległych strzelców, a z nimi usuwa się tradycyjne kłamstwo przy wesołej wieczornej biesiadzie z szyderczym uśmiechem lub złowrogim szeptem.

Jeszcze niedawno, bo ledwie lat temu siedm, ciągnąłem w góry z psiarnią, końmi, wozami i strzelcami, w celu szukania dzików i niedźwiedzi, bawiąc w lasach po dwa tygodnie, żyjąc życiem koczowniczem, często o głodzie i chłodzie, i ten zawód myśliwski wykonywałem przez lat dwadzieścia i jeden. Cóż dziwnego, że się w pamięci nagromadziło wspomnień krocie i dramatycznych i krotochwilnych, że mi się snują obrazki rozliczne jasnego i ciemnego kolorytu, że mi umysł ubarwiają,

przenosząc całe moje jestestwo w te chwile swobody, rozkoszy, bez trosk, kłopotów i zgryzot, w ten czas rzeczywistych wakacyj i odpoczynku umysłowego. Dziś jeszcze, ze szronem na głowie, to wspomnienie mnie elektryzuje, tęsknota ogarnia, i pragnę gorączkowo tej walki, tego spotkania i mierzenia się ze zwierzem, mieszkającym w puszczach gór. Jak niewiasta w późniejszym wieku z upodobaniem przypomina sobie rumieniec, koralowe usta, krągłość kształtów i ubóstwianą niegdyś kibić swoją; tak i ja wyryłem w pamięci mojej niejednego odyńca i niedźwiedzia, tęsknię za temi łowami, które mi już nie ubarwią życia. Prawda to wielka, że się zmieniają czasy i my z niemi, lecz rozumny i dojrzały mąż umie się do nich zastosować, jego nie porwie z sobą tegoczesny prąd destrukcyjny.

Z opowiadań i skrzętnie zbieranych danych o niedźwiedziach w zabranych naszych prowincjach przekonałem się, że tam istotnie inne jest usposobienie niedźwiedzi, inne zwyczaje, wynikające ze systematów polowania, z położenia dziewiczych lasów, zabezpieczających spokój grubej zwierzynie. Wierzę doświadczeniu, na prawdzie opartemu, więc autorowi polowania na niedźwiedzie na Litwie. Na stronie 155 «Łowca» w Nrze 10-tym z. r. pisze on: «Przy tej okoliczności, jak przy każdej innej, czuję się w obowiązku przemówić przeciw

przesądowi, który dla wielu stał się rodzajem pewnika, że niedźwiedź atakuje człowieka na dwóch tylnych łapach. Jest to naprzód najzupełniejszym fałszem, a powtóre niema najmniejszego sensu» i t. d.

Otóż moje doświadczenie wykazuje odrębny zupełnie sposób atakowania niedźwiedzia; nie twierdzę, że tenże na tylnych łapach kroczy za człowiekiem, lub go goni, on, zbliżywszy się na krok lub dwa, siada, sięga łapą, targa, kaleczy i obala na ziemię. Miałem groźne wypadki z dwoma niedźwiedziami, obydwa przyskoczyły do mnie, stanęły na tylnych łapach i sięgały po głowę moją. W Karpatach węgierskich zdarł niedźwiedź leśnikowi skórę z głowy, stojąc na zadzie w naszych oczach. Za hucułem goniła niedźwiedzica, dopędziła go i z niepojętą zręcznością zdarła mu guńkę, stojąc na tylnych łapach. Rozwścieklona niedźwiedzica od piastuna, wpadła między siedmiu rozstawionych gońców, siadła, powstała i zmasakrowała dwóch przerażonych biedaków, z których jeden umarł. Również w moich oczach niedźwiedź, obsaczony przez pięć psów, ugodzony przez górala toporkiem w kark, jednym skokiem dosięgnął napastnika, dźwignął się, potknął, a chybiwszy głowę, zdarł do kości skórę od biodra do kolana, i padł na swą ofiarę. Szybkość tego ruchu, zjednoczenie się tych dwóch istot, były tak nagłe, że pomimo mej

broni, zimnej krwi, bliskości, pomimo że byłem przygotowany do strzału, nie mogłem, niestety, uratować człowieka! — Niedźwiedź, według mego doświadczenia, więcej używa łap i pazurów, jak zębów, nawet do psów siada i łapą chwyta, ciągnie pod siebie, lub cisnąc do piersi, gniecie i gruchocze kości. Straciłem niejednego znakomitego psa, *chevalier sans peur*, nigdy od zębów, lecz zawsze od łapy, zgniecionego z zdruzgotanemi kościami, lub wskutek wyrwania szmatu mięsa i krwiotoku. Rozliczne wypadki z mego myśliwskiego życia dowodzą, że niedźwiedź atakuje, dźwignąwszy się na tylne łapy, a powaliwszy wroga, targa i kaleczy pazurami i zębami. Dwa zdarzenia przypominają mi się o goniącym na czterech łapach niedźwiedziu, raz pędził za psiarczykiem moim, powalił go łapą i pobiegł dalej, drugi raz w szybkim biegu bił łapą psy tak silnie, że z nich najlepsze trzy zaprzestały pogoni, i przez długi czas gonić nie mogły nawet dzików. W Polanicy niedźwiedź gonił starego pobereżnika, wytrawnego myśliwca. Było to w r. 1851. Nim uciekający dobiegł do buka z konarami, niedźwiedź stanął na tylnych łapach, powalił go uderzeniem przedniej łapy, siadł i zadał mu w siedzibę kilkanaście uderzeń, nie skaleczywszy go wcale, pazury tylko znać było bez krwi. Niedźwiedź jednak tak mocno bił, że jego ofiara powstać nie mogła i całą zimę przele-

żała, pomimo, że w organizmie nic naruszonem nie było.

Przed dwudziestu niemal laty stara, bura niedźwiedzica przed naganką wzięła w łapy piastuna, posadziła go na rosnącym horyzontalnie konarze, i dała się spokojnie gonić, a wyszedłszy na dosyć szeroką linję i zobaczywszy dwóch myśliwych, dźwignęła się na tylnych łapach, wlepiła oczy w najbliższego myśliwego i straszliwie mruczeć poczęła. Czyby dźwignięta była kroczyła tych kilka kroków, nie mogę zapewnić, celny bowiem strzał powalił ją przedtem, a chłopcy nam przynieśli czarnego mamzera.

Niedźwiedź lubi się dźwigać na tylnych łapach, i uczy młodych tego ruchu, spina się do malin, orzechów, dzikich gruszek i jabłek, chodzi wyprostowany od krzaka do krzaka, nawet, o ile moje doświadczenie sięga, jest on do trzeciego roku znakomitym gimnastykiem i włazi na drzewa za owocami, obtrzęsie gałęzie, a widząc rezultat swej pracy, złazi, zbiera, a siedząc na zadzie, pożera, niosąc przedniemi łapami pożywienie do paszczy.

Mam nadzieję, iż nie znudzę czytelników myśliwych szkicami dawnych polowań moich, a to tem mniej, iż one zmieniają się i przeistaczają już to z powodu majątkowych naszych stosunków, już też dla rozlicznych zatrudnień, krępujących nasze życie, nie dozwalających

dalszych i długotrwałych wycieczek, a, niestety, nie zanosi się w naszym kraju na materjalne polepszenie i zdobycie swobody. Los mi na tych polowaniach nie sprzyjał, gwiazda powodzenia nie świeciła, a często niepowodzenie trafiło przy znacznych kosztach i stratach. Istne to cierpienie Tantala — być bliskim osiągnienia celu, który się znowu na rok cały usuwa. Kilkakrotnie w chwili ściągnienia cyngla, rzucili na mnie urok Hubert, Diana i Nemrod i jakoby zaklęty lub oczarowany strzelić nie mogłem. Dziwne, iż tak srogie zawody przeżyć mogłem!

I

Było to jeszcze w r. 1839, dzierżawiłem wówczas na lat sześć polowanie w górach Karpackich nad Preszowem, w okolicy dzikiej, poprzerzynanej głębokiemi debrami — w lasach dziewiczych, niedostępnych, nie znających odgłosu topora. Urocze niebo, góry stykające się z chmurami, istny Olimp bez bogów, w dolinach snujące się srebrzyste strumienie w ramach kwiecistej murawy! Nie było tam drobnego zwierza, nie było grubej zwierzyny, lecz co się uchowało, rozrastało się w olbrzymie rozmiary, istne przedpotowe potwory. Odyńce tam żyły z groźnemi szablami, z czubami na głowie, z grzywą rzeczywistą na krzyżach, pod-

niesioną do góry, — był pojedynek tak rozzuchwalony, że od psów nawet nie trapiony, rzucał się na ludzi, baby i pastuszków, szukał człowieka, aby z nim walkę stoczyć, i to w biały dzień. Najodważniejszemu drgało serce, a nieraz najciętsze psy wzięły ogony pod siebie i przyznały się do tchórzostwa. Żyły tam niedźwiedzie czarne i bure, a rogacze tak duże i szerokie w krzyżach, jak daniele. Nie jedne łowy odbyłem w wesołem towarzystwie, dobrawszy sobie dwóch miejscowych Węgrów, właścicieli wielkich lasów, nie przynoszących żadnego dochodu, i wspólnie z doskonałymi przewodnikami włóczyliśmy się po lasach, nie znających prawie stopy ludzkiej. Wtedy to jeszcze większa część Madziarów nie używała węgierskiej mowy, i mówiła po łacinie i po słowacku. Moi Węgrzy zawsze szwargotali Cicerońską mową, a pomimo, że ukończyłem szkoły, i nie mało naślęczałem nad łaciną, nie rozumiałem moich towarzyszów, i to mnie doprowadzało do gorączkowej drażliwości.

Na lekkiej ponowie w grudniu, tropiciel, nocujący w lesie, oznajmił nam, że niedźwiedź jest krótko otropiony (a nie był jeszcze w gawrze), i że bez psów ludźmi go wypędzimy, bo grzbietem góry ku werchom iść musi, a ku wsi cofnąć się nie może. Jak powiedział, tak się też stało, rozstawiliśmy się wzdłuż szczytu, ja jako młokosik, stałem ostatni, a koło mnie stary po-

bereżnik, zwany Niedźwiedziarzem. Góra ta zagęszczona, poprzerzynana głębokimi jarami i odwiecznemi wypłuczyskami, z ostrym spadkiem i ruchomemi, olbrzymiemi kamieniami. już w duszy myśliwego obudzała wzruszenie. W okolicy tej noszą górale krótkie kożuszki, które podczas słoty i polowania w zaroślach, wywracają włosem do góry, nakrywają głowy i zasłaniają twarz. Jak dziś, pamiętam, stałem pod odwiecznym bukiem, walczącym przez wieki ze śnieżnicami i górskiemi burzami, obrośniętym mchami, hubkami i gulami, z dziupłami i poodmrażanemi konarami. Pamiętał on pewnie pobratanie Węgrów z Polakami, o czem pierwsi dziś widocznie zapominają. Naganka tam odbywa się niemal z busolą, którą każdy góral nosi w głowie, miot, co do przestrzeni nieobrachowany, częstokroć wynoszący tysiąc morgów, czas trwania nieskończony. Nareszcie zagrzmiała trąbka, zahuczał róg, ozwali się górale, i polowanie się rozpoczęło. Niebawem słyszę trzask, łomot suchych gałęzi, przewracanie kamieni i toczenie ich w dół łożyska. Urocza chwila, wyższy nastrój duszy, nerwy gdyby struny wytężone, odbywa się walka krwi i namiętności z rozwagą i rozumem, aby zdobyć w organiźmie potrzebny spokój do celnego strzału i zabezpieczenia swego życia. Przedemną w jarze wznoszą się dwie porosłe kłody, na nich spoczywa odłam skały

z ostatniego przewrotu przyrody, wesołe świerki szumią w tej pustyni, gdyby eolskie arfy, a ja oparty o starca drzewnego, z biciem serca słucham, czekam, i słyszę szept mej duszy, że już wzruszenia dłużej nie wytrzyma. Łomot, trzask trwa już dosyć długo, dla mnie jakby wieczność całą, wreszcie z pomiędzy świerków wychyla się łeb niedźwiedzia, zatrzymuje się chwilkę, wysuwa się cały zwierz i siada. W tejże chwili, gdy wolno strzelbę podnoszę, i mam ją już blisko twarzy, mój niedźwiedziarz, stojący obok mnie o 40 kroków, woła półgłosem chrypliwym: Szymku, dlaczego odbiegłeś obławę, wróć się zaraz! Niestety Szymek niedźwiedź tą samą drogą pomiędzy świerkami przeskoczył kłodę, i — tylem go widział. Nie zemdlałem, nie ponieśli mnie do grobu, lecz srogo ten zawód przebolałem, w nieutulonym żalu przeżyłem zimę całą, i dziś jeszcze po 40 latach na to wspomnienie wzdryga się dusza moja.

W r. 1858 miałem w Korczyńskich lasach miot, jakiego w annalach myśliwskich nie łatwo znaleźć, i już mi się takie polowanie pewnie w życiu nie nadarzy. Było to w październiku, śniegi okryły szczyty gór, a leszczyna obrodziła obficie. W krzakach nad dworem, śród pasącej się licznej trzody, śród okrzyków i tonów fujarki, ogniów i dymów, hałasu i wrzawy, zebrały się na przestrzeni nie wynoszącej 150

morgów, dwa niedźwiedzie, dwa odyńce, dwa wilki, samura z czterema maleńkiemi warchlakami, z pewnością zdziesiątkowanemi przez wilki, nie wspominam już o lisach i zającach. Gdy obława ruszyła, padły pierwsze strzały do wilków, wynoszących się skrzydłem, później do samury, a my, stojąc na szczycie góry, od granicy z kolegą nie widzieliśmy nic. Wtem po chwili słyszę tętent jakby kilku koni, i dwie duże czarne postacie pędzą koło mnie gęstwiną jodłową, widzę je, ale nie mogę rozpoznać, — tętent trwa dalej, zbliża się, wreszcie widzę dwa duże dziki, sunące na mnie na sztych, — strzelam, wali się dzik, powstaje i siada, zmuszony byłem ugodzić go drugą kulą. Zanim pochwycić zdołałem drugą strzelbę, opartą o drzewo, dzik drugi przebiegł około nóg moich i zanurzył się w gąszczu. Cisza chwilowa, potem słyszę szelest i widzę, jak na pana Ignacego idzie wolnym galopkiem, jakby w cyrku sztuk konnych, dwuletni niedźwiedź. Myśliwy strzela, trafia go w oko, i zabija na miejscu. Ledwie padł ów strzał, pędzi, parowkiem na połeć drugi niedźwiedź o kilkanaście kroków odemnie, składam się, mierzę, i gdy mam strzelić, widzę przed sobą p. Ignacego z białą kamizelką, w granatowym surduciku. Niepodobna było strzelić, sumienie wzbraniało, dusza zapłakała, i pot zimny oblał me oblicze. Znowu srogi los mnie dotknął w postaci pana

Ignacego, który z za drzewa się wysunął i podziwiał swego niedźwiedzia, ja zaś łzawem okiem ścigałem mego, posuwającego się szybkim pędem ku połoninom.

II

W państwie Polanieckiem leżą pod samemi połoninami wsie Brzoza i Kamionka. Zpewnością żaden premiant w geografji o tych osadach nie słyszał, rzeczywiście jest to dzicz w przyrodzie i dzicz ludzka, dostająca się na jarmarki po kilka razy do roku przez rzeki, wody i sążniowej głębokości śniegi. Tam pewnie żaden turysta nie dotrze, i jedynie zamiłowany i wytrwały myśliwy zagłębi się w owe czarne knieje na koniu, a częściej pieszo.

Po bezowocnem śledzeniu niedźwiedzi, powracających w góry tej jesieni nieco później, a mających w tym rewirze od wielu lat znane przesmyki, dowiadujemy się wreszcie, że w Brzozie jest kilka niedźwiedzi. Ruszamy, nocujemy u wójta, a nazajutrz rano dają nam znać, że są w kniei cztery obtropione, jeden bardzo duży i niedźwiedzica, z dwoma mamzerami. Rozstawiają nas nad szumiącym strumieniem, a mnie na tropie świeżym owego dużego niedźwiedzia z uwagą, iż on dziś rano do miotu wszedł i tą samą drogą powracać będzie. Miot w tych górach, to przestrzeń całego pań-

stewka rzeszy niemieckiej, a w nim tylko siedmiu gońców, wołających głosem puhaczów. Szum strumyka, prześliczny w idylli, straszliwie mnie niecierpliwił, a do tego głosy gońców, jakby z tamtego świata, rozstrajały mi nerwy, i byłem w stanie niestosownym do stoczenia walki z czarnym misiem. Przedemną biała ubocz, sięgająca do obłoków, której szczytu dopatrzyć nie mogłem, zarosła karłowatem, rzadko rozrzuconem drzewem. Stałem jak skamieniały może minut czterdzieści, gdy na tem białem prześcieradle coś zaczerniało, zwracam w ten punkt mój wzrok, i widzę pomału kroczącą starą niedźwiedzicę, a za nią dosyć już duże czarne mamzery, galopujące nakształt małp. Zwolna posuwają się ku mnie bez trwogi i ostrożności, ona łapami rozrywa mrowiska, a dzieci na zadzie, jak piony nieruchome, siadają i przypatrują się tej robocie. Gdy uczta gotowa, ona siada i nakazuje małym zbierać pożywienie i znowu się ku mnie posuwają. Już mi się dusza pcha do gardła, tchu mi brak, ręce mi się trzęsą, a myśl plany strzelania układa. Wtem na prawo widzę cień człowieka, posuwającego się ku niedźwiedziom. Złamał suchą gałęź, niedźwiedzie siadły i słuchają, a gdy się uspokoiły, znowu ku mnie ruszają. Ów cień znowu sunie ku nim, łamie drugą gałęź, w tej chwili niedźwiedzie go spostrzegły, i pędem pogalopowały wgórę. Jak Job na śmie-

ciach, tak ja w duszy wołałem: wszystko stracone, ścigając śliczne zwierzęta wzrokiem, a gdy mi z oczów znikły, miałem jeszcze pociechę w widoku czarnego dużego niedźwiedzia, kroczącego na sztych na pobereżnika, który ich już dziesięć w życiu swojem powalił. Śledzę okiem zwierza, towarzyszę mu do drzewa, gdzie stał przytulony, i nareszcie widzę tego olbrzyma schodzącego już przez grzbiet na drugą ubocz. Nie mogłem pojąć, co się stało, bo pobereżnik nawet nie klapnął, a stał dalej nieruchomy, lecz że ja pierwej chciałem się rozprawić z moim wrogiem, płoszącym mi niedźwiedzie, więc pobiegłem w to miejsce, gdzie go ostatni raz widziałem, lecz już nawet jego śladu nie zastałem, mniemam, że ze strachu i ze wstydu schował się pod ziemię. Powróciwszy do grona naszego, zapytałem pobereżnika o przyczynę przepuszczenia niedźwiedzia o kilka kroków. Blady, jąkając, odpowiedział: «Panoczku! lęk mnie wziął!» Że niedźwiedź wywiera zawsze niepospolite wrażenie, wątpliwości nie podpada, niekiedy nawet sterroryzuje najlepszych myśliwych i najcelniejszych strzelców, o czem nie raz jeden miałem sposobność przekonać się. Nie koniec mego nieszczęścia! Mój towarzysz, chcąc mi dogodzić, wstawił ostatnią butelkę wina do żaru i takowa pękła, a ja od 24 godzin nie miałem

nic w ustach, do domu zaś mieliśmy trzy mile przez rzeki i strumienie.

Znałem niedźwiedzia pasącego owce w górach, tak o nim mówili górniacy i żyd arendarz, czyli dzierżawca pastwisk leśnych w górach mówił mi: «Ja panu każdego niedźwiedzia pokażę, gdyż on wychodzi zaraz za owcami, jak tylko gazda zatrąbi, i co dzień lub drugi bierze mi owcę, a kozy nie ruszy. Rzeczywiście niedźwiedź zawsze swą ofiarę porywał, ale nie było dla mnie szczęścia, nie było spotkania. Trzeba wiedzieć, że stado owiec rozbiega się na 500 i 1000 metrów szerokości, szukając pożywienia w lesie, często więc niedźwiedź porywa owcę poza widokręgiem pastuchów i ujdzie spokojnie, lub też słyszę strzały, jękliwe wzywania pomocy, lecz zanim dobiegnę, już porwał owcę lub ją odbili, a ofiara leży pośród pastuszków. Wstyd mnie ogarnął, zniechęcenie opanowało, porzuciłem więc rolę tępiciela, znużony nad miarę, zawziętość wszakże moja nie zmniejszyła się, owszem, przemyśliwałem ciągle nad sposobem dostania tego systematycznie polującego niedźwiedzia. Niestety psów z sobą nie miałem, chodząc jednak za tym szkodnikiem, upatrzyłem na potokach jego ślady i weksle. Przy djamentowej rosie i świeżej pogodzie, jakie tylko w górach mieć można, rozstawiło się nas pięciu na przesmykach. Pogonka huczała, żyd ze strachu strzelał, paste-

rze na trąbach trąbili, hałas był jak w sądnym dniu. Zdawało się, że niedźwiedź wyjść musi, bo cała zbocz zajęta była ludźmi, a ów niebezpieczny gość właśnie ową ścianę zamieszkiwał od kilku tygodni, pobierając trybut od żyda. Naganiacze wyszli, nie wypędziwszy nic, pasterze gremialnie lamentować poczęli, arendarz się rozpłakał, ja musiałem lasy opuścić, misio zaś do pierwszego śniegu brał owce, pomimo, że na niego kilkakrotnie polowano.

W rok później, widocznie na krwi zaprawiony, zdaje się ten sam niedźwiedź zamieszkał w przeciwnej stronie, i tam ubił dwuletniego ciołka. Dano mi znać, zebraliśmy kilkunastu chłopów i poczęli gonić zrąb mieszany szpilkowego i liściastego lasu, śród którego malowniczo wspinały się stożkowate, sine skały. Staliśmy nad zboczą od wielkiego lasu i od wyższych gór, przed nami była spadzista przestrzeń, zamknięta głębokim jarem, nad którym snuła się kamienista ścieżka, pod nami cesarski gościniec, poza nim rzeka. Zrekognoskowawszy widokrąg, błogo mi się w duszy zrobiło, gdy mi umysł szepnął: musi na strzelców wyjść. Dziwną ma łaskę u bogów chłop na polowaniu. Gdyby Diana zamiast spotkania ze zwierzem, nie uszczęśliwiającego wcale sierakowego myśliwca, obdarzyła go raczej chlebem na przednowku, stokrotnieby go więcej uradowała, niż posuwając na niego zwierza.

Lecz tak jest zapisane, nie my, lecz chłopi przeważnie strzelają w górach do grubego zwierza. I tu Diana rozmiłowana w brudnym, rozczochranym i już nie młodym chłopie, jak na sznurku prowadzi nań dużego burego niedźwiedzia małym galopkiem, po krzakach rzadko rozrzuconych, na widowni dla nas odkrytej. Gdy niedźwiedź, idąc na połeć, zbliżył się do faworyzowanego chłopa, tenże klęknął, wymierzył spokojnie i — kłapnął. Na ów głos niedźwiedź stanął, potem siadł na tylnych łapach i ciekawie się oglądał w przeciwną stronę. Mój sąsiad z najzimniejszą krwią odwiódł kurek, coś pomruczał i pocisnął cyngiel, kabzel spalił, a misio jak oparzony pędzi na dół spadzistą zboczą, przebiega gościniec, skacze w rzekę niezbyt głęboką, drapie się pod górę i znika nam w ciemnych chaszczach młodej świerczyny. Tak był przestraszony, że wpadł na mojego kucharza, idącego szosą po mięso do miasta, i byłby go powalił, gdyby się był szczęśliwie za drzewo nie schronił. Zdaje mi się, że mam wiele miłości dla bliźnich w sercu, lecz wtedy ze złości splunąłem i krzyknąłem do chłopa: «ażebyś pękł». Wprawdzie nie pękł, lecz już kłapać nie będzie, gdyż porwała go w tym samym roku cholera. Pokój jego duszy, oby na ten świat już nie powracał z kłapiącą strzelbą!

Zdarzyło się to, co teraz opowiem, w r. 1866

w państwie Skolskiem, gdzie miałem w osobie formeistra Schmatery rzeczywistego dobrodzieja. Owoż dostaję list od niego 17-go września z wiadomością o dwuletnim niedźwiedziu, przemieszkującym w klinie lasu i pilnującym małego łanu zielonawo-żółtego owsa. W tej chwili posyłam pieniądze na zakupienie owsa, i wybieram się z całym taborem w góry. Miałem wtedy dowodne psy, i pomimo, że to były same ogary, brały i szarpały, jak szatany, tak dzika, jak niedźwiedzia. Przyjechawszy na miejsce, pobereżnik, stary Hrycio, znakomity tropiciel, powiada mi: «Tu, panoczku, was trzech wystarczy, bo on nie pójdzie w pole, lecz swoim przesmykiem pomknie ku werchom (szczyty gór)». Staje nas czterech, ale Hrycio twierdzi, że nikt, tylko ja, strzelać nie będzie. Stoję więc nad małym parowkiem, koło kłody nadgniłej, i patrzę w miot tak mały, że widzę psy szukające. W pięć minut zaledwie, a wiatr mi sprzyjał, odezwał się pies, potem drugi i trzeci, już gwarliwy koncert ku mnie się zbliża i niedźwiedź czarny, niewielki, galopuje z całych sił, a jeden pies szarpie mu kudły u szarawarów, drugie po bokach mu towarzyszą. On pędzi, widocznie nie myśląc o stoczeniu walki, lecz raczej o ocaleniu się ucieczką. Gdy w niegęstej świerczynie zbliżył się na kroków 60, wymierzyłem na luce, najdogodniejszej dla strzału, lecz, niestety, niedźwiedź nie

wytknął, ale parowek przeskoczył, wypadł na pole, zwrócił się i z psami poszedł przez ten sam miot w lasy. Powiedziałem sobie: «Nic dziwnego, bo ja nie chłop, a wierzyć nie chciałem Hryciowi, utrzymującemu, że ten niedźwiedź oczarowany». Do wypełnienia goryczą kielicha mego, tylokrotnie do dna wychylonego, dodać muszę, że uniesiony zbytecznym zapałem, zostawiłem mego nieodstępnego wierzchowca, znużonego długą podróżą, w karczmie. Ufny w zaciętość i wytrwałość moich psów i w moje nogi, urągające starości, wołam do moich: «mój pierwszy strzał» i puszczam się przez gąszcze, parowy, debry i jary, przechodzę kłody i zgniłe barykady, przewracam się stokrotnie, drę odzienie, a głos moich psów czarodziejskim sposobem pędzi mnie i pędzi. Wreszcie tchu mi zabrakło, sucho w gardle, nogi się trzęsą, bo już trzecią godzinę pędzę po tej dzikiej pustyni, siadam więc i, posiliwszy się tą wodą życia (okowita), która ludowi wiejskiemu przedwczesną śmierć przynosi, słyszę, że moje psy jedno miejsce oszczekują, zrywam się zelektryzowany, i biegnę jak szalony, aby na czas zdążyć. Po kwadransie pochodu słyszę strzał, zimny pot mnie oblał, mowa w gardle zamarła, krew mi do głowy uderzyła i słabo mi się zrobiło. Głos psów się zmienił, i począł ucichać, widocznie ostatni akt dramatu odegrany, a ja, zamiast być pierwszym

aktorem, śpieszę gasić lampy. Stało się! Diana nieprzebłagana! Wlokę się powoli, już słyszę ujadania psów, zbliżam się i widzę mego niedźwiadka rozciągniętego, szarpanego niemiłosiernie przez psy, których nikt nie miał odwagi odpędzić. Czytelniku i kolego w Nemrodzie, możesz wyobrazić sobie stan mej duszy, westchnij nade mną i nie żądaj, abym opisywał uczucia mną miotające. Szczególne zdarzenie: ów niedźwiedź szedł z psami półtorej mili, z tyłu zupełnie obszarpany, nigdzie wszakże nie pogryziony, psa żadnego nie uszkodził, a przecież musiał być niepospolicie maltretowany, kiedy się na świerk wydrapał do wysokości sześciu metrów nad ziemią. Ta scena tak się odbyła: Pastuszek, słysząc naszczekiwanie psów, przybiegł, a zobaczywszy niedźwiedzia na drzewie, poszedł o pół mili odległości do szklarza, przywiódł go, a ten zrzucił, jak wiewiórkę lotkami, nieżywego misia, trafiwszy go w głowę. To pierwszy i jedyny niedźwiedź w czasie mego zawodu myśliwskiego, który się na drzewo schronił. Pokazywano mi dziką gruszę, na którą drugi wylazł, strząsał sobie owoce, mimo sześciu ludzi, stojących i krzyczących koło drzewa.

W r. 1857 badałem przez dwa tygodnie koło Delatyna i Mikuliczyna najzjadliwszego i najodważniejszego niedźwiedzia ze wszystkich, jakie widziałem. Był to niedźwiedź biurokrata,

wiodący systematyczny tryb życia. Przebywał przez dobę w tych górach, następnie wynosił się ku szczytom Nadwórny na trzy dni, i znowu na termin powracał, zostawiając zawsze ślady swej drapieżności w zabitem bydle, gdyż widocznie żywił się wyłącznie krwią i mięsiwem. W tygodniu po kilka dni dla badań ornitologicznych przebiegałem owe góry i zawsze słyszałem gadki o tym jednym niedźwiedziu, istnej pladze okolicy. Polując dnia pewnego z gończemi na jelenie, zabłąkałem się do koliby (szałas), wysoko w górach umieszczonej. Zrazu u wstępu stary gazda z zaplecionemi warkoczami (taki tam chłopi mają zwyczaj układania włosów) z lamentem skarży się, że mu niedźwiedź już piątą sztukę zabił, i że on pojutrze niezawodnie przyjdzie w nocy do koliby. Umówiwszy się o nocleg, stanąłem na termin uzbrojony należycie, i po wieczerzy anachoretów, położyłem się na sianie razem z huculami i huculkami. Księżyc wtedy późno po północy wschodził, lecz gwiaździste niebo nie dozwoliło nocy rzucić zupełnej ciemności na przestrzeń zajmowaną przez bydło. Nie mogę powiedzieć, która godzina wtedy upływała, światło wszakże księżyca już zgasło, gdy psy głośno ujadać poczęły i gazda mi mówił: «To wołki (wilki), sobaki je odgonią». — Wybiegłem z nadzieją strzelania do wilka, lecz nie były to wilki i straszny widok mi się przedstawił. W okole,

odległym od koliby o kilkanaście kroków, ryczało do trzydziestu sztuk bydła, z głowami schylonemi i rogami wymierzonemi przeciw czarnemu potworowi, ruszającemu się dziwacznie. Zamięszanie nie do opisania, tu psy szczekają i szarpią, tu bydło szarżuje, a niedźwiedź groźnie mruczy śród tego stada. Wtem niedźwiedź łapą zabija młodą jałówkę, bierze ją oburącz, przerzuca przez poręcze, przeskakuje je, i dalej ją rzuca i posuwa z szybkością niepojętą ku głębokiej debrze. Nie można było strzelić celnie, gdyż te dwa wielkie ciała przewracały się razem i ani chwili nie widziałem dokładnie niedźwiedzia, oczy tylko jego jaskrawo błyszczały. Wzruszeniem wprowadzony w gorączkowy stan, posuwałem się ostrożnie za niedźwiedziem, zdradzającym swój pochód łomotem i mruczeniem, gdy zaś do lasu szpilkowego doszedłem, tak czarna noc mnie objęła, że się cofnąć musiałem. Niedźwiedź oczywiście stronił ode mnie, nerwy moje były rozstrojone, humor kwaśny, a myśl wrogo mi szeptała: «Czemuż nie strzelałeś?» Sumienie myśliwskie dziś jeszcze żadnego mi wyrzutu nie czyni, do niedźwiedzia bowiem, zwłaszcza takiego potworu, nie można strzelać na chybił trafił. — Wreszcie noc skonała, słońce leniwo wyzierać poczęło, obudzone ptaki ozwały się koncertem, a ja, dzwoniąc z zimna zębami, posuwałem się cicho ku miejscu, w którem, jak wnosiłem, ja-

łówka leży i niedźwiedź biesiaduje. Po kwadransie pochodu spostrzegłem zdaleka w jarze ofiarę, okrytą dwoma na krzyż złożonemi gałęziami, przysypaną liściami — ale oprawcy nie było. Opłaciłem, aby do nocy nie ruszono z miejsca tego jałówki, upatrzyłem sobie wysoki i wygodny łom na zasiadkę i czekałem z niecierpliwością nocy, a był to jeden z najdłuższych dni mego życia. Niedźwiedź, rozważny i ostrożny, nie pojawił się. Jałówka nie miała żadnej rany.

III

Dzierżawiłem przez sześć lat urocze, lecz zupełnie puste rewiry w Synowódzku, w Korczynie, w Kruszelnicy i Majdanie. Gdy dzików i niedźwiedzi nie było, mógł funt prochu wystarczyć dla dzieci i wnuków, jeżeli nie strzelali jarząbków, których tam wiele się chowa. Tam to odegrał się krwawy dramat między czarnym, starym niedźwiedziem a leśniczym. Na pierwszej ponowie obtropiono niedźwiedzia i napędzono na leśniczego, ukrytego za bukiem. Ten strzela i trafia w łopatkę, zwierz się wali i na śmierć układa pod kłodą. Triumfator bez doświadczenia spuszcza kurek od drugiej lufy, idzie do niedźwiedzia i kopie go nogą. W tejże chwili zwierz rozjuszony, siada, łapą jedną

przewraca nieszczęśliwego i przerzuca go za kłodę, poczem przeskakuje ją, układa się i poczyna jeść buty z nogami. Leśniczy stracił zupełnie przytomność, i daje się żywcem zjadać, woła o pomoc i ratunek grobowym głosem, na który nadbiega chłopczyna, praktykujący w służbie leśnej, strzela i trafia w miąższ. Niedźwiedź się wspina i kroczy ku napastnikowi, chcąc go powalić jedną zdrową łapą, praktykant mierzy w piersi podniesionego niedźwiedzia i — kłapie! Byłby niechybnie zginął, gdyby śmierć nie zaskoczyła rozwścieklonego zwierza, który siadł, począł mruczeć, ryknął i runął pod kłodę. Buty leśniczego były jak sito podziurawione, nogi straszliwie pokaleczone. Ze strachu i cierpienia zachorował leśniczy na tyfus, i cały rok niemal leczył swoje nogi. Był to najpiękniejszy i największy niedźwiedź, jakiego w kraju widziałem.

Na polowaniu w górach z naganką w kilku strzelców, ratunek w niebezpieczeństwie jest nader trudny z powodu wielkiej odległości stanowisk, oznaczanych zwykle przy wekslach. Zanim sąsiad zdążyć może po strzale do myśliwego, może on być dawno już w szmaty rozszarpany. Przeciwnie się dzieje na polowaniu z psami, wtedy każdy myśliwy podchodzi do głosu i grono myśliwych jest zawsze wpobliżu zwierza. Nieraz mi się to zdarzyło, iż z wysile-

niem doszedłem do miejsca strzału po półgodzinnym chodzie.

Widocznie bogowie nie dosyć jeszcze mieli mego męczeństwa, przygotowywali mi nowe, nieznane tortury. Byłem w górach 23-go września z mojem myślistwem u leśniczego na kwaterze, gdy nadbiegli pobereżnicy z wiadomością o niedźwiedziu. Dziwny to i ciekawy był zwierz w drugim roku swego życia, mały, kształtny i nadzwyczaj ruchliwy. W przekonaniu, że on jeszcze z matką chodzi, czyniliśmy bezowocne poszukiwania za niedźwiedzicą, gdy niedźwiedź ów już samoistne wiódł życie. — W górach zasiewają się sianożęcia i polany gęstą świerczyną, bywa jej częstokroć na kilku morgach w zwartym gąszczu, nieprzystępnym dla człowieka. Taki to dywan ciemno-zielony zamieszkał ten niedźwiedź. Poza tym samorodnym laskiem był drugi nieco starszy, dalej drągowy las, spadzista kamienista ubocz, pola, a na tle tego obrazu rozsiadła się wioska z rozrzuconemi chatkami, ocienionemi starodrzewem. Puściliśmy tropowca, który przebiegł ciasny gąszczyk, i wyszedł do nas, oznajmiając ogonem, że tu nic niema, wzięliśmy go więc na łańcuch i podprowadzili pod drugi gąszcz. Niedźwiedzia wietrzy pies z dalekiej odległości, ledwie nam Zagraj zniknął z oczów, już zamruczał, zaskowyczał i począł naszczekiwać. Biegnę na ubocz, za mną goni leśniczy, łapie mnie i mówi: «Zo-

stań pan, przecież on do wsi nie pójdzie!» Zostałem wbrew memu instynktowi, i srogo mnie za to ukarał patron nasz Hubert. Scena odegrała się na przestrzeni może piętnastu morgów, a jawna i widoczna w całym swym przepysznym obrazie. Psy ujadają w gąszczu, posuwają się ku mnie, i w tej chwili widzę wytykającego misia do podrośniętego lasu, tam siada na zadzie, schyla się, podnosi kamyczki i gałązki, potrząsa łapami, jakby groził, i wreszcie ciska je na psy. Zabawna ta scena trwa już przez kilka minut, ja biję się z myślami, czy się do psów podkradać, czy czekać, pomny słów leśniczego. W tej chwili konie moje, stojące opodal, parskać i rżeć poczęły, niedźwiedź się podniósł na tylnych łapach, jak to czasem rozciekawiony zając czyni, i pędem ucieka, otoczony psami, na ubocz. Struchlałem w martwocie, z której mnie zbudził głos leśniczego: «Biegaj pan, on pójdzie zaraz na drzewo!» Pobiegłem i przekonałem się, że niedźwiedź lepiej biega ode mnie, kiedy ja bowiem byłem na połowie uboczy, on już się znajdował na polu i dążył do wsi prosto między chaty. Niedźwiadek ten zostawił mi najucieszniejsze wspomnienia, gdyż naprzód zbierał kamyczki, rzucał na psy i tem je drażnił, następnie galopując z lewej nogi, kiedy się który pies przybliżył, uderzał go łapą i zawsze przewrócił, a drugiego prawą łapą walił, a tak to zręcznie robił, iż w biegu

wcale nie ustawał. Uderzenia te musiały być silne, dwa psy bowiem, skomląc żałośnie, z zwieszonemi ogonami i zawstydzonemi fizjognomjami powróciły do mnie, i już się nie dały do dalszej pogoni nakłonić. Ja biegnę w miarę sił i patrzę tylko, kiedy niedźwiadek drapać się będzie na drzewo, lecz on mija jedno, drugie i dziesiąte, przeskakuje płoty i poręcze, dąży do rzeki. Tu się chwilę zawahał, siadł, powstał, rzucił się w szumiącą po kamieniach wodę, przepłynął i przeszedł, ostrząsł się na brzegu i piąć się począł pod stromą i skalistą ubocz. Moje trzy psy zalamentowały i wskoczyły do wody za niedźwiedziem. Widząc, że zwierzęta na środku koryta spłynęły, nie mogłem się puścić na wodę, byłby mnie prąd przewrócił, musiałem szukać kładki lub brodu. Tymczasem myśliwi nadeszli i oznajmili, że niedźwiedź musi być na drzewie, gdyż psy na miejscu się odzywają. Nie będę opisywał mej przeprawy przez wodę i mego drapania się pod górę, i Dante mógłby te męczarnie w swem piekle umieścić. Wreszcie słońce zapadło i niepożądany dla mnie zmrok zaciemniał las szpilkowy coraz więcej. Widząc to, wytężam ostatnie siły i zdążam do psów na pięć kroków, ale niedźwiedzia dostrzec nie mogę. Zażarte naszczekiwanie wskazuje mi bytność zwierza, mimo jednak wytężonego wzroku, nic zobaczyć nie mogę. Suka wylazła na omszony łom i nachy-

lona szczeka, jeden pies leży zmęczony i naszczekuje, trzeci skacze ze złości. Noc ciemna w świerczynie zapanowała, wreszcie nadchodzi mój *alter ego* w myśliwstwie, więc wskazuję mu kłodę, aby się na nią wydrapał i zaglądnął pod spód. Ślizga się i stuka o kłodę, a w tej chwili istny upiór, pędem błyskawicy wysuwa się niedźwiedź i ginie w gąszczu. Udało nam się psy połapać i wziąć na drążki, miały one pyski pełne kudłów z futra, a przecież go na drzewo nie napędziły. Dowód to, że niedźwiedź wyjątkowo tylko na drzewie szuka schronienia. Po raz drugi nie widziałem niedźwiedzia na drzewie i przekonałem się niejednokrotnie, że szuka raczej ochrony w fortecach, utworzonych przez łomy i tam jest dla psów najgroźniejszym.

Aby psalm żałobny zaśpiewać nade mną, należy poznać mego strzelca Starka, którego znajomi moi nazywali *Schwach*, od dnia bowiem nieszczęśliwego zajścia z odyńcem, stał się on tchórzem pierwszorzędnym i wielce dla mnie szkodliwym. Był on czarną gwiazdą mego horyzontu myśliwskiego, istnym prześladowcą moim, a katem dla psów, o czem poświadczy dalsze opowiadanie. Działo się to 27 września 1867 r., gdy miałem powracać do domu z wyprawy myśliwskiej na dzień św. Michała. Posiadałem wtedy siedm doskonałych psów z guwernantką *Gazdunią*, suką nieporównanych

cnót i zalet. Psy te jednak były zagoniste do tego stopnia, że nieraz część pory, przeznaczonej na polowanie, traciłem na odszukiwaniu ich. Po kilku dniach, niezbyt szczęśliwych, stojąc na szczycie góry, dowiaduję się, że wskazane mi niedźwiedzie posunęły się wyżej, więc nie było do pogoni czasu, i miałem już nadół się spuszczać, gdy hucuł mi mówi: «Co mi Pan da, jak mu napędzę niedźwiedzia?» Ofiarowałem mu 10 złr. i układ został zawarty z warunkiem, że ja psów nie puszczę, bo on miał swojemi sobakami gonić. Śliczne to były psy, przypominające górskie szkockie, jeden zupełnie biały, drugi z czarnemi łatkami i czarnemi uszkami, rozumne, miały duże oczy z wyrazem odwagi, obydwa kudłate. Odchodząc, uśmiechnął się ten zamożny pasterz, i mrugając oczami, rzekł: «Ja wiem, gdzie on leży pod skałą». Jakby mnie na siedm koni wsadzono, zapomniałem o zawodach, zmęczeniu i zniechęceniu. W chwili, gdy na uboczy, dosyć spadzistej, mieliśmy się postawić, mówię Starkowi: «Nie puszczaj psów bez głosu mojej trąbki, bo się znowu zagonią». Stawiają mnie na ścieżce wydeptanej, jak twierdzili, przez niedźwiedzia, pod omszonym świerkiem. Rekognoskuję teren, i poczynam się niepokoić widokiem moich psów, siedzących nad lasem, obawiając się ich skomlenia i szczekania. Niebawem odezwał się basem jeden owczarski pies, zawtórował mu

drugi barytonem, a pasterz poświstuje i nawołuje niedaleko ode mnie. Wtem słyszę łomot, jakby kilku sztuk uciekającego bydła, łamanie suchych gałęzi i przewracanie kamieni, i na zakręcie ścieżki widzę olbrzymią głowę burego niedźwiedzia, zbliżającego się do mnie. Byłem już przygotowany i złożony do strzału, gdy mój wróg myśliwski, ujrzawszy niedźwiedzia, a zapomniawszy o moim rozkazie, puszcza wszystkie psy, wołając pełnym głosem po kilkakroć: «Husz, husz pieski!» Psy, widząc na oko niedźwiedzia, z wściekłością i wrzawą rzucają się nań i zbijają z uboczy nadół. Pomimo rozpaczy, nie poszedłem rozprawić się z moim Starkiem, lecz puściłem się nadół po uboczy, złożonej z ruchomych i omszonych okrągłych kamieni, przerzniętej strumykiem. Niedźwiedź pełnym galopem pędził, i przesunął się koło pobereżnika, który mu nabój śrutu i siekańców cisnął, widocznie nie dokuczywszy tem zwierzowi, który wcale nie zmienił toru swego pochodu. W tej chwili odgrywa się przed mojemi oczami nader ciekawa scena, godna artystycznego pendzla i wprawnego pióra: Przystojny, młody hucuł, brunet ciemny, jak cygan, z zapiętą guńką na guzik u szyi, z wiszącemi rękawami, biegnie obces na niedźwiedzia z dzidą i głośnym krzykiem. Gdy już był od niedźwiedzia na 15 kroków, odwagi mu zabrakło, rzucił dzidę i począł umykać. Zwierz w kilku susach

dopędza go, siada i zdziera mu gunkę, rad ze swej zdobyczy, targa ją, pomimo, że psy mu się do kudłów dobierały, a mój hucuł nie ustaje w biegu, jak antylopa mknie ku kolibie i dopadłszy jej, jednym susem wskakuje do wnętrza. Byłem oddalony od niedźwiedzia może na 150 kroków, i gdyby nie brak oddechu i trzęsące się nogi po kilkunastu przewróconych koziołkach, byłbym do niego strzelił. Zwierz, potargawszy hucułowi gunkę, pędził dalej galopkiem. Tu znowu mój wróg dał mi się we znaki, widząc odbytą z gunką operację, ze strzelbą w ręku wdrapał się na szczyt świerka i tam się usadowił. W tej chwili niedźwiedź rozjuszony siadł i gotował się do stoczenia walki z psami na łące nad strumieniem. Mój strzelec, zamiast oczekiwać mego spotkania ze zwierzem, mimo, iż widział mnie pędzącego, zamiast podgonić strzałem niedźwiedzia i uratować rozjadłe psy, krzyczy ciągle przeraźliwym głosem z wierzchołka drzewa: «Husz, husz!» Psy, w ten sposób podniecane, rzucają się na niedźwiedzia, a mój rudy *Śpiewak* wskakuje mu na grzbiet i wgryza zęby w ucho. Niedźwiedź siada, ściąga z siebie łapą Śpiewaka, przyciska do łona, puszcza go, i galopuje dalej wolno. Gdy nadbiegłem, pies ten *sans peur* już nie żył. Co Starkowi powiedziałem, nie można drukować, lecz wyznać muszę, że mi się ulżyło, i popędziłem za niedźwiedziem, miotany pragnieniem

zemsty. Pogoń trwała półczwartej godziny, ciągle miałem zwierza na oku, jednak nigdy na strzał. To siadał i bił się z psami, to ku nim skakał, a często, widocznie zmęczony, warował po kilka minut na miejscu. Jak się dostał na górę, nad rzekę, tego do dzisiaj zrozumieć nie mogę, ja zaś widząc, że go nie dopędzę, i że z psami stoi w miejscu, zbiegłem nadół, przebrodziłem rzekę, chcąc ztyłu zajść mu drogę, lecz ściana, istne urwisko, składająca się ze żwiru, nie dozwoliła mi krokiem ku górze postąpić. Brodząc po wodzie, widzę nad tem urwiskiem spoczywającego niedźwiedzia, już tylko z dwoma psami, a w tejże chwili nadbiegającego chłopa, rzucającego na zwierza toporek, który mu wbił w grzbiet. W okamgnieniu przypada misio ku chłopowi, siada, łapą sięga, ciągnie go pod siebie i drze pazurami. Serce mi pękało, nie mogąc wgórę strzałem dosięgnąć, a psy, zamiast atakować niedźwiedzia, poczęły, wyjąc, lamentować. Nie było chwili do stracenia, obszedłszy może 20 kroków wodą, wdrapałem się na górę i biegnę ku temu miejscu, lecz nic dojrzeć nie mogę. Przed klombem, objętości sześciu sążni kwadratowych gęstej, młodej świerczyny, leży moja Gazdunia i do gąszcza chrypliwym głosem szczeka, za gęstwiną zaś leży stary pies leśniczego, i kiedy niekiedy głosem się odzywa — przede mną polanka ćwierćmorgowa. Ledwie miałem dosyć czasu odetchnąć, gdy Gazdunia,

na widok swego pana, rzuca się z wściekłością do gąszczu, lecz wnet szybko się cofa, a za nią, z podniesioną łapą, wysuwa się niedźwiedź. W tejże chwili zaryczał, począł mruczeć, siadł na zadzie i pomału się dźwignął, wystawiając łapy ku mnie, i okazując miejsce gołe bez futra pod łopatką. W to miejsce wymierzywszy, strzeliłem. Niedźwiedź objął swą głowę łapami, straszliwie mruknął i runął na murawę jeszcze kwiecistą, po chwili zaryczał i ponownie się dźwignął, wskazując mi ranę, z której jucha spływała. Strzeliłem raz drugi, poczem padł i ciężarem swoim zgiął dosyć dużego świerka. Oglądnąwszy się, spostrzegłem za sobą forstmeistra Schmaterę ze strzelbą na ramieniu. «Jakto — zawołałem — pan nie masz odwiedzionych kurków?» Bez najmniejszego wzruszenia w głosie odrzekł mi: «Ja wiedziałem, że go pan hrabia zabijesz». Działo się to o 13 kroków od rozjuszonego niedźwiedzia! Muszę wyznać, że odwagę i zimną krew jego podziwiałem, widziałem bowiem z niedźwiedziami i dzikami mniej więcej niebezpieczne zajścia, lecz tu kłapnięcie z drugiej mojej lufy byłoby nas obu życia pozbawiło. Pytam się o nieszczęśliwego chłopa i dowiaduję się, że go do wsi odwieziono, ale bez nadziei życia, zdarł mu bowiem niedźwiedź szmat skóry od głowy do kolana. Wtedy dowiedziałem się, że zaciągnąłem dług wdzięczności, gdyż p. Schmatera zakazał

strzelać strzelcom, i w ten sposób ułatwił mi spotkanie z niedźwiedziem. Była to stara, jak się zdaje, jałowa niedźwiedzica ze zjedzonemi żółtemi zębami. Psów mi nie zabiła, lecz tak poturbowała, że żaden prosto chodzić nie mógł. Po dosyć skromnej wieczerzy, gdy potłuczone kości na ziemi złożyłem, i począłem uspokajać rozhukaną wyobraźnię, wszedł leśniczy i prosił mnie, abym wyszedł na ganek, gdzie cała gromada z wójtem na czele czekała, chcąc mi podziękować za ubicie tej niepospolitej szkodnicy. Dźwignąłem się z dosyć kwaśną miną, wyszedłem do gromady, przyjąłem dziękczynne wyrazy, i wzamian wywdzięczyłem się trunkiem, zawsze dobrze przyjmowanym.

IV

Roku 1869, 19 września polowałem w lasach, czyich, tego z nas nikt nie wiedział. Dla myśliwego na niedźwiedzia granice nie były strzeżone i częstokroć można było polować z hałasem dzień cały, a nie spotkać straży leśnej. Pasterze nam oznajmili, że w jarze gęsto zarośniętym codzień widują niedźwiedzicę czarną z piastunem, nie wyrządzającą żadnej szkody. Była to jedna parcela lasu, aby zaś zrozumieć trudności, nasuwające się myśliwemu, trzeba tu naszkicować taki las: Ta parcela obejmowała

1200 do 1500 morgów, przerżniętą była parowem, kończącym się łąką czyli pastwiskiem, zasypanem kamieniami, po obu zaś stronach wznosiły się wysokie ściany z mięszanym drzewostanem. Z tego lasu wycięto i wywieziono stare drzewa, natomiast zasiała się świerczyna i jedlina, dająca zwierzynie schronienie bezpieczne, bo zupełnie nieprzystępne dla człowieka. — Rozstawiamy się od szczytów gór, a zdołu puszczono psy. Po chwili jeden się odezwał, za nim inne, i wnet całym chórem pędzą na mego sąsiada. Słyszę strzał i miga mi się w gąszczu czarna postać, a za nią wszystkie psy. Strzał zbił ją na lewo, i poczęła dążyć do parowu, na drugą ubocz. Puściłem się w pogoń przez gęstwinę — w porze właściwej naszym górom, w której to ani deszcz, ani mgła, lecz mięszanina owych dwóch wilgoci, wroga dla prochu i kapsli, przenika aż do kości. Słyszę ujadanie psów, zbliżam się, i widzę gąszczyk mały, drżący od ruchów zwierząt. Przekonany, iż lada chwila wypadnie na mnie niedźwiedzica, stoję pod drzewem i zasłaniam kurki ręką. Trwa to już dosyć długo, gorączka się wzmaga, zły duch mi szepcze: idź do środka, zabijesz, a cofnąć się w potrzebie zdołasz, — lecz rozsądek nakazywał stać i czekać i nie rwać się do smoczej jamy. Pokusa jednak wzrasta i, niestety, zwalcza mnie, zakrywam kurki i wciskam się w ów gąszcz mokry. Wnet

ujrzałem niedźwiedzicę, siedzącą na zadzie, i wspartą na przednich łapach, otoczoną półwiankiem rozjadłych psów. Gdy mnie ujrzała, spojrzała słodko swemi pięknemi oczami. Śliczny to był obrazek i głęboko utkwił mi w pamięci na całe życie. Ona się nie ruszyła, a ja, nie widząc nic prócz łba, mordy i łopatki, wymierzyłem pod głowę i strzeliłem, poczem cofnąłem się szybko pod moje drzewo, widząc, iż niedźwiedź się powalił, że kupa psów go obsiadła i wszczął się hałas, mogący obudzić człowieka z letargu. Po kilku minutach słyszę szelest i głosy psów, wreszcie strzał. Niepospolicie zaciekawiony biegnę, i widzę pięciu naganiaczy, stojących na polance, uzbrojonych w dzidy, piki i drągi, czekających z determinacją na pojawienie się zwierza. Niedźwiedzica z przestrzeloną łapą wpada w środek chłopów, siada i zdrową przednią łapą wali pierwszego, drze mu udo, wstaje, chwyta drugiego, ciska nim o ziemię i gryźć mu poczyna nogi. Wołam na mego towarzysza, stojącego bliżej tego grona: strzelaj, on mi zaś odpowiada: jedna wystrzelona, druga kłapie. Straszna i dramatyczna chwila! Chłopi w osłupieniu, gdyby posągi nieruchome, mogła ich była wszystkich zmasakrować, a ja, pomimo szalonego pędu z góry, byłem w oddaleniu 200 kroków, gdy niedźwiedzica, przez psy szarpana, z miejsca się ruszyła i pogalopowała do pierwszego gą-

szczu, gdzie spoczęła w tej nie do zdobycia fortecy. Oczywiście do środka nikt nie chciał wejść, a mnie siłą powstrzymywano. Krzyczeliśmy, rzucaliśmy kamienie, nic jej wystraszyć nie zdołało, a psy, mimo wszelkiego rodzaju zachęty, nie odważyły się wpaść do środka. Zdawało się, żeśmy doskonale ten gąszczyk obstawili, prawda, że nas tylko było trzech, bo reszta myśliwych po zajściach opisanych znikła, musieli się schronić pod ziemię, a mój Stark pierwszy, bo od rana go nie widziałem i niedźwiedzica wysunęła się jednym klinem bez strzału, psy za nią, lecz już z pewnem uszanowaniem o kilkanaście kroków od niej. Przebiegła przez jar, i na drugiej uboczy usadowiła się w podobnem *asilum*. Użyliśmy tej samej taktyki, z tym samym skutkiem, gdyż nas już tylko dwóch pozostało, a psy coraz wolniej i leniwiej ją atakowały, a takie sceny odgrywała nam w ciągu całego dnia sześć czy siedm razy. Już mijała godzina czwarta, a w nogach, gardle i płucach już była dziewiąta, u psów zaś jeszcze późniejsza, gdy ta nieśmiertelna niedźwiedzica usadowiła się i przywarowała w gąszczu, a mój Stark się zjawił z dwoma zabłąkanemi psami.— «Stark, idź do góry, puść psy i strzel w krzaki, a my się dołem rozstawimy». Stark błędnemi oczami spojrzał na mnie i grobowym głosem odpowiedział: — «Za nic w świecie, wolę umrzeć». — «No, to wyleź na drzewo, i z drze-

wa strzel do gąszczu». Tę dyspozycję uznał za stosowną, wydrapał się jak wiewiórka na świerka i strzelił. Niedźwiedzica wyskakuje na trzech nogach, z podniesioną łapą postrzeloną, z paszczą otwartą i z wiszącym z boku językiem. Ja stoję od niej na 30 kroków na łące bez drzewa, koło mnie mały potoczek, ona zaś biegnie nadół poza dwoma świerkami. W tej chwili składam się, zdecydowany strzelić wtedy, gdy te dwa drzewa minie. Złożony, ze strzelbą na świerki wycelowaną, nie patrzyłem przed siebie, dopiero szelest jej galopka i groźne mruczenie zwróciło moją uwagę. Było nieco za późno do celnego strzału, szczególnie dla tak zelektryzowanego strzelca, jakim wtedy byłem. Wymierzyłem o ile mogłem i strzeliłem, — ona zaryczała i w większym jeszcze pędzie w potężnych susach przyskoczyła do mnie na trzy kroki, siadła, dźwignęła się na zadzie i zdrową łapą sięgała po moją czapkę, a może i głowę. Jej paszcza dominowała nade mną o łokieć, przyłożyłem lufy i Hubert, Diana i Nemrod opiekowali się mną, bo mimo całodniowej wilgoci lufa wystrzeliła, kula wysadziła mózg, a niedźwiedzica runęła wtył do potoczka bez znaku życia. Mój *alter ego*, widząc mnie w takiem niebezpieczeństwie, biegł, ile mógł, wszakże już strzelić nie zdołał, a gdy zobaczył niedźwiedzicy łapę nad moją głową, padł i dostał tak gwałtownej palpitacji serca, żeśmy go wodą

oblewali, odzienie rozpruli, i już mu chciałem krew puścić, gdy wreszcie przytomność mu powróciła. Mój Stark, stojąc za nami, mówił do siebie: «A mnieby to potrzebne było!» Dodać tu muszę, że z nami było dwóch uczonych leśniczych z Mariabrunn, którzy, zobaczywszy rano niedźwiedzicę, już się nie pokazali, przy trupie wszakże zaraz się pojawili, aby go oblać. Pytałem, czy nie mogli strzelić, odpowiedzieli mi z flegmą: «My do postrzelonego niedźwiedzia nie strzelamy». — Niedźwiedzica miała dużo pokarmu, nawet ciekło mleko, więc oczywiście piastuna na drzewie umieściła, lecz gdzież go szukać w takiej otchłani, ze zmęczonemi psami i o piątej godzinie wieczorem. Niejeden się śmieje z dykteryjki, że strach włosy i czapkę podnosi, muszę jednak wyznać, że doznałem tego uczucia cztery razy w mem życiu, i dodać muszę, że mnie włosy przez 24 godzin bolały i czesać się nie mogłem, powtóre, że wzruszenia sprawiają gorączkę, która mnie raz w nocy śpiącego z łóżka na podłogę wyrzuciła. Doznałem tej dziwnej, niemiłej i trudnej do opisania sensacji, gdy austrjacka piechota do mnie strzelała — po raz drugi, gdy siedziałem na drzewie, a pode mną kłapał dzik zębami i stąpał nogami ze złości, trzeci raz zaś, kiedy mnie z koniem odyniec powalił, wreszcie w opisanem zetknięciu z niedźwiedzicą.

Jakie wrażenie częstokroć postać niedźwie-

dzia na wytrawnego nawet myśliwego wywiera, niech następujące zdarzenie udowodni. Od r. 1861 polowałem z Konstantym, mieszkającym w Korczynie, towarzyszącym mi na wielu bardzo wycieczkach. Doskonały był to strzelec, ze stalowemi nogami i charciemi płucami. Pomimo, że i ja dobrze chodziłem, nigdy nie byłem w stanie dotrzymać mu kroku, i jeżeli co ubiłem, to z jego łaski, zawsze bowiem do psów pierwszy zdążył, nim ja dobiec mogłem zadyszany, a więc niezdolny do celnego strzału. Nabiliśmy niezliczoną ilość dzików i kilka niedźwiedzi przez lat dziesięć, robiąc w tym celu wycieczki na kilka i kilkanaście dni w góry. Wychował on sobie był maleńkiego pieska, niby wyżełka, niby jamnika — to *mixtum compositum* było ekstraktem psiego rozumu i przywiązania do swego pana, które on wzajemnością odpłacał, nie chciał mi go bowiem sprzedać nawet za cenę 100 zł. Ta psina z ostrym wiatrem doskonale tropiła grubego zwierza, a gdy się odezwała, można było z pewnością liczyć na strzał, bo przez cały dzień go nie porzuciła, jeżeli Konstanty głosem trąbki do powrotu nie nawołał. Piesek miał z natury czyli też doświadczeniem zdobytą zaletę, że droczył zwierza, który go się wcale nie bał, wtedy piesek uciekał do swego pana, a tym sposobem częstokroć pod nogi przyprowadzał niedźwiedzie i dziki. Trzymałem się Konstantego, jak

ślepy, i dobrze mi z tem było. Nie zamierzam tu opisywać ciekawych zajść i epizodów z naszych wspólnych wypraw myśliwskich, wybieram z nich tylko jeden, stwierdzający moje doświadczenie o wrażeniu, jakie pojawienie się niedźwiedzia na myśliwym czyni. Nie pamiętam którego roku i dnia to było, nic bowiem wtedy nie ubiliśmy, więc też do *memento* nic wpisać nie mogłem, posunęliśmy się w góry pod same połoniny za wskazanemi niedźwiedziami. Przechodzimy jar po jarze, debrę po debrze, potok po potoku, Konstanty jedną stroną, ja drugą. *Bosek*, jakby na sznurku wiedziony, buszuje po gąszczach, pyszczka wszakże nie otwiera. Tam, w wysokich górach, już drzewo nie rośnie, pomimo, że kosodrzewiny niema, bywają stuletnie małe świerki z brodami wiszącego szarego mchu, a poza tą wysokością już tylko nagie, trawiaste połoniny. Byłem już bardzo strudzony, więc siadłem na skale, mając przed sobą szeroki widnokrąg, a Konstanty poszedł do jedynego potoku, okrytego młodą świerczyną. Pies zaszczekał i wtem wypada nań pięć niedźwiedzi na piętnaście kroków, dwa duże ciemne, trzy mniejsze, i poczynają igrać między sobą, ignorując szczekającego pieska. Któregoż Konstanty na strzał wybierze, lub może dubletem dwa powali? O dziwo! on się na nogach słania, drżą mu kolana, i wreszcie kładzie się w gąszczu. Niedźwiedzie, skacząc

i przewalając się, poszły przez połoniny. Konstanty dźwignął się, zatrąbił na psa, blady i dziwnie rozstrojony zbliża się do mnie i odpowiada na zapytanie: «Panie, taki mnie strach przejął, że mi się dotąd nogi trzęsą, nie chcę widzieć tych niedźwiedzi i za żadną cenę za niemi nie pójdę!» Szczególne zdarzenie, bo Konstanty w czary nie wierzył, i nigdy żadnych tajemnych środków i recept wolnego strzelca nie używał. U chłopów w górach myśliwskie zabobony rozpowszechnione i nieraz słyszałem o zaczarowanym zwierzu, do którego człowiek nie może strzelić, o urzeczonej strzelbie nie rażącej śmiertelnie, dopóki rzucony na nią urok nie został zdjęty. Bywają w życiu widma i halucynacje, istne jakieś marzenia, przetwarzające świat rzeczywistości w fikcje, bujające w naszej wyobraźni. Mianowicie w życiu myśliwskiem widzimy to, czego niema, słyszymy głosy urojone. Ile to razy ucho wskazuje nam zbliżanie się zwierza nieistniejącego, lub oczy widzą rozmiary nadprzyrodzone, lub przeistaczanie się jednej zwierzyny w drugą. Muszę wyznać, iż dotąd wzrok i słuch mnie drażnią i w błąd wprowadzają, a swawolna wyobraźnia wyrządza mi krocie psot. Ileż to razy przemieniła się sarna w oczach moich w wilka, odyniec w warchlaka, lub odwrotnie, ileż razy oczekiwałem z wytężoną uwagą idącego na mnie zwierza, gdy w istocie tylko rozgorączkowana

wyobraźnia szeleściła i drażniła mnie. Owa złuda owładnęła mnie i Konstantego, słyszeliśmy wyraźne ryczenie i mruczenie niedźwiedzia, widzieliśmy go przez psy powalonego, a nie było go wcale. Dają mi znać, że stary i duży niedźwiedź znaczne szkody wyrządza w bydle i trzyma się okrajków lasu ponad wsią. Gdy na miejscu stanąłem, mówi mi leśniczy: «Niech Pan wszystkie psy puści, po dwa w każdy parów, nie można bowiem wiedzieć, w którym niedźwiedź zaległ». Nas dwóch postawiono na znanych przesmykach niedźwiedzia u góry, mnie w głębokim, kamienistym parowie z zarosłemi ścianami, mego towarzysza zaś na krąglu, do którego się parowy schodziły. Wyznać muszę, że mi się dosyć markotno zrobiło, gdy widziałem po obu stronach młode zagajenie, w parowie zaś ani jednego drzewa do ratunku w razie ostatecznym. Nie łatwo było wybrać pewne stanowisko z powodu ruchomych i nader śliskich kamieni. Wreszcie, odsunąwszy kilka z nich, staję i słyszę gwałtowne naszczekiwania, ryk, hałas, jednem słowem, las chodził, a działo się to w jednem miejscu przez minut kilkanaście. Oczywiście niedźwiedź niespodziewanie zaskoczony został, chwilowo przez psy powalony, lub mężnie walczy. Widząc mego towarzysza z góry biegnącego, i ja począłem się na ścianę drapać i biec na miejsce walki, aby psy ratować. Po zdążeniu na po-

bojowisko, przedstawił się nam obraz krwawy, zaiste nie ponętny dla myśliwego, a obudzający do obecnej chwili wstręt. Oto w gąszczu, na ścianie parowu leży, jak się zdawało, już bez życia, bura jałówka z rozprutym brzuchem i wyjedzoną jedną szynką! Zbiegli się pastuchy, lamentują i płaczą, psy rozżarte nie dają się brać, kąsają, drą i szczekają przeraźliwie, — jednem słowem, przedstawia się nam scena rozpaczliwa, której narazie zaradzić nie było można. Niepojęte to wydarzenie i nie do wytłumaczenia, te same bowiem psy biegały pośród owiec, kóz i bydła, były nakarmione rano, więc niepodobna zrozumieć, dlaczego w dniu tym ową jałówkę tak zażarcie darły, kiedy przez kilka lat polowania nigdy się na domowe zwierzęta nie rzucały. Góralby powiedział, że na psy i to bydlę jakiś urok padł. Targ w targ, zbyłem ten kłopot dla mnie za 15 złr., do tej chwili mam ową scenę w żywej pamięci, i wyjaśnić jej nie umiem, bo ani przedtem, ani później nigdy mi psy takiej psoty nie wyrządziły. Upolowawszy jałówkę, w kwaśnym humorze i z niemałym wstydem wróciłem do domu.

V

W r. 1870 było dużo niedźwiedzi w górach i dosyć się nisko trzymały. Mówiono nam, że

jest duży srokaty niedźwiedź (tak go pasterze zdefinjowali), młody, dwuletni, i niedźwiedzica z dwoma piastunami. Ponęta i pokusa aż nadto dostateczna, żeby się wybrać na te łowy przy wschodzie słońca, z obfitą rosą i w nader pogodnym dniu. Wszystko nam sprzyjało, psy były wesołe, nieznużone, skomlące z radości i niecierpliwości, powietrze spokojne, listek żaden się nie ruszał, a na każdej szpilce błyszczała diamentowa kropla. — Stanąwszy na szczycie, byliśmy otoczeni pasterzami i pastuszkami, mówiącymi nie bardzo zrozumiałą mową, której treść była ta, że pięć niedźwiedzi przebywało tu przez całe lato, że je codzień widują, i wczoraj jeszcze chodziła niedźwiedzica, rozbijając mrowiska. Naszym przewodnikiem był siedmdziesięcioletni leśniczy, mający na sumieniu nie mniej nie więcej jak 38 niedźwiedzi, i od niego to kupiłem był nieocenioną sukę Gazdunię. Rozpatrzywszy się, kazał psami od samego dołu podłożyć, nas zaś postawił na górskiej drożynce. Przede mną rozlegały się przestrzenie większe jak Monaco, Lauenburg lub Lippe, poprzerzynane bezdennemi jarami, zawalone kłodami, łomami i zgniłemi piętrzącemi się barykadami, z klombami kapryśnie rosnących jałowców i czarnych jodłowych zarośli. Na tym ogromnym obszarze rozrzucone były zielone, barwiste polanki, a wszystko otoczone błękitnem światłem w ramy różowe oprawionem.

Większego i piękniejszego świata i szatan nie mógł pokazać Chrystusowi Panu, gdy pokusami począł z nim walczyć. Koło mnie wijąca się skalista drożynka, przede mną zielony dywan świerczyny zwartej w ścianę, za mną piętrzące się, stożkowate skały, a pośród nich rosnące młode brzozy omszone i wielce jeszcze zmęczone srogą zimą ze swemi wichrami i śnieżycami. Gdy tak dusza moja się rozkoszowała, nadszedł leśniczy i posunął mnie nad parowek ze sączącą się leniwo wodą, mówiąc: «On tędy zawsze przechodzi». Siadłem i położyłem strzelbę koło siebie, mówiąc: Będzie czy nie będzie niedźwiedź, ten dzień ubarwi mi pasmo moich wspomnień. W miarę podnoszenia się słońca, zmieniało się tło obrazu, światła i cienie przeistaczały się, cisza wszakże niczem nie była przerwana. Mija godzina i druga — nic nie słychać, to wół zaryczy, sojka zaskrzeczy, ptaszyna do piskląt zakwili, głodny pastuszek smętnie zanuci — i znowu milczenie. Wreszcie Stark zatrąbił, ale gdzie — zdawało się na innym świecie. Pomyślałem sobie: «Zanim do nas dojdzie, noc zaskoczy». Stojąc na górze, widziałem mego strzelca, gajowych, tu i ówdzie migające się psy po gąszczach, o kilka tysięcy kroków pode mną. Trwało to bardzo długo, bo się psy rozbiegły na tej przestrzeni bez granic, wreszcie stary pies zaszczekał i zawył, przybiegł drugi i poprawił, poczem nader wolno posuwa

się ku nam gon. Widocznie niedźwiedź pruł największe gąszcze, psy bowiem spostrzegłem po kilka razy, jego zaś wcale nie widziałem. Po oczekiwaniu, równającem się wieczności, bo niedźwiedź często siadał, a psy szły za nim z respektem o kilkadziesiąt kroków, zbliżył się do potoczku, przeskoczył go, i ruszył na mego sąsiada, starego leśniczego, wkońcu wytknął na drogę. Czy siadł, czy stanął, czyli też przywarował, nie mogłem dobrze dostrzec, lecz widzę, iż leśniczy do nieruchomego mierzy, strzela, a gdy niedźwiedź w brzózki poskoczył, strzela po raz drugi, wołając: «Tfu! to istne czary!» Tymczasem wspaniały zwierz przesuwa się szybko pomiędzy skały i znika mi z oczów. Był to tak nazwany srokaty niedźwiedź, czy on się lenił i futro zmieniał, czyli to była tak wyjątkowa odmiana, nie mogę powiedzieć, lecz był szary, jak dzik jasny, grzbiet bury, a na żebrach miał ciemny pas, sięgający poza krzyże, głowę ciemną. Posiadam skórę podobnego niedźwiedzia, tamten wszakże różnił się wielkością i kolorem, był to okaz niepospolitej wartości dla zoologicznego zbioru i dla badaczów przyrody, niestety, stracony dla mnie z powodu chybionych strzałów. Staruszek, który dzień przedtem powalił niedźwiedzia na pięć kroków tak, iż zwierz, padając, go przewrócił, strzelec twardy, nie łatwy do wzruszenia, klął zwierza, a potem się śmiał, bo chybił do siedzącego

ogromnego niedźwiedzia na 23 kroków. — «To, panie, nienaturalna rzecz, jedna kula w ziemi, druga w skale — ani go drasnąłem. Niema poco za nim iść, bo nietrafiony, on pójdzie do Węgier bez wytchnienia». — Gdy tak o niefortunnej przygodzie rozmawiamy, pojawiają się psy, dziwnie leniwie goniące tego niedźwiedzia, a po chwili zziajany Stark, pytający o skutek strzałów; kiedy mu oznajmiliśmy, że chybione, że są jeszcze w lesie cztery niedźwiedzie, że trzeba psy połapać i podłożyć, bo dwa tylko poszły za zwierzem; skrzywił się okropnie, zbladł i wyjąkał: «To ja chyba zginę». — «Nie zginiesz, mój Starku waleczny, strąb tylko psy, a pobereżnik podłoży». I tak się stało, mieliśmy jeszcze sześć psów. Żeby zrozumieć i przedstawić sobie dramatyczną scenę mego nieszczęśliwego strzelca, który nigdy nie chciał wypalić do niedźwiedzia, wypada opisać trudności w pochodzie przez jary i debry w górach. Odwieczne starodrzewa powaliły się wpoprzek parowów, istne kładki dla przechodnia, na nie znowu wieki waliły drzewa z konarami i gałęziami, pień wiekom urągał, konary zaś zgniły, i potworzyły mosty, na oko do przejazdu zdatne. To wszystko omszone roślinami i grzybami okryte, na górze zaś rosnące karłowate drzewka na odwiecznym humusie. Bywają też gołe maszty, leżące śród debry, niby ławy zagadkowe, bo nikt nie może zapewnić, iż wy-

trzymają ciężar człowieka, częstokroć po obu końcach na ziemi wsparte, bywają bezpieczne, w środku zaś wiszące w powietrzu zgniłe i kruche, rozsypują się pod lada jakim naciskiem. Nieraz widziałem na takich kładkach tropy rysiów i niedźwiedzi, a pod niemi otchłań do 40 metrów głębokości, grożącą przechodniowi połamaniem kości lub nawet śmiercią. Ponieważ zaś góry nasze są zawsze poprzerzynane głębokiemi jarami, przez które, czyto za tropem, czy też za psami koniecznie przechodzić trzeba, to pochód i pogoń bywają wielce utrudnione, a dla huculskiego konia ze stalowemi nogami są one zupełnie niedostępne. Takie przeszkody trują myśliwemu, idącemu do gawry, życie, narażają go na istotne niebezpieczeństwo, drą odzież, i ubezwładniają najwytrwalszego pieszaka. Wskutek krwawych doświadczeń, tak jestem zniechęcony do szukania niedźwiedzia śpiącego, iż gdyby mi wskazano dziesięć nawet zamieszkanych gawr, tobym do nich nie poszedł mimo niepospolitej namiętności myśliwskiej. Dodać jeszcze muszę, że każdy niedźwiedź wypatruje i wyściela w późnej jesieni kilka gawr, a chroni się do tej, którą mu jako najdogodniejszą wskazują atmosfera, temperatura i kierunek wiatrów. Przypominam sobie niedźwiedzia, właściciela czterech gawr, a przez niego niezamieszkanych, musiał więc mieć piątą tajemnie ukrytą, śmiało bo-

wiem twierdzić można, iż skoro misio domyśla się tylko podpatrywania budowy i urządzania z całym komfortem zimowego mieszkania, już z pewnością tam gawrować nie będzie.

Stark potarł chustką czoło, podrapał się w głowę i poszedł do gęstwiny z pobereżnikami. Po godzinie puścił psy, zatrąbił i począł podkładać, my zaś pozostali na tej samej drożynie .Nic nie słychać, nudno, głodno, a do domu daleko, marzyciel byłby się już dawno rzucił w objęcia Morfeusza, lecz myśliwy, choćby tylko z iskierką nadziei, trawiony jest ciągle gorączką oczekiwania niespodzianek, zawsze oddaje się złudzeniom, które ożywiają jego wyobraźnię. Patrzę, słucham i widzę Starka schodzącego nad głębokim jarem, i buszujące psy. Wtem suka leśniczego, spuściwszy się do debry, poczęła naszczekiwać o kilka kroków od mego strzelca, i po chwili wyskakuje mały, czarny niedźwiadek na polankę, siada, i rozsłuchuje się w najpocieszniejszej pozyturze. To łbem rusza, uszka do góry stawia, to się na zadzie podnosi, i znowu siada, sięga łapą do suki, — ruchliwy jak małpa, a z miejsca się nie rusza. Suka rozzuchwalona tą nieszkodliwą gestykulacją, coraz śmielej nań naciera, czasem nawet dosięgnie futra u szynek, a mój niedźwiadek w niezgrabnych podskokach za psem goni, i znowu na swoje miejsce powraca. Moje psy widocznie przepadły, ani jeden nie

nadbiega w pomoc suce, ucierającej się z zwierzem. Stark na drugiej stronie jaru, bezpieczny jak w fortecy, pomyślał sobie zapewne: «to już mój niedźwiadek», składa się do siedzącego, mierzy długo, lecz widocznie było mu niedogodnie strzelić, lub też przestrzeń była za szeroką, więc się posuwa na wyżej opisany pomost, a gdy staje na samym jego środku, wali się z trzaskiem całe rusztowanie, i mój biedny Stark z lufami do nieba wymierzonemi, spuszcza się do Olimpu. Zabawną tę katastrofę widzieliśmy wszyscy, i nie tracąc ani chwili, puściliśmy się przez gąszcz w dół w celu ratowania nieszczęśliwego, który raz przecie jeden miał dobrą wolę strzelić do niedźwiedzia, a jednak mu się to nie udało. Niebezpieczeństwo mogło być wielkie dla męczennika naszego polowania, bo kłoda mogła go zgnieść, śród konarów walących się nań, mógł połamać kości, lub rozbić się na kamieniach, spadając kilkanaście sążni w dół. Wreszcie przybiegamy na zwalony pomost, i wołamy ku pogrzebanemu, on, jak z grobu się odzywa: «ratujcie, bo dłużej nie wytrzymam!» Mimo wytężonego wzroku, nie możemy dopatrzeć Starka, nadbiegli pobereźnicy, i ostrożnie poczęliśmy się spuszczać po stromych ścianach jaru, i wreszcie dotarliśmy do niego. Siedział przywalony na kilka stóp zgniłem drzewem, lekkiem jak próchno, a zatem nie groźnem swoim cięża-

rem. Usunąwszy nawalone drzewo i drzazgi, wydobyliśmy pogrzebanego z kilku sińcami, guzami i draśnięciami, jednak bez rzeczywistego uszkodzenia ciała, z podartą tylko odzieżą. Tymczasem psy doszły niedźwiadka i grają jak w garnku, przepędzając go z gąszcza w gąszcz, i wstrzymując przez długą chwilę na każdem miejscu. Pokrzepiwszy zmartwychwstałego wódką, popędziliśmy za psami, lecz był to dzień feralny, dobrze myśliwym znany, więc nie można było nic upolować. Zerwał się wiatr, przeistoczył się w suchą burzę, i pomimo bliskości psów a powolności niedźwiedzia, nikt z nas go nie widział, polowanie przeniosło się poza szczyty, psy mi się zagoniły, i musiałem z niczem do domu powrócić. Niedźwiedzicy nie ruszyliśmy wcale, albo się zapewne z piastunami w gąszcz jakiego jaru zapchała, lub też wyszła szczęśliwie z tej części lasu. Starkowi przebrała się miarka cierpliwości, rozstaliśmy się więc z sobą, ja dalej poluję, on zaś poszedł do Multan w służbę kolejową, na cholerę stracił żonę i troje dzieci, a po dwóch latach i on przeniósł się do wieczności. Oby po raz wtóry nie powracał do nas w postaci strzelca.

Nie chcę nadużywać cierpliwości czytelników, i wstrzymam się od opowiadań rozlicznych epizodów myśliwskich, pomny, że żołnierz i stary myśliwy to uosobiona gadatliwość

nużąca, a częstokroć nawet niecierpliwiąca. W końcu dodać muszę, że niedźwiedź jest pierwszorzędnym tchórzem, równającym się zajączkowi, i dopiero psami szczuty i rozdrażniony, lub też postrzelony, staje się groźnym, szybkim i niebezpiecznym zwierzem, wyzywającym do walki człowieka. Również krwiożerczy niedźwiedź jest wyjątkiem, staje się nim w późniejszych latach życia swego lub srogim trapiony głodem, a raz zakosztowawszy krwi, już poluje na zwierzęta jak wilk. Twierdzę nawet (czego nie widziałem), że ugania się za dzikami, że się odważnie z odyńcem potyka i pokonuje go. Znałem niedźwiedzie te same przez dwa i trzy lata, polujące na bydło, inne na owce, wszystkie były duże i stare, podkradające się zdradziecko pod pasące się zwierzęta domowe. W czasie dojrzewania jagód: malin, borówek, ostrężyn (ożyn), posuwają się tak stare jak młode niedźwiedzie za tym ulubionym żerem, wybierają je do ostatka, schodzą nawet na płaszczyzny, do tak zwanych czahurów. Przypominam sobie kilka spotkań z niedźwiedziami w letniej porze, a dwa nader ciekawe stoją mi żywo w pamięci. Polując na ptaki w takich czahurach (łąki gęsto zarośnięte) w Stryjskiem niedaleko dwóch wsi, na bardzo znacznym obszarze, i ze zwartemi gęstwinami, strzeliłem kilkakrotnie na tych moczarach, a w południe, po kilku godzinach

polowania, widzę zbliżającego się wieśniaka, który mi mówi: «Niech pan idzie zabić niedźwiedzia, leżącego pod moją kopicą, a nie dającego mi zabrać siana. Już trzeci raz tam jadę, krzyczę i wołam na niego, on siada, mruczy, lecz ruszyć z miejsca nie chce. Szukam kuli w torbie, niestety, nie ma nic oprócz drobnego śrutu. Rozpytawszy się dokładnie o miejsce, ruszam do dworu, aby zarządzić zaraz polowanie. Niestety nadjechali goście, bywają oni wprawdzie ubarwieniem życia wiejskiego, ale też często plagą i utrapieniem! Mój gościnny gospodarz usiłował mnie zapewnić, iż polowanie w dniu jutrzejszym, na które sąsiadów sprosi, niezawodnie pomyślnym uwieńczony będzie skutkiem, niedźwiedź bowiem z tak dogodnego miejsca, obfitującego w jagody, krzaczystego i ochronnego, nie ruszy. Cóż było robić, musiałem się poddać konieczności, niedźwiedź opanował moją wyobraźnię, i zaiste nie byłem nader miły gościom, złorzecząc ich przybyciu w tak niefortunnej chwili. Nazajutrz ruszyliśmy na polowanie, lecz niedźwiedzia już nie było. Srogi ten zawód struł mnie i wywołał narzekania bez granic.

Polowałem na cietrzewie w Stanisławowskiem, wtem pies począł naszczekiwać, nasze wyżły pobiegły, my za niemi, i robi się polowanie jakby z kundysami. Każdy z nas zmienia ładunki i kładzie kule, lecz gon psów oddala się

śpiesznie od nas ku lasom czarnym. Wybiegam z krzaków, i widzę o kilkaset kroków niedźwiedzicę czarną, wysuwającą się z parowu i popędzającą łapą piastuna przed sobą śród najpocieszniejszych ruchów i skoków. Niestety wnet znikł mi z oczów ów obrazek nader ciekawy i niezwykły, dosyć jednak długo był widocznym, iżby mi utkwił w pamięci, jak to matka niedźwiedzica popycha piastuna, zupełnie jakoby niewiasta dziecię swoje. Leśniczy miejscowy twierdził, że niedźwiedzica stanie w lesie, więc zwołał naszych ludzi i pastuszków, i począł gonić mioty z głębokiemi jarami i wielkiemi gąszczami, rzadkich tych jednak na płaszczyźnie gości spotkać nie mogliśmy. Później ku jesieni niedźwiedzie schodzą na leszczyny, gdy orzechy obrodzą, i tam, jak uliczniki gryzą zębami, zostawiając kupy łupin. — Jeżeli się nie mylę, było to w r. 1871, gdy leśniczy nad samem miastem Doliną ze swymi ludźmi ubił w jednej jesieni siedm niedźwiedzi, zebranych tam dla orzechów laskowych. Gdy buczyna obrodzi, co się nader rzadko zdarza w naszym klimacie, a bukiew dorodna, to z pewnością w lasy te zgromadzą się niedźwiedzie. Ostatni rok takiego urodzaju był, o ile pamiętam 1861. Wtedy to dosyć znaczna ilość niedźwiedzi zgromadzoną była w lasach państwa Lubieniec, Korczyna i Kruszelnicy. Chłopi tamtejsi twierdzą, że niedźwiedzie upajają się bukwią, i że

wtedy łatwo je bić, nie mając wszakże nic do czynienia z pijanemi niedźwiedziami, nałogu tego u nich własnem doświadczeniem stwierdzić nie mogę.

Siedząc rano przy śniadaniu w rodzinnem kółku w Stryjskiem, słyszymy opowiadanie pobereżnika, znakomitego tropiciela dzików, o niedźwiedziu niewielkim, który przy wschodzie słońca wdrapał się na gruszę, otrząsł owoce, najadł się, i poszedł do lasu, nie bacząc na hałasy i krzyki. Ponieważ on to sam widział i już zamówił naganiaczy, w jednej chwili zebraliśmy się, pojechali do knieji, przepędzili wszystkie z tym ogrodem graniczące, lecz niedźwiedzia nie było. Niejedno opowiadanie pamiętam o niedźwiedziach widzianych w chwili obrywania malin, siedzących przytem na tylnych łapach, i oblizujących się z zadowoleniem.

Nawet kilka letnich nocy przepędziłem w lesie, aby strzelić przy zachodzie i wschodzie słońca, widząc oczywiste ślady tych smakoszów, lecz mi się to nie powiodło, z przyczyny nadto wielkiej ilości krzaków malinowych, a przedewszystkiem dla wiatru, nigdy bowiem przewidzieć nie można, z której strony niedźwiedź nadejdzie, a ja miałem widocznie zawsze niesprzyjający wiatr.

Słysząc tylokrotnie przez myśliwych, pragnących spotkania z niedźwiedziem, wyrażone

gorące życzenie, myślę, że podaniem sposobu polowania oddam usługę kolegom z pod sztandaru św. Huberta. Mieszkający wpobliżu wysokich gór, najłatwiej polowania odbywać mogą w jesieni na ponowie, gdy się niedźwiedź w góry posuwa, lub na ciepłych, wiosennych śniegach, gdy za żerem schodzi w niższe góry i pagórki. Niedźwiedź, pomimo że wytrwale chodzi i w dalekie rusza wycieczki, jest łatwy do otropienia, on bowiem kluczek nie robi, nie myli tropu, w trop nie idzie, a wielkość śladu ułatwia tropienie. Jeżeli głodny, światami chodzi. Przypominam sobie jednego, za którym chodziliśmy przez półtora dnia, a on ciągle z przysiadaniem wlókł się z jednej góry na drugą. Jeżeli zaś znajdzie pożywienie, oblega w pierwszych parowach, gęstwinami zarosłych, zwłaszcza na wiosnę, gdy osłabiony z gawry wychodzi. Dla mieszkańców płaszczyzn to polowanie nader zawodne, w jesieni bowiem, gdy myśliwy przybywa, już niedźwiedź w góry się posunął, na wiosnę zaś, nim przybędzie, słońce śnieg stopi.

W górach niedźwiedź od połowy września trzyma się owsów napół dojrzałych, posiadających jeszcze mleczko, i tam go nader łatwo wytropić, bo zostawia takie ślady na łankach, że z góry na górę je dostrzec można. Siada na zadzie, przedniemi łapami zbiera źdźbła, ssie ziarno, wypuszcza wyssane, i znowu zbiera

snopki, a tyłem nielitościwie wygniata zboże, i tak się przez pole posuwa. Gdy już nic do zbierania nie pozostaje, powraca na górę, i powtarza ową operację do tego stopnia szkodliwą, iż widziałem pola, z których gospodarz wcale już owsa zbierać nie chciał. Na takich to owsach niedźwiedź się obżera nad miarę, i z pewnością spoczywa wpobliżu, w pierwszym zagęszczonym jarze. Jeżeli przeto wiatr przyjazny, i można jar do góry gonić, wtedy przy dostatecznej do obstawienia przesmyków ilości strzelców, niedźwiedzia łatwo ubić można. Polowanie jednak z naganką zawsze niepewne, posuwa się bowiem ona powoli, zostawia zwierzowi dosyć czasu do wysłuchania i wietrzenia, zresztą wszystkie stanowiska obsadzić trudno, więc zawodów bez końca. Górale mówią, że z naganką niedźwiedź proszony, z psami zmuszony — i to wielka prawda. Z dobremi psami ubicie niedźwiedzia to tylko kwestja czasu i sił myśliwego, jeżeli słońce nie zajdzie, a zmęczenie pogoni nie wstrzyma, to zwierz z pewnością zginąć musi. Bez porównania łatwiejsze z psami polowanie na niedźwiedzie, jak na dziki. Pierwsze często przysiadają, droczą psy a nie kaleczą, bronią się i chronią do barykad leśnych, targnięte już zabezpieczają swe zady o drzewa, i tym sposobem ułatwiają pogoń, a do tego dodać trzeba, że dają psom bez porównania większy wiatr jak inne zwie-

rzęta, i dziwnie do gonienia i atakowania zachęcają. Drugie zaś częstokroć sznurem się wysworują, i nie staną wcale przez kilka godzin, lub też popłatawszy i poturbowawszy psy, resztę do pogoni zniechęcają. Miewałem dowodne psy, tchórzące nieraz przed dzikami, nigdy nie porzucające niedźwiedzi, a jeżeli zwierz nie padł, co się nader często zdarzało, to nie z winy psów, lecz z piętrzących się trudności nie do pokonania nawet dla szybkochoda w górach. Ileż to razy widziałem obsaczonego niedźwiedzia, broniącego się za debrą na drugiej górze o 2000 metrów odległości, psy przybiegły, a ja zaś z narażeniem kości i odzieży, musiałem przez dwie godziny i to z wielką ostrożnością przełazić zawaloną otchłań, a tymczasem polowanie posuwało się dalej.

W górach chłop z urodzenia myśliwy i zoolog, on, dobrze wynagrodzony, otrzęsie się z niszczącego go lenistwa, i w każdej porze wytropi niedźwiedzia, czy to na jagodach, owsie, orzechach, czy na kwaśnicach (dzikie owoce) nie koniecznie w jednym kawałku, jednak na przystępnej przestrzeni, a zatem w kilku miotach. Jeżeli niedźwiedź ma obfity żer, co poznać można po pozostałościach, to z pewnością zostanie kilka i kilkanaście dni na tem samem miejscu, jeżeli nie był płoszony i strzelany. Wtedy polowanie wielce ułatwione, bo niedźwiedź z natury jest leniuszek i nie lubi chodzić,

on odbywa podróże z przymusu, próżnym żołądkiem pędzony, a gdy głód i pragnienie zaspokoi, spoczywa w bezpiecznem legowisku. Przeciwnie wilki i dziki potrzebują ciągłego ruchu, bo im to do trawienia potrzebne. Niedźwiedzia zawsze szukać należy wpobliżu wody, w suchej okolicy nie spocznie, potrzebuje bowiem często gasić pragnienie i używać kąpieli kilka razy na dobę. Po tłustych pokarmach, bukwi i orzechach laskowych, często pije, przerywając żerowanie, idzie do potoczka, i znowu do uczty powraca.

Wiadomości z polowań na niedźwiedzie w różnych okolicach byłyby nader pożądane nietylko dla myśliwych, lecz także dla ogółu, pozwoliłyby poznać naturę, charakter i zwyczaje tego zwierzęcia w różnych stronach kraju. Wytrzebianiem lasów coraz dalej go pędzimy, i wkrótce stanie się on u nas rzadkością jak żubr i łoś. Francuskie przysłowie mówi, że doświadczenie jest własnością indywidualną, może być bardzo, że i moje nie zgadza się z doświadczeniami innych, i że opisy powyższe są jednostronne, dla tych przyczyn kończę prośbą do kolegów, rozrzuconych po obszernym kraju, a polujących na grubego zwierza, aby zdobyte doświadczenia swe publiczności udzielić chcieli, a wtedy dopiero uzupełnimy obraz wspaniałego niedźwiedzia. Mnie nigdy zarozumiałość nie opanowała, ani nie-

omylność nie upoiła, dziś jak dawniej, chciwy wiedzy, opartej na prawdzie, naukę moją o myślistwie nie chcę opierać na tradycją przekazanem kłamstwie, lecz na rzeczywistem i badawczem doświadczeniu, będącem najsilniejszą bronią myśliwych.

Olejów, 30 marca 1879.

WSPOMNIENIA Z ŁOWÓW NA DZIKI

I

Dla mnie wcale nie jest wątpliwością wytwarzanie się mieszańców z swojskich świń i dzików, przeistaczających się w dalszych prokreacjach na odmiany łatwe do rozróżnienia od pierwotnego dzika. Stopnie tych odmian, nader zajmujące w badaniu i regestrowaniu, są bowiem nieskończone, począwszy od białego zupełnie dzika, przechodząc do srokatych i plamistych, a skończywszy ich szereg na odmianach, niewidocznych dla każdego myśliwego, a jednak istniejących częściowo, pomimo, że koloryt zwierza do prototypu podobny. Pisząc jako badacz przyrody, używam wyrazu: n i e c z y s t e g o p o c h o d z e n i a dla dzików, pochodzących z takich mezaljansów, licznie pojawiających się w Galicji, przeważnie na płaszczyznach i nad rzekami dębostanem zarosłych. Mięszaniec, chociażby był zupełnie do dzika podobny, zachowa jednak w części znamiona charakterystyczne świni, i tak nie dorośnie nigdy rozmiarów czystego dzika, będzie mieć głowę mniejszą, uszy grube, czasem nieco

wiszące, a nigdy nie będą one lekkie, spiczaste, jak u prawdziwego dzika, któremi strzyże na wzór konia; ogon u niego będzie gruby i ciężki, nie łatwy do podniesienia i zwinięcia w obwarzanek, wkońcu nie nabędzie nigdy zuchwałości i odwagi dzika. Czy to w odyńcu, czy w stadzie, na pierwszy rzut oka prawie rozróżnimy pierwotne od mięszańców tak przed psami, jakoteż przed nagonką, pierwsze będą najeżone, z czubami między uszami, z ogonkami do góry podniesionemi, z grzywą na karku, z olbrzymiemi głowami i nader wąskiemi zadami, a ryjem podniesionym, szukającym wiatru, broniące się z podziwienia godną odwagą, ze zwinnością i zręcznością nader niebezpieczną, nie wydające kwiku w walce i cierpieniu; drugie mniejsze, truchtujące jak swojskie świnie, z uszami rzadko kiedy do góry podniesionemi, bez czubów i grzyw, z mniejszemi łbami, dające się psom dusić, nie stawiające mężnego oporu, z ogonkami wiszącemi, kwiczące w walce, jak swojskie świnie. Różnica ta większą jest u dzików, jak u sarn, których wielkość na naszem podgórzu jest tak znaczna, że waga ich zdwaja się wobec sarn niemieckich. Odyńce pochodzenia nieczystego nigdy nie będą miały tych olbrzymich brzytew i szabel, zdobiących właściwe dziki, ich kły rzadko kiedy zadadzą psom śmiertelne razy. W wspomnieniach moich zanotowałem wiele dzików tego pocho-

dzenia, w nader zbliżonych kształtach do pierwotnego zwierza, pomimo odmiennego płaszcza. Ubiliśmy olbrzymią samurę w otoczeniu pięciu ciemnych warchlaków, a dwóch srokatych; dalej białego wycinka prześlicznego co do kształtów; a wkońcu srokatego i srokatą samurkę dwuletnią.

Te odmiany zdarzają się wyjątkowo, a one dają nam naukę, jasno dowodzącą, że krew odwieczna i najsilniejsza zawsze się w potomności odtwarza, i z tej to przyczyny przeważna część mięszańców podobną jest na pierwszy rzut oka do pierwotnych dzików, a dopiero badanie pojedyńczych części ciała wskazuje nam odmiany.

Zbierałem przez 42 lat mego polowania na dziki skrzętnie wiadomości, a spostrzeżenia zanotowane towarzyszą mi zawsze, a jednak, mimo niezmordowanych badań i porównań, dziś jeszcze nie umiałbym wyjaśnić przyczyn odmian, spostrzeganych w pierwotnych dzikach, i miejsc ich pochodzenia. Z pewnością twierdzić można, że są cztery odmiany lub podgatunki typowe, powtarzające się od wieków aż do naszych czasów, mianowicie: dzik długi a niewysoki, najczęściej ciemnej barwy; dzik krótki, wypukły, niby nieco garbaty, na wyższych nogach, karasiowaty, jak go myśliwi w górach nazywają; dalej są ciemne, niemal czarne dziki; a znowu jasne i srebrzyste. Dzik

karasiowaty jest katem dla psów, jego rzutność i zwinność wyniszczyć może psiarnię, złożoną z zajadłych psów, co mi się, niestety, nieraz zdarzyło; przeciwnie, dziki długie, ciemnego koloru, nie posiadające tej rzutności, nie są tak niebezpieczne, jak poprzednie, których samury nawet zjadały mi psy, czemu trudno uwierzyć, lub ryjem, jak taranem uderzając, zabijały walecznych mych pomocników. Widziałem wyrośnięte warchlaki, a nawet między niemi mniejsze, broniące się skutecznie wobec dwóch psów, i taki jeden warchlak gonił za mną przez kilka minut, kłapiąc zębami, spieniony z wściekłości, i byłby ukąsił i przewrócił, gdyby mnie psy nie wyratowały, gdyż ani chwili w tym pośpiechu stanąć nie mogłem, aby się zmierzyć i strzelić. Jak u wszystkich zwierząt, tak też u dzików są stopnie inteligencji, pamięci, odwagi, czujności, pracowitości i lenistwa czyli ociężałości. W tym względzie możnaby krocie wizerunków nakreślić, a jeden do drugiego nie byłby podobnym, i te to różnice stanowią rozkosz, upajającą w polowaniu z psami na dziki, a zwracam to twierdzenie w szczególności do odyńców.

Według mego doświadczenia, niemal półwiekowego, dziki od pradawna utrzymywały się w odwiecznych lasach Karpat, mając tam obfity żer w bukwie, w truflach i korzeniach, znajdujących się po górskich cieplicach,

w orzechach laskowych, a musiały one widocznie bez wysilenia zapokajać głód, gdyż dawniej nigdy nie słyszeliśmy o szkodach, wyrządzanych przez dziki w górach. Dopiero, gdy z wyżyn schodzić poczęły i rozmnażać się, gdy nastąpiło krzyżowanie z domowemi świniami, stały się dziki straszliwą klęską w łanach. Przed rokiem 1848 nie pamiętam dzików na równinach, wyjąwszy Nadwiśla i Nadsanu, gdzie z Kongresówki nadchodziły, w Karpatach zaś i na Podgórzu były zawsze dziki we wszystkich znanych mi rewirach. Dopiero po kampanji węgierskiej, gdy ciche nasze lasy kolumnami wojskowemi, strażami chłopskiemi, przekradaniem i przechowywaniem się młodzieży, wkońcu hałaśliwem strzelaniem zaalarmowane zostały, zeszły dziki na płaszczyznę i, jak Hannibal w Kapui, tak one, zakosztowawszy wybornego wiktu, pozostały u nas, i rozmnożyły się nad miarę. Mieszkając wtedy w obwodzie Brzeżańskim, w leśnej okolicy, przypominam sobie kilka stad i odyńców, pojawiających się u mnie, a że to był rok urodzajny na bukiew, dziki te pozostały, pomimo, że je dziesiątkowałem, rozmnażały się widocznie, i do chwili sprzedania mego majątku w r. 1857, w każdej chwili miałem to polowanie na każdej ponowie. Te to dziki, posuwając się na niziny, a spotykając trzody domowych świń, pasących się po dębowych lasach i bukowych, wytworzyły

ową mnogość mięszańców, dziś nie do obliczenia; w górach, pomimo przetrzebienia i spustoszenia lasów, przechowały się dziki wszędzie w krwi nieskalanej krzyżowaniem.

Polując w r. 1839 w rewirze Stale, w Mokrzeszowskiem państwie, pamiętam ślimakowe opłotki, w które hukające się domowe świnie wpędzano, a one rodziły niemal zawsze mięszańce, których już było wiele w lasach Rzeszowskiego obwodu, i te dziki rozchodziły się po innych kniejach naszej płaszczyzny. Nie pamiętam nazwiska starego tamże nadleśniczego Niemca, zamiłowanego hodowcy zwierzyny do tego stopnia, że nigdy nie zabijał romansującego ze świnią odyńca, mówiąc: «Zamało ich jeszcze». Nie dziwmy się śwince, i nie potępiajmy jej, że ona szuka swego prototypa okazałego, i że przenosi z nim związki nad te, które zawierała z brudnym i gołym knurem na błotnistem podwórzu. Nader często domowa locha ginie w lasach, dziczeje, a mając dostatek żeru, już do domu nie powraca, wywodząc niekiedy kilka generacyj kreolów leśnych. Odyniec uznał powabną świnkę za godną swoich miłośnych zapałów, i często z narażeniem życia opuścić jej nie chce. Kilkanaście razy polowałem na tych świńskich Otellów, które w zaślepieniu nawet na podwórza zapędzać się dały, i życiem opłacały swe rozhukane chucie.

W roku 1843, jeżeli się nie mylę, zdarzył

się w Księstwie Poznańskiem, w powiecie krobskim, wypadek nader ciekawy, zasługujący na opis. Wprawdzie nie byłem obecny przy tej reprezentacji, ale przyjechawszy w kilka dni później, słyszałem opowiadanie naocznych świadków. Jeszcze to wtedy istniały obszerne lasy z olbrzymiemi dębami, dziś pływającemi po morzach pięciu części świata. Ponieważ żołądź zrodziła, wpuszczono za opłatą dwóch talarów od sztuki, tysiące świń na zimowlę do lasu. Owóż w tym roku zabłąkał się był tam kilkoletni odyniec, a zwietrzywszy dnia jednego ujmujące, gładkie, okrągłe świnki, rozpoczął konkury, i w tym dniu trzody już nie opuścił. Gdy wieczorem pędzono dworskie świnie do leżącego wpobliżu folwarku, odyniec towarzyrzył trzodzie, i nie dostrzegł, że go zapędzono na podwórze, jakoteż, że wrota zamknięto, i rozgorączkowany śród zabudowań rozbijał lochy. Pastuch, widząc owego nieznanego mu potwora, pobiegł do dworu, i doniósł o tem zdarzeniu. Wszyscy zawołali: to dzik, trzeba go zabić! i co rychlej rzucili się do nabijania strzelb kulami. Należy wspomnieć, iż śród tych wszystkich myśliwych żaden w życiu nie widział dzika, i nie polował na niego, a ponieważ staropolska gadka przeznacza trumnę dla myśliwego w spotkaniu z tem zwierzęciem, zachowano przeto wszelkie ostrożności, posunięte aż do śmieszności. Po trzech stronach folwarku

były budynki, a czwartą część czworoboku zamykał mur dosyć wysoki z bramą i furtką. Po drabinach wdrapali się myśliwi na dachy i posiadali na nich, a było ich pięciu, szósty ekonom umieścił się na murze. Rzucano na odyńca kamieniami, aby go od świń odłączyć, lecz żadne strategiczne plany nie odnosiły pożądanego skutku, wreszcie jeden odważył się strzelić z narażeniem życia której z świń. Wtedy odyniec, czując niebezpieczeństwo, rzucił się ku furtce, pchnął ją ryjem i umknął cały szczęśliwie. Nikomu nie nasunęła się myśl, że dzik będzie uciekał tą samą drogą, którą wszedł, nie zabarykadowano furtki, a najzabawniejszym w tem polowaniu był ekonom, który, siedząc na murze koło bramy, nie miał odwagi strzelić, gdy dzik się borykał z furtką. Można sobie wyobrazić rzadkie miny owych myśliwych po tej katastrofie upokarzającej, że dzika z klatki tak małodusznie wypuścili.

Drugi epizod drastyczny i niepodobny do wiary wydarzył się w r. 1852 w moich oczach, i dziś jeszcze niejeden z moich towarzyszów ów dzień pamiętny wspomina. W Rudnikach, w obwodzie Brzeżańskim, był znakomity tropiciel dzików pobereżnik Fedzio, pijak wprawdzie, jakto, niestety, często u myśliwych chłopów się wydarza, ale z okiem rysia, przebiegłością lisa, twardego organizmu, szydzącego ze srogości naszej zimy. Otóż czy to Fedzio na

złość zrobił, co mi prawdopodobniejszem się być zdaje, czy też sam rzeczywiście się oszukał, nigdy dociec nie mogłem, wobec mnie bowiem zaklinał się, że i on byłby do tego dzika strzelał. W Podhajcach mieszkał zacny i szanowany kanonik Szp....., towarzysz wielu mych wycieczek myśliwskich. W styczniu zawitaliśmy do Rudnik, a Fedzio zaraz nam doniósł, że razem leżą dwa wycinki, a osobno na kraju lasu duży odyniec. Puściliśmy psy i zabiłem jednego z dwóch dzików, a za drugim poszły psy. Fedzio, obchodząc ów na całą okolicę sławny miot *Sorokpotoki* (było tam bowiem 40 parowów, zarośniętych młodą buczyną, gęstą jak konopie), upatrzył dzika pod kłodą nad debrą w okrajku gąszcza, graniczącego ze staropniową buczyną, pobiegł do nas, a spotkawszy kanonika, pytał, czy chce do dzika strzelić. Oczywiście uradowany ksiądz obiecuje znaczną nagrodę. Podkradają się po dość miękkim śniegu, Fedzio zaleca ostrożność, twierdząc, że odyniec duży jak krowa, nareszcie pod kłodą wskazuje czarnego dzika. Kanonik, podszedłszy na 30 kroków, wymierzył, strzelił, i co nogi wytrzymać mogły uciekał, chowając się za buka. Gdy odsapnął, pyta pobereżnika, czy leży? Fedzio odpowiada, że ani się ruszył. Wtedy ostrożny myśliwy, rozumując, że lepiej dla bezpieczeństwa jeszcze raz do niego strzelić, podsunął się, i drugą kulę wpakował w odyńca le-

żącego, i co najciekawsze, że znowu uciekał i chował się za buka, a Fedzio, gdyby Sancho za Donkiszotem uciekał, bojąc się rzeczywiście lub doskonale odgrywając rolę tchórza. Na te strzały pośpieszamy na owo miejsce, i zastajemy kanonika z wyrazem spożytego ekstraktu kwasu na twarzy, a Fedzia miętoszącego czapkę baranią w rękach, nieco uśmiechniętego i szepczącego półgłosem: «A to nieszczęście!» Nikt z nas nie mógł się zorjentować, przygotowani na wyraz triumfu, widzimy nosy na kwintę spuszczone. Otóż ten groźny odyniec z niezwykłemi szablami miał lewą szynkę przez lisy wyżartą, i musiał w tym leśnym grobie już od tygodnia spoczywać. Fedzio zawsze szydersko się uśmiechał, lecz przysięgał, że on temu nie winien, i opowiadał, jak ostrożnie i strategicznie kanonik postępował w tej groźnej walce. Wieść gruchnęła po całej okolicy, wreszcie dostała się i do Lwowa. Mój zacny towarzysz, zmaltretowany ciekawością, żartami i szyderstwem znajomych, po kilku tygodniach pojechał do Lwowa, aby się otrząść z miazmatów pozostałych po walce z odyńcem. Lecz tam go dosięgła kara za zbyteczną ostrożność i zbyteczny instynkt zachowawczy. Siedząc przy stole w restauracji Dreznera, słyszy wygłoszone swe nazwisko i opowiadanie następujące: «Kanonik strzelił do odyńca, a pomimo, że się tenże nie ruszył, począł uciekać, drapać się na drzewo, na któ-

rem zostawił część kapoty, species rewerendy, i dopiero gdy się czuł bezpiecznym, wołał przeraźliwym głosem o ratunek». Struchlał mój kanonik, zimny pot go oblał, i głosu wydobyć nie zdołał, dopiero po chwili odezwał się w te słowa: «Panowie! to ja jestem owym bohaterem, o którym mowa» — i opowiedział im całe wydarzenie. Gdy mnie potem odwiedził, rzekł: «Wszystko już przebolałem, lecz lwowskiego pośmiewiska nigdy nie zapomnę».

Świat twierdzi, że myśliwi kłamią, i to kłamstwo stało się przysłowiem, lecz świat nie poluje, świat nie bada tajników przyrody, nie studjuje rozumu i pamięci zwierząt, i nie wierzy w wyjątkowe przymioty żyjątek na wolności. W dniu 15 stycznia dają mi znać (mieszkałem wtedy w Brzeżańskim obwodzie), że objechano trzy duże dziki. Wnet kogo mogłem zwerbowałem od gospodarstwa, a myślistwo moje codziennie czekało do 10 rano na raport objazdu, pomimo pośpiechu jednak, już wybiła 12 godzina, gdyśmy wyruszyli. Mój, nigdy nieodżałowany Hryńko, złodziej i pijak pierwszorzędny, którego musiałem nieustannie z kryminału lub karczmy wyciągać, mówi mi do ucha: «J. Panie, to dziwne dziki, bo tak furczą, jak wiatr, trzeba się cicho rozstawiać». Stanęliśmy na stanowiskach, i rzeczywiście dochodziło uszów naszych rechotanie samury, szarże odyńców, kłapanie zębami i furkanie. Zaledwie pu-

szczono tropowca, już Hryńko przybiega, i zadyszany mówi: «Jeden poszedł zagranicę, dwa do miotu zwanego Śliwianką». Ja powiadam: «Tropowiec śladu nie porzuci, a gdy się odezwie, puścić psy, my zaś chodźmy za tropem». Tropowiec mój, Śpiewak, weteran niejednej krwawej walki, miał przez odyńca uciętą nogę przy samem udzie, był to istny genjusz psi, rzeczywisty bohater z rzadkiem poświęceniem. Szedł wolno na trzech nogach, pomrukując zawsze groźnie, czasem zaszczekał, i znowu milczkiem docierał wiernie tropu, na jego głos cała złaja psów jakby na komendę rwała się do niego, ufając wytrawnemu doświadczeniu tego patrjarchy mojej psiarni, nie zawodzącego nigdy ani myśliwego, ani swych kolegów. Stracił odwagę i natarczywość pierwotną po utracie nogi, lecz na trzech oddawał mi przez wiele lat większe usługi, jak wszystkie psy moje. Skoczyłem na konia, a że to było niebardzo pewne pole, jechałem po gąszczach, sylabizując tropy. Niebardzo się wiodło, Śpiewak zagłosił pewny tropu, puszczono psy, jedne się puściły za dzikiem, uciekającym zagranicę, drugie błąkały się, a ja wolno przy okiści jechałem za tropem dzika i tropowca. Śpiewak powtórnie zagłosił, odwrócił się, jakby towarzyszów nawoływał, po raz trzeci stojąc zaszczekał, a po chwili otoczyły mnie psy, minęły, i wnet rozległa się wrzawa nie do opisania. Prę konia z całej siły,

brnę po śniegu, sam zaśnieżony wyskakuję na małą zrębową polankę, i widzę dwa najeżone dziki, stawiające się psom, odyńca zasłaniającego samurę. Śliczny obraz, rozkoszne wzruszenie, widok, pobudzający krew do obiegu gorączkowego! Śpiewak, zrobiwszy swoje, siada, pomrukuje, i żałośnie naszczekuje, boleje, że już do walki należeć nie może, Dunaj uchwycił za udo samurę i szarpie portki. Bosak za ogon odyńca trzyma, a Murdzio w gniewie za przednie nogi targa samurę. Dziki, psami zajęte, nie patrzą na myśliwego, stojącego w odległości dziesięciu kroków, zupełnie od śniegu białego. Składam się, lecz strzał niełatwy, roją się psy z dzikami — nie mogę strzelić. Wreszcie w pewnej chwili rozskoczyli się bojownicy, spuszczam cyngiel, przytrzymuje mi strzelba zaśnieżona, a kula idzie w krzaki. W rozpaczy struchlałem, dziki się rozskoczyły, za jednym z nich posłałem kulę, wołając, jak mi potem Hryńko mówił, chybiłem! chybiłem! Wszystkie psy poszły za samurą, a moje dwa wychowanki, Murdzio i Bosak, górujące rozumem nad inne psy, za odyńcem. Zsiadłem z konia, otarłem pot z czoła, wielce zafrasowany poszedłem szukać drugiej kuli i śladów. Nabiłem, dostałem się na siodło i jadę wolno za tropem, śledząc pożądanej farby, której, niestety, nie było. Ujechałem około 1000 kroków, i w chwili, gdy chciałem nawracać konia, słyszę

głos ostanowienia dzika i pojedyńczy strzał, wnet wybiega pędem na mnie Murdzio, skacze z radości, myrda ogonem i śmieje się wargami, pokazując zęby. Wołam: husz! husz! piesku, a gdzie dzik! Mój Murdzio gambady wyprawia, skacze do pyska konia i skomli, odbiega i znowu wraca, jakgdyby mi pokazywał drogę za sobą. Puszczam konia i jadę za psem, dostrzegłszy, że on za tropem idzie; to staje, to wraca, to znów galopkiem rusza. Zaciekawiony mimiką wyrazistą Murdzia, śpieszę za nim, i przyjeżdżam po kilkunastu minutach do dołu, utworzonego przez dawną węglarkę, w którym leżał ogromny odyniec, szarpany nielitościwie przez Bosaka. Opatrzywszy psy i przekonawszy się, że żaden nie ranny, odpędziłem je i galopem pośpieszyłem do trąbki, wskazującej mi trupa. Tam również odegrał się wyjątkowy dramat. Psiarnia rozjuszona dała się dzikowi ciągnąć, a mój duży owczarski pies, jak śnieg biały, skoczył na samurę, wgryzł zęby w kark, poczem taki ciężar dźwigając na sobie, wyszła na myśliwego, który ją celnym strzałem powalił. Gdyby mi mój *alter ego* myśliwski takie zdarzenie opowiadał, nigdybym był nie uwierzył. Jeden pies ciągnął się za uchem dzika, dwa wgryzione w szynki, a biały siedział na grzbiecie. Zginęła samura powalona na ziemię, a psy jeszcze nie puściły, i dopiero z moją pomocą kneblami otwieraliśmy pyski. Lubo miałem

kilkakrotnie dowodne psy, to jednak takiej zażartości już więcej nie widziałem. Nie wiem, czy koledzy moi, polując z kundysami, zauważali to, że psy bywają najzawziętsze w porze hukania się dzików, przypisuję to mocnemu i nieprzyjemnemu wiatrowi, wychodzącemu od dzików, a że wtedy odyniec jest najciętszy, więc też najwięcej psów ginie. Wesele dzików, to straszny widok, zaiste groźniejszy, jak sceny przy wyborach na Węgrzech! Kilka razy byłem naocznym świadkiem tego obrazu, a raz zadrżałem, widząc śnieg wkoło krwią zbroczony, a na odyńcach rany bez końca. Owe ryje spienione, oczy roziskrzone, te szarże wściekłe, cięcia głębokie, rechtanie samur, kłapanie odyńców zębami, rojenie się rozhukanych potworów — zostawiły w mej pamięci żywy i przerażający obraz, który nie wygaśnie do końca życia. Było to w grudniu, roku nie pamiętam, w stryjskich lasach, gdy duży dzik spokojnie przed naganką na mnie wyszedł. Wymierzyłem dokładnie, strzeliłem, dzik skoczył, i wolno dalej kroczyć począł. Zdziwienie moje było niepospolite, gdy ścigając dzika po uboczy, przekonałem się, że wolno, ale bez przerwy, posuwa się ku głębokiemu lasowi. Nabiłem strzelbę, poszedłem za tropem i spostrzegłem strugę farby na śniegu. Kiedy się myśliwi zeszli, prosiłem o pozwolenie prześladowania tego dzika bez towarzyszów. Odpowiedziano

mi, iż nie potrzebuję chodzić daleko, lecz przeciąć ścieżką, bo on pójdzie do gąszczów bagnistych, lub w drodze się położy. Dobrze mi poradzono, objechawszy bowiem miot, ujrzałem dzika, kroczącego z wysileniem pod pagórek do pomienionego gąszczu. Szybko zabiegłem drogę dzikowi, zeskoczyłem, przywiązałem konia do drzewa, i zakradałem się do gąszczu, nie wiedząc, że tam się odbywa piekielne wesele w nader licznem towarzystwie. Wszedłszy do środka, usłyszałem szum, kwik, rechtanie, a zbliżywszy się, oczom moim uwierzyć nie chciałem, tyle tam było dzików, że cała biała przestrzeń mi się zaczerniła. Pokazało się, że mój postrzelony dzik był starą samurą, hukającą się w tej chwili, kiedy bowiem zbliżyła się do stada, poczęły na nią skakać odyńce, wzajemnie się spychać, ścinać i szarżować na siebie. Widocznie musiało tam być kilka zaślubionych samur, bo co chwila widziałem odyńce wskakujące na nie i prześladowane przez współzalotników. Ranna samura uklękła pod ciężarem odyńca, i powaliła się na ziemię, wreszcie, przewróciwszy się na bok, życie zakończyła. Wyznać muszę, że śród tej rozjuszonej rzeszy w gąszczu i bezdrzewku, było mi nieco markotno w duszy, dlatego wahałem się, ażali mam strzelić, lub cicho się wynosić, aby myśliwskiemu towarzystwu dać znać o tem ciekawem widowisku. Jak to, niestety, często

w życiu się zdarza, namiętność przeważyła rozum i rozwagę, postanowiłem strzelić, lecz gdy przyszło do wykonania zamiaru, okazały się niemałe trudności, tu bowiem odyńce uganiają za sobą, tu inny jedzie na samurze, a warchlaki z mniejszemi dzikami formalnie się roją, jak *perpetuum mobile*, żadnego dobrze na cel wziąć nie mogę. Już stałem tak z dziesięć minut, rozgorączkowany widokiem, może nieco strachem, do którego się pokornie przyznaję, i czułem, że nie jestem w stanie celnie strzelić, tak mi się ręce trzęsły. Nareszcie odskoczył olbrzymi odyniec, pokazując mi białe, zagięte szable, i stanął za liściastym, bukowym krzakiem na połeć. Niby dobrze wymierzyłem i posłałem mu kulę. Jakiż popłoch wszczął się po strzale śród weselnej drużyny — żadne pióro tego opisać nie zdoła, szum, hałas nie do opisania, samury, dziki i warchlaki rzuciły się, przez parów uciekając w przeciwną stronę, pięć zaś ogromnych odyńców, między niemi i strzelany, przesunęły się jeden za drugim truchtem o 15 do 20 kroków ode mnie. Wtedy, dzięki Nemrodowi i Dianie, zimna krew i przytomność mnie nie opuściły, byłbym z pewnością zginął, dziki były rozjuszone, zapienione i kłapiące zębami. Nieruchomość posągu wybawiła mnie od śmierci, nie miałem odwagi strzelić raz drugi. Uspokoiwszy się nieco po tem szatańskiem weselu, poszedłem za tropem,

z radością zobaczyłem farbę, i pocieszyłem się widokiem tropu już odłączonego od innych. Obszedłem jeden i drugi miot, mój dzik idzie dalej, noc mnie zaskoczyła, powierzyłem przeto dalsze śledzenie tropicielowi, i pojechałem znużony nad miarę do domu. Nazajutrz doniesiono nam, że odyniec został w trzecim miocie, lecz mnie za tropem nie puszczono, a gdy wkrótce potem chłopcy krzyczeć poczęli: ratujcie, dzik, dzik! zbiegłem do parowu, nad którym stałem, i spostrzegłem potwora, stojącego na barłogu, nie ruszającego się, z ogonkiem w obwarzanek zwiniętym, i kłapiącego ryjem. Po strzale moim powalił się, a gdyśmy go anatomizowali, pokazało się, że miał na żebrach trzy głębokie cięcia, z których się sączyła blada, wodnista farba.

II

Nie podlega wątpliwości, że samury proszą się przez siedm miesięcy w roku i hukają w miarę posuwającego się wykształcenia płodu przez tyleż miesięcy. Nie przeczę, że główne hukanie odbywa się w grudniu, lecz wtedy hukają się stare, wyrośnięte samury, i przyznać musi każdy myśliwy, że wtedy ubijał same duże; w późniejszych miesiącach hukają się młodsze; w zimie, na wiosnę i wyjątkowo w lecie nawet dorastające. Zdarzało mi się widzieć warchlaki

moręgowate w pierwszych dniach marca na mrozie i głębokim śniegu, również w kwietniu i maju, a r. 1865 w grudniu dusiły moje psy warchlaki, nie mające więcej, jak dwa miesiące. Proceder to zupełnie podobny do lochania się swojskich świń niemal w każdej porze roku. Że swojska świnia w ciepłym chlewie, przy dostatniem pożywieniu, pędzoną bywa gorącą krwią do knura, dziwić się nie można, lecz jak samura w głębokim śniegu i srogich mrozach, o chłodzie i głodzie, hukać się, a później warchlaki wyżywić i ogrzać zdoła, to zaiste pojąć trudno. Sambym temu nie uwierzył, gdyby mnie doświadczenie stanowczo w tym względzie w mojem mniemaniu nie utwierdziło. W państwie Podhajeckiem, majętności księżnej Marceliny Czartoryskiej, z obszernemi lasami, w których w swej łaskawości pozwoliła mi polować, w ostatnich dniach lutego r. 1851 przybiegł niezmordowany Fedzio, i oznajmił, że gruby odyniec leży w młodej dębinie, kawałeczku, nie wynoszącym 15 morgów. Tropiciel mówi: «Nie potrzeba puszczać psów, ja go sam na panów wygonię». Stajemy na linji w sześciu myśliwych, a od leśnych łąk rozstawiamy naganiaczy, i zamykamy hermetycznie miot. Fedzio idzie za tropem, i woła: «Pilnuj dzika!» My widzimy cień czarny, słyszymy głosy naganiaczy, i ta scena się kilkakrotnie powtarza. Widocznie zwietrzył nas dzik, a uderzał na na-

gankę, lecz krzykami odparty, w kółko po tym lesie chodził może przez godzinę, pomimo skomlenia psów na drążkach trzymanych. Sprzykrzyła mi się ta reprezentacja tem więcej, że Fedzio objawił niemożność dalszego prześladowania śladu, bo dzik trop w trop chodził. Wtedy mówię do Fedzia: «Na prawo niech zachodzą chłopcy, a my na lewo zajdziemy, i znowu miot zastąpimy». Dzik był kilka razy w odległości strzału przy naganiaczach, ale na myśliwych nigdy nie wytknął. Przy tym strategicznym manewrze określił dzik sobie sytuację, pędem rzucił się na psy, przeskoczył jednym susem drogę i tarninę, przestrzeń wynoszącą 15 stóp, przebiegł pole i łąkę, skoczył przez rzeczkę i dotarł do gęstwiny na górze zwanej: «Baba». Puszczono psy, ja siadłem na konia, i chcąc mu drogę zaskoczyć na żyłkach parowów, pędziłem drogą pod górę, nie spuszczając z oczów dzika, skubanego przez psy. W tej chwili widzę przewracającego się potwora i całą psiarnię na nim, a po dobrej dopiero chwili usłyszałem strzał. Ubito dzika, więc pośpieszyłem na miejsce, i przekonaliśmy się, że ten gruby dzik była samura na oprosieniu. Niepojęta to siła w tych zwierzętach z żadną do porównania, miała bowiem w sobie trzynaście dużych, ruszających się i szczeciną pokrytych prosiąt, z tym ciężarem potrafiła skoczyć 15 stóp szerokości, i rzeczkę przesadzić. Za dzień

lub dwa byłaby na świat wydała trzynaście sztuk konsolacji.

Dwa zdarzenia, nader niemiłe nawet w wspomnieniu, wyleczyły mnie radykalnie na całe życie z chęci strzelania śpiczastemi kulami ze sztućca. Przekonałem się kilkakrotnie, że śpiczasta kula jakby śrut przez szybę, nie tłukąc jej, przeszywa zwierzę, a gdy na kość nie natrafi, wylatuje śpiczastym końcem, tworzy wchodową i wychodnią ranę nader małą, która podczas silnego mrozu ściąga się do tej objętości, że możnaby posądzać o strzał lotką. Zdarzało mi się nawet w srogich zimach widzieć i prześladować dziki celnie strzelone śpiczastemi kulami, a ledwie znaczące farbą tropy swe tak dalece, że bez psów nie były do wzięcia. Nie wątpię o śmiertelności rany, lecz nie doraźnej, i doświadczenie mnie nauczyło, że dzik z raną między przedniemi żebrami przeszedł cały rewir milowej długości, oblęgł dopiero w sąsiednim, i był dla mnie stracony.

W r. 1852-im polowałem jeszcze z ogarami, między któremi dwa małe, Śpiewak i Mrówka, namiętnie goniły i prześladowały dziki pojedyńcze, a tchórzyły przed stadem, na zaczepne jednak działanie nigdy się nie odważyły; posiadały jeszcze i tę wadę, że opuszczały dzika, i goniły lisa, a nawet zajączek je skusił na kilka chwil, wprawdzie powracały do dzika, lecz tymczasem tenże uchodził, i trudno już go

było dojść. Nie będę opisywał zawodów, trudów i niepotrzebnych marszów z powodu moich, niewiernych tropowi, psów, zawsze mi one znakomite usługi oddawały przy postrzelonych dzikach.

Na głębokim śniegu goniono dużego dzika na kilkoletnim zrębie, ja stałem na uboczy nad żyłką parowku. Zdaleka widzę zbliżającą się czarną postać za gazową kurtyną okiścią obielonych krzaków, i niebawem wychodzącą na linję, a gdy do jej połowy doszła, stanęła i rozglądała się, nie patrząc wcale na mnie. Byłem złożony, więc wymierzyłem w komorę spokojnie, i strzeliłem. Dzik skoczył, i znowu wolnym krokiem zbliżał się do gąszczu, wtedy strzeliłem po raz drugi. Dzik uszedł. Moje zdziwienie, bliskie osłupienia, ubezwładniło mnie zupełnie, i stałem nieruchomy, nie nabijając sztućca, pojąć bowiem nie mogłem ujścia dzika po moich dwóch strzałach. Mój sąsiad przybiegł, twierdząc, że zwierz niezawodnie był trafiony, i począł szukać kul. Wtedy to kule były przy grubszym końcu owinięte przędziwem i nasmarowane tłuszczem. Znalazłszy jedną, pokazał mi na sznurku nieco słoniny z dzika, druga leżała za tropem w wysokości jego. Miałem dostateczne dowody, że zwierz dwa razy przestrzelony, poszedłem za tropem, i ujrzałem drobne kropelki farby, powróciłem więc do towarzystwa, zachęcając je do dalszego polo-

wania bezemnie, sam zaś, wziąwszy psy na sfory, poszedłem za dzikiem, prosząc, aby nikt za mną nie szedł, i nie przeszkadzał mi w pogoni. Uszedłszy co najmniej ćwierć mili, przekonałem się, że dzik wolnym, ale równym krokiem posuwa się dalej, nie staje i nie zalega, z łatwością przebywa parowy ze spadzistemi ścianami, i już zupełnie nie farbuje. Bardzo mi się markotno w duszy zrobiło, stanąłem, otarłem pot z czoła, pomimo, że lodowate powietrze mnie otoczyło, i namyśliwszy się przez chwilę, puściłem moje psięta na trop. Poszły sznurem za tropem, i już po kilku minutach usłyszałem naszczekiwanie w oddaleniu na szczycie pagórka. Niepospolite było zadanie drapać się pod górę po głębokim śniegu, z trąbką, torbą, ze sforami i z ciężkim sztućcem, przystawałem co chwila, aby miejsce gonu psów sobie oznaczyć, i podług ich głosu dalszy mój pochód kierować. Niestety, naszczekują w tem samem miejscu, więc się gramolę do góry, i zbliżam do osaczonego dzika — jeszcze kilkadziesiąt kroków, a zdążę na strzał. Złudna nadzieja! Lubo widzę rojące się pieski i dzika śród staropniowych buków, jakby za chmurami, czuję, że ani tchu, ani sił już mi nie starczy. Oparłem się o drzewo, i rozkoszuję w widoku tej zabawnej utarczki, a gdy odpocząłem, i wysunąłem się z poza buka, dzik z psami truchtem zbiegł nadół, i począł się dra-

pać pod ubocz drugiej góry. Jedynie ci pojmą moje usposobienie w takiej chwili, którzy przez szereg długich zim podchodzili gonione przez psy dziki, bo wiedzą, co to jest zmęczenie bliskie omdlenia, a zarazem zawziętość w prześladowaniu, potęgująca się coraz bardziej. Zgrzytnąłem zębami, wykrztusiłem kilka niebardzo przyzwoitych wyrazów, odpocząłem chwilkę, a słysząc naszczekiwanie na przeciwnej górze, zbiegłem nadół, i począłem się znowu drapać do góry, dochodząc coraz bliżej do dzika, stojącego w łaciastym lesie. Wreszcie, o błoga chwilo! podchodzę zwierza na 30 kroków, stojącego spokojnie śród tańcujących wokoło psów. Z rozwagą wypocząłem, aby się krew uspokoiła, i ręka już nie drgała, oparłem więc sztuciec o młodego graba, wymierzyłem doskonale, i strzeliłem. W tej chwili z szumem i ze świstem szczególnym widzę pod nogami memi dzika, nie pozostawało mi nic innego, jak chwycić się rękami jak najwyżej drzewka, podskoczyć i podnieść nogi. Wykonałem szczęśliwie tę sztuczną gimnastykę, i zdawałoby się myśliwym, że dzik, chybiwszy straszliwą szarżę, pójdzie dalej. Niestety, przeciwnie się stało, odwrócił się, zbliżył do drzewa, począł tupać nogami, jak w stępach, kłapać zębami i pienić się. Moje położenie było zaiste politowania godne, gdyż grabczak mój grubości łaty począł się coraz bardziej uginać pod moim cię-

żarem, i chylić ku ziemi. Jeszcze dwie minuty, a byłbym na wysokości ryja dzika. Na moje nieszczęście, pieski, znudzone dwugodzinną pogonią, zobaczywszy wymykającego z parowka zająca, puściły się za nim, a ja, nie rzuciwszy sztućca, byłem do drzewa gnieciony i miałem jedną rękę ubezwładnioną, więc konwulsyjnie trzymałem się drugą i nogami, lecz czułem, że tego wysilenia dłużej nie wytrzymam. W podobnych razach nasuwa się myśl ratunku, a cały umysł wytęża się w tym kierunku, ja w tej groźnej chwili pragnąłem dostać się do grubej osiki wpobliżu stojącej. Gdy już prawie ostatnia chwila dla mnie nadchodziła, a potwór z pod drzewa nie ustępował, nadbiegł mój Śpiewaczek, spiął się na dzika, a ja, ze zręcznością wiewiórki, zeskoczyłem z graba, pobiegłem za osikę, schowałem się za nią, nabiłem sztuciec, i powaliłem mego napastnika. Musiało być źle ze mną, bo gdy na strzał powtórny nadeszli moi towarzysze, słowa wybąknąć nie mogłem. Wprawdzie ostatnia kula trafiła w serce dzika, i zadała śmierć, ale pierwsze przeszyły komorę przez wyższe płuca, a pomimo tych celnych strzałów, chodził dzik przez trzy godziny, i o mało nie ja jego, lecz raczej on mnie nie zabił.

Drugi epizod zapewne mało któremu myśliwemu się wydarzył, i nie każdy doznał podobnego zmęczenia. Zdarzają się wypadki, któ-

rych zaiste przewidzieć nie można, i kto ich nie doświadczy, ten zaledwo je zrozumieć zdoła. W rok po opisanym fakcie, psy i myślistwo moje zabłąkało się w rozległych lasach Szumlan, Litwinowa i t. d., ja zaś, nie mogąc się zorjentować, wraz z starym leśniczym, pozostałem na końcu w lesie. Wtem nadchodzi tropiciel i powiada nam, że odyniec leży w miocie przed nami, że on go sam na nas wypędzi. Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem, ale przyjąłem propozycję leśnego pomimo, iż przestrzeń miotu wynosiła najmniej 60 morgów, przerżniętych głębokiemi debrami, i wymagała kilkunastu strzelców. Fedzio mnie stawia na pochyłości góry pod osiką, a leśniczego prowadzi o kilka tysięcy kroków dalej, mówiąc, że tędy lub tamtędy wyjdzie, i że nigdy żadnem innem stanowiskiem nie wychodzi. Przywiązałem konia do drzewa, stanąłem pod osiką, i oparłszy się, smętnie rozglądałem się po tej lesistej przestrzeni, zakrywającej całą widownię. Było koło południa, gdy po raz pierwszy Fedzio wilczym głosem zawołał: «pilnuj dzika! Od czasu do czasu powtarzało się owe nawoływanie to bliżej, to dalej, a ja skamieniały w oczekiwaniu, od mrozu skostniały, stałem pod osiką, istna ofiara Diany. Było to w styczniu przy jaskrawem słońcu. Widząc blednieiące światło, wniosłem, że to już dzień chyli się ku wieczorowi, i dobywszy zegarka, do-

strzegłem dobiegającą już czwartą godzinę. Stałem więc przez cztery godziny nieruchomy pod drzewem, nic nie widziałem, ale podtrzymywał zawsze żałosny głos tropiciela. Każda cierpliwość ma swój kres, więc też i moja wypowiedziała posłuszeństwo, zeszedłem ze stanowiska, wsiadłem na konia, i wolno dążyłem do mego towarzysza. Gdy już się ku niemu zbliżałem, on machnął ręką, i wskazał dzika w gąszczu, a w tej chwili leśny zawołał w pobliżu: «pilnuj dzika!» Powróciłem do mego drzewa, i zająłem posągowe me stanowisko. Po kilkunastu minutach wychyla się odyniec z gąszczu, a spostrzegłszy mnie, pędzi ku drzewu, przy którem stałem. Wygiąłem się jak glista, a gdy mnie minął, nie dotknąwszy mych nóg, wymierzyłem i kłapnąłem do dzika na kroków siedm. Na odgłos pękającego kabzla, dzik stanął, a ja drugim strzałem powaliłem go, ale przewraca się, wstaje, pada, i coraz dalej uchodzi. Trąbię, wołam, nikt nie nadchodzi, a ja ze wzruszenia zapominam nałożyć świeży kabzel, aby dobić odyńca, i lufą go przytrzymuję gdyby żak, nie znający niebezpieczeństwa. Tak posuwając się razem, weszliśmy do gąszczu nad parów, do którego mój dzik się stoczył. Stałem jakby zaczarowany, bez przytomności, gdy dwaj moi towarzysze nadeszli. Wysłuchawszy moje opowiadanie, uchwalili zostawić dzika, i wziąć go nazajutrz. Zamiar a urzeczywistnienie jego nie

zawsze po sobie następują, tak się też i teraz stało, bośmy musieli podążyć do leśniczówki, a śnieg gęstemi płatami spadający, towarzyszył nam. Nazajutrz zaledwie brzask rozpędził ciemności nocy, już byłem na koniu, a Fedzio, idąc z psiarczykiem i psami, pocieszał mnie, zapewniając, że dzik z parowu nie wyjdzie. Wprawdzie śnieg przestał padać, lecz drzewa pochylone pod ciężarem wilgotnym, broniły przejścia. Zamiast podchodzić z nakrytemi zamkami, ja w tym dniu, pod nieszczęśliwą gwiazdą, pchałem się na koniu w gąszcze, i gdy dotarłem do debry, byłem zupełnie przemoczony, i już dalej mego konia przeć naprzód nie mogłem. Zostawiwszy mego siwka, kazałem puścić tropowca do parowu. Niebawem naszczekał, puszczono jeszcze cztery psy, i poczęło się hałaśliwe ujadanie na jednem miejscu. Podszedłszy kilkanaście kroków, ujrzałem widowisko zazdrości godne: odyniec krwią zbroczony, uginający zad, chciał się z debry ścianą wydobyć, i ile razy się ku górze posuwał, psy go ściągały na dół, gdzie się kłami bronił, nie miał jednak już siły uderzenia na psy. Wymierzywszy spokojnie, kłapię na 15 kroków z jednej lufy, dzik na mnie spojrzał krwawemi oczami, wtedy kłapię z drugiej, zrzucam kabzle, nakładam świeże, kłapię dwa razy, podsypuję świeżym prochem, i kłapię znowu, a dzik z psami dalej manewer najpo-

cieszniejszy odbywa. Kordelasa nie miałem, i kłucie rozjuszonego zwierza nie byłoby bezpiecznem, gdyż moje psy wprawdzie szarpały dzika, lecz go nigdy nie przytrzymały na miejscu, a tu na moje nieszczęście żaden z mych myśliwych nie nadchodził. Wreszcie dzik z wysileniem wyciągnął dwa psy na ścianę, na równym terenie, otrząsł się, i pomału znikł mi z oczów. Nie było po co go gonić, bo moje lufy były bardziej podobne do sikawki, jak do broni. Zjawili się nareszcie myśliwi, i z wielkiemi trudnościami pomogli mi wystrzelić. Nabiwszy sztuciec, zachęciłem do pogoni, a zapomniawszy o wiernym moim koniu, przebałowałem się pierwszy przez parów pieszo, i szedłem tropem dzika przez kilka godzin. Psy pomęczone dwukrotną pogonią, co chwila opuszczały odyńca, wracały, i kładły się przed naszemi nogami, jakby chciały powiedzieć: «my już nie możemy gonić». Gdy dzik już nie był prześladowany, układał się pod kłodami lub tarzał w śniegu. Postanowiłem wziąć psy na drążki i podchodzić po miękim śniegu zwierza, lecz pojąć nie mogłem, z jakiej przyczyny tak straszliwie dokuczają mi głód i pragnienie, a gdy wyjąłem zegarek, zobaczyłem z przerażeniem trzecią godzinę na cyferblacie, więc pogoń nasza trwała bez przerwy już sześć godzin. Posiliwszy się, poleciłem myśliwym, aby zatrzymali się na miejscu z psami, dokąd nie

zatrąbię, a sam poszedłem za tropem. Uszedłszy może tysiąc kroków, ujrzałem odyńca leżącego pod czarną kłodą nieruchomego, a życie jego jedynie w śpiczastych uszach widocznem było. Poszedłem na 50 kroków, i zamiast bliżej przystąpić i celnie strzelić, lub go ruszyć, ja w moim nieszczęśliwym dniu wyrozumowałem arcymądrze, że moja kula przeszyje kłodę, i zabije dzika. Wiernie i sumiennie wykonałem mój niedorzeczny strzał, i kula została w kłodzie, widocznie dla mnie niedostatecznie zbutwiałej, dzik wyskoczył i uszedł chybiony. Po moich strzałach puszczono psy, które na drugiej zboczy zaraz ostanowiły dzika, widocznie osłabionego. Wreszcie podszedł jeden z myśliwych, i powalił odyńca. Śpiczasta kula moja przeszyła mu nerki na wylot, a jednak podróż jeszcze odbył śród nieustającej walki. Oto skutki strzelania ze sztućca śpiczastemi kulami! W tej chwili słońce zaszło, i śród staropniowego lasu noc nas zaskoczyła. Pytam moich myśliwych, czy wiedzą mniejwięcej, gdzie są, wszyscy bez wyjątku, nawet nasz ostrowidz Fedzio, nie mogli oznaczyć, w czyim są lesie, a ostatni spokojnie mi odpowiedział: «Panie! my szli w jednym kierunku, a po tylu godzinach musimy być w Murzyłowskim lub Brzeżańskim lesie. Ciarki po mnie chodzić poczęły, gdy pomyślałem, że od leśniczówki jestem o cztery mile oddalony. Wtem

słyszymy rąbanie drzewa, podkradamy się, a gdy nas chłop zobaczył, począł uciekać, my za nim, oczywiście złodziej, więc łapiemy go, aby dostać języka, najstarszy zaś z nas pilnował chłopskich koni i sani. Chłop się do nóg rzuca, i przysięga, że już nigdy nie będzie ścinał drzewa, żebyśmy mu przebaczyli. Wybadawszy zręcznie złodzieja, dowiedzieliśmy się, że jesteśmy niedaleko Brzeżan, nie pozostało nam, jak chłopu postawić ultimatum, poparte czterema strzelbami: «dostaniesz sześć cwancygierów za odwiezienie nam dzika, lub cię oddam do kryminału». W złodzieja duch wstąpił, całował nam ręce i kolana, pomógł na sanie naładować odyńca, i ruszyliśmy ku domowi, już wtedy zmęczeni nad miarę, bez wódki i chleba. Sprzyjał nam księżyc, gawęda głód głuszyła, i po kilku godzinach pochodu stanęliśmy na tem miejscu, z którego pogoń za dzikiem się poczęła. Wtedyto byłem rozczulony rozumem i wiernością mego konia nie uwiązanego, a od rana stojącego w tem samem gąszczu! Gdy zawołałem: Siwku! on zarżał, i począł ku mnie kroczyć. Biedne stworzenie stojące na mrozie o głodzie przez cały dzień, a znające doskonale drogę do leśniczówki, wiedziało, że jego nie opuszczę, i o niem nie zapomnę. Ten mój siwy hucuł miał z dzikami różne przeprawy, i pomimo odwagi i sforności w końcu nawet swojskiej świni bać się począł.

Gdyśmy zaświecili w leśniczówce, biła pierwsza godzina nocna, a nasza pogoń i powrót trwały szesnaście godzin bez odpoczynku i pożywienia. Ten epizod dowodzi, że siły myśliwego podtrzymywane namiętnością, bywają zdumiewające.

III

Niema potrzeby wobec przyrodników i myśliwych wysilać się na argumenta, aby ich przekonać o rozumie, przebiegłości, odwadze i pamięci zwierząt, bo każdy z nich w kryjówkach wspomnień swoich ma niezatarte obrazy owych przymiotów. Posiadałem w lasach moich dwa olbrzymie odyńce ostrożności, przebiegłości i determinacji niepospolitej. Jeden z nich, czemu by nikt nie uwierzył, w ciągu trzech zim przezemnie prześladowany, dopiero w ostatniej zginął, a w każdej bywał tropiony i goniony czy to przez nagonkę, czy przez psy. Jego czujność, ostrożność i rozum sięgały tego stopnia, iż leżąc zawsze blisko linji lub drogi, znał doskonale chód tropicieli, i wcześniej się wymykał. Jakie zaś sztuki psom płatał, powiedzieć nie mogę, nigdy go bowiem podejść nie zdołałem, to jednak pewne i zadziwiające, że psy moje, które zawsze z odwagą trzymały odyńca, i wytrwale goniły stado przez kilka godzin, tego dzika gonić nie chciały, puszczone

za nim, po chwili wracały ze spuszczonemi ogonami, i żadną zachętą do pogoni nakłonić się nie dały. Zagadka ta dotąd nierozwiązana, dlaczego tego pojedynka tak psy się bały, kiedy nigdy żadnego nie ciął, a miałem wtedy dosyć odważne psy, które nietylko go nie osaczały, nie brały, lecz gonić wcale nie chciały, gdy się wynosił z miotu. Istne czary! W mojem sąsiedztwie mieszkał prastary leśniczy W....., wyjadacz i jak to mówią, majster, posiadał on trzy duże ogary z Węgier sprowadzone, doskonałego wiatru, rączości, odwagi, czego niżej podamy dowody. Otóż raz na polowaniu mówi mi: «Niech sobie JPan te psy kupi, to istne szatany, biorą nawet wilka, są w trzeciem polu, — żądam za nie 300 złr. Rzeczywiście ta trójka psów doskonale utrzymana, *Dunaj, Popraw i Śpiewak,* rosła, z oczami, z których tryskał nietylko rozum, lecz także odwaga, była dla mnie niepospolitą pokusą, ale powstrzymywała znaczna kwota pieniędzy. «Panie W..... — mówię — jeżeli mego odyńca osaczą tak, że go będę mógł dojść, to kupię psy». Moje nogi, moja sprężystość i wytrwałość były znane w okolicy, stanęło więc na tem, że po pierwszej przyprószce, tej bowiem koncesji żądał, przyjedzie do mnie z psami. Miał ten odyniec zupełnie uregulowane zwyczaje, nigdy trzeciej doby nie przebył w moich lasach, nawet gdy nie był ruszony, i znowu na dwie doby szedł

do mego sąsiada, który podobnie jak ja przez dwie zimy na niego polował bez skutku. Zaledwo upłynął tydzień, zjawił się W. wraz z świtem, a na moje twierdzenie, że psy tego odyńca nie pogonią, roześmiał się głośno i rzekł: «Jeszcze takiego nie było u nas!» Aby nie płoszyć ostrożnego dzika, kazałem go w dwóch miotach otropić, i szczęśliwie trafiliśmy na jego pobyt w moim zrębie. Ruszyliśmy do lasu, a kiedyśmy stanęli na tropie, psy poczęły się rwać jak tygrysy. — «Panie W. jeszcze jedno zrobię ci ustępstwo, nie pójdę za psami, możesz ubić dzika, a ja stanę, gdy się pogoń rozpocznie, na granicy». — Obejrzał zamki, kabzle, owinął chustką lufy, dał psom po kawałku słoniny, i zniknął w gąszczu. Ja siedzę na koniu, i czekam rozpoczęcia muzyki, lecz cicho i cicho, mija godzina, nic nie słychać przy nader spokojnem powietrzu, wreszcie widzę wracającego W. zadyszanego, a za nim psiarczyka i wszystkie trzy psy ze spuszczonemi ogonami i z wyrazem upokorzenia i wstydu. Splunął stary i mruknął: «Tfu! to czart a nie dzik, jak wściekłe pobiegły sobaki do barłogu, i natychmiast powróciły, szedłem za tropem tysiąc kroków, szczułem i zachęcałem, a żaden pies nie poszedł. Dobrze JPan mówiłeś, że go psy nie wezmą, bo zaczarowany, i ścierwo jego jeść będą wilki». Przeżegnał się, polować już nie chciał, i odjechał z psami.

Skąpstwo moje srogo było skarane, bo takich psów nie było i nie będzie na całym świecie, o czem się czytelnik przekona. Dziwnie i niespodziewanie zginął ten zaczarowany dzik. W trzech myśliwych pojechaliśmy z dwoma pieskami, z owym *Śpiewakiem*, który mi życie ocalił, i *Mrówką* na zające, a gdy do lasu wjeżdżamy, mówi mi leśny, że nasz dzik, a nazywali go wszyscy dziaduniem, dziś rano powrócił. Pozwoliłem moim myśliwym stanąć według ich woli, a ja, zabrawszy psy, poszedłem w zwarty gąszcz za tropem. Miot był nie wielki, ale gęsto krzaczasty, puściłem psa, a sukę trzymam. Śpiewak naszczekał, puściłem Mrówkę, i gonię za niemi co tchu. Widzę dzika i psy, lecz zaśnieżony gąszcz nie dozwala strzału, idę więc dalej, a dzik olbrzymi posuwa się ku granicy w tej samej odległości, i ani na krok zbliżyć się doń nie mogę. Widocznie w tym dniu nie miał odyniec czarującej mocy, bo go psięta doskonale goniły i doprowadziły do granicy, gdzie rąbano sągi, więc się zwrócił do tego samego miotu, i niebawem usłyszałem strzał, a psy ucichły. Śpieszę w to miejsce i widzę przerażający obraz: Dzik, jak mówią chłopi *okara* leży wyciągnięty, szarpany przez psy, a koło niego ulubiony preparator bez życia, blady jak trup, ledwie o stopę od ryja. Rzucam strzelbę, rozrywam jego ubranie, szukam tętna serca, biorę śnieg, nacieram głowę, serce

i żołądek, a nie mogę dotrzeć się życia. Rozpacz mnie ogarnia, łzy ronię, wołam, proszę, lecz trup głuchy. Nie mogę dopatrzyć rany, śnieg wprawdzie dokoła zakrwawiony, lecz dociec nie mogę, czy to krew dzika, czy jego ofiary. W tem mojem gorączkowem usposobieniu, rozrzynam kożuch, bandażuję rękę powyżej łokcia, naciskam żyłę, i w chwili, gdy mu mam puścić krew drżącą ręką (Bóg wie, jakiego byłbym na niem kalectwa dokonał), otwiera oczy, i pyta mnie: «Co Pan robi?» Była to dla mnie najrozkoszniejsza chwila w mym zawodzie myśliwskim, i dziś ją jeszcze wspominam z rozczuleniem. Wreszcie dowiaduję się, co się stało. Odyniec, spostrzegłszy myśliwego, rzucił się na niego, on zaś w gąszczu cofnąć się nie mógł, i umieścił mu kulę pomiędzy oczy. Padł potwór, ryjem obalając swego zabójcę, który dotknięty palpitacją serca, zasnął w ciężkiem omdleniu. Tak zginął ów czarowny dzik.

Drugi temu podobny dzik, olbrzymich rozmiarów, podziwienia godnego rozumu, ostrożności i odwagi niezwykłej, zginął z mojej ręki. Goethe mówi: wszystko człowiek może otrzymać, byle tej chwili dożyć mógł. I ja raz w życiu urzeczywistniłem dwa moje marzenia myśliwskie, mianowicie: dobrałem sobie siedm kundysów, z których każdy był artystą i genjuszem, i dwóch chłopaczków, którychby mi nawet był Robinson Crusoe pozazdrościł. Chło-

paki zwani: Rymarczuki, obok siły fizycznej, obok sprytu, mieli talent do polowania niepospolity. W moich ornitologicznych wycieczkach dostarczali mi rzeczywistych skarbów, a nie skalali nigdy kłamstwem swych ust. Im to zawdzięczam odkrycie gniazd sowy uralskiej (*strix uralensis*) i gajówki strumieniowej (*silvia fluviatilis*), za co otrzymałem kilka dyplomów na członka Towarzystw ornitologicznych. W tej zimie z Rymarczukami i z psami zginęło w naszej okolicy 48 dzików, i zawsze chodziłem sam do barłogu. Posiadałem wtedy dwa tropowce, jeden lepszy od drugiego. Szły tak cicho do barłogu, że nie pamiętam odyńca lub stada nie oszczekanego w miejscu. Na tym świecie wszystko się kończy, więc i moja pomoc mnie opuściła, a psy do jednego wycięły dziki. Tu sobie pozwolę dygresją przypuszczając, że w annalach kolegów to zdarzenie nie jest zanotowane. Jeden z mych tropowców zginął śmiercią waleczną od cięcia szablą i wydobycia serca, drugi zaś w moich oczach w najdziwaczniejszy sposób. Gdy podchodziłem oszczekanego nad parowem odyńca, a *Bosio* tropiąc, zobaczył mnie w chwili, gdym się zmierzał, skoczył na dzika, złapał go za ucho, ale wnet puścił, i począł uciekać. Tak się roiło w moich oczach, że strzelić nie mogłem, a dzik uderzył na tropowca i trupem go położył. Strzelec zabił tego dzika, a ja pobiegłem do ulubionego

mego Bosia, nie ruszającego nawet łapą, ale wypuszczającego krew nosem i pyskiem. Podnosimy psa, kąpiemy i nacieramy, nic nie może go do życia przywołać, a rany żadnej niema. Cóż się pokazało? Oto, że ryjem jak taranem zabił psa, nie używając wcale kłów. Lecz powracam do mego odyńca, wprawdzie nie zaczarowanego, ale odznaczającego się rozumną ostrożnością, przebiegłością, siłą i wytrwałością, wytrzymującą kilka mil pochodu z psami. Nigdy nie dał się podejść na strzał. Było to w styczniu r. 1854, oblęgł w głębokim jarze ten sam dobrze nam znany odyniec ze wszystkiemi swemi finansami. Po czterech stronach miotu rozstawiliśmy konie, aby mu drogę przeciąć, o dopędzeniu piechotą nie było mowy, a znane nam były wszystkie jego przesmyki i drogi; ja zaś z psami poszedłem w trop. Gdy się drapię już pod brzeg drugiego jaru, jeden z naszych koni zarżał, i w tej chwili trąca mnie Rymarczuk, i pokazuje odyńca uchodzącego szybkim krokiem. Kazałem skomlące na widok defilującego odyńca psy puścić, sam zaś skombinowawszy, że nim dosiędę konia, dzik ujdzie dwie mile, poszedłem za tropem, nakazawszy chłopcu, aby jechał za głosem psów. Ledwie się wdrapałem na górę i uszedłem kilkanaście kroków, przedstawił mi się zachwycający obraz. Widocznie dnia tego dzik był zmęczony i wcale chodzić nie miał ochoty ufny

w swą odwagę, i szable połyskujące w odległości kilkuset kroków. Oparł zad o odwiecznego buka, usiadł, kłapał zębami, i zanim przypuścił atak na którego psa, patrzał długo na niego, i zawsze tylko na jednego szarżował, i to nieszczęśliwie, bo żadnego nie trafił. Był to odwieczny, staropniowy las w kontrowersie, bo tam tylko u nas jeszcze starodrzew się chroni, bez żadnego podszycia; więc jak ja doskonale widziałem odyńca, tak też on na mnie często patrzał, lecz się wcale ku mnie nie rzucał. Trwała już ta zajmująca scena przez kilkanaście minut, wreszcie rusza odyniec wolnym krokiem ku mnie na kulawy sztych, trzęsąc ogonkiem w obwarzanek zwiniętym, z oka mnie nie spuszczając. Że nie strzeliłem, to nie zbytek cierpliwości lub zachwytu, lecz psy mi strzału nie dozwoliły. Stałem wprawdzie wśród lasu, lecz na linji i opodal drzew, dlaczego zaś się nie ukryłem przed potworem, tego sam nie wiem, więc też można było mnie albo jemu smutny koniec przepowiedzieć. Gdy się zbliżył na dwadzieścia kroków, kłapnął raz, i wtedy strzeliłem, poczem lansadą chciał przez wysoki pniak przeskoczyć, ale pozostał na nim martwy.

Powracam w mem opowiadaniu do trójki psów starego W. Było to w listopadzie r. 1856 na pierwszych śniegach, gdy mi dziki na początku polowania poturbowały psy i kilka

z nich pocięły. Zgryziony i zniechęcony już chciałem opuszczać leśniczówkę, gdy nam oznajmiono, że duży odyniec jest otropiony. Trójka psów miała wiele zalet, lecz również wielką wadę hałaśliwego gonienia, przed którem dzik galopem uciekał, i myśliwego nad miarę od siebie oddalał. Wprawdzie szły owe psy cichaczem do barłogu, lecz dzika w nim nie przytrzymywały, i dopiero po godzinie, gdy dzik wolniej począł chodzić, skubały go, targały i osaczały, było to więc męczące polowanie i bez pomocy konia nad siły moje. Miałem wtedy preparatora młodego Saksończyka, gorączkowego i niesfornego myśliwego, i on to, gdy goniono dzika, strzelił do lisa, i zbił odyńca z kierunku obranego ku myśliwym. Przekonany, że strzał padł do dzika, biegnę i słyszę starego W. krzyczącego: «Puszczaj psy, on pójdzie na Łysą». Powróciłem do konia, puściłem się za głosem psów po jarach i debrach przepadzistej głębokości, i dopiero po godzinie jazdy usłyszałem psy ujadające na miejscu. Pośpieszyć nie mogłem z powodu parowów i głębokiego śniegu, więc raz na koniu, to znów piechotą posuwałem się ku osaczonemu odyńcowi, i nareszcie w głębokości kilkuset metrów zobaczyłem go zanurzonego w źródle cieplicy i tarzającego się w wodzie. Pies jeden w wodzie skubał mu szynki, drugi szczekał na przodzie, a *Popraw* rozżarty stojąc na ścianie, trząsł się

i pienił ze złości. Myśli nawet mieć nie mogłem zbliżenia się do dzika w kilku minutach, a tymczasem olbrzym wstał, otrząsnął z siebie wodę, i fiksował Poprawa przez kilkanaście sekund, nie ruszając się wcale, poczem pędem błyskawicy uderzył na niego, wziął go na kieł, rzucił w powietrze na jakie cztery metry wysokości, a waleczny pies spadł na śnieg bez życia. Nie spoglądnąwszy nawet na inne dwa psy, wyszedł pionową ścianą z jaru, i znowu galopem począł uciekać przed głosem psów. On szedł debrami, nie wybierając drogi, ja zaś musiałem je objeżdżać, i wiele czasu traciłem, już nie słysząc głosu psów w głębi lasu. Ujechałem tak może pół mili bez towarzyszącej a tyle miłej dla ucha muzyki, gdy słyszałem gonienie szybkiego zwierza po młodym zrębie. Zachmurzyłem się srogo w przekonaniu, że psy zniechęcone i przerażone gonią zająca, bo W. ich używał do każdej zwierzyny. Odjechałem od leśniczówki tak daleko, że nawet nie wiedziałem, w jakim lesie się znajduję, łatwo więc zrozumieć można moje podrażnienie. Staję naprzeciw głosom psów, odwodzę kurki i czekam. Po chwili wysuwa się patrjarcha lasów na połeć o 40 kroków, spojrzał na mnie surowo, i nie zmienił kierunku swego pochodu. Już nie było czasu zeskoczyć z konia, więc mierzę, strzelam, i z rozkoszą widzę, jak się wali potwór w śnieg, a psy rzucają się na niego. Obawiając się stra-

szliwych cięć przy skonaniu, biegnę do dzika, i zamiast za ucho, przestrzelam mu skórkę tylko. Na szczęście drugiej kuli już nie potrzebował, bo żyć przestał. Psy targały jak szalone, i pomimo pręta nie mogłem ich odpędzić, a żal mi było prześlicznej, długiej szczeciny, której już cała poduszka na śniegu leżała. Przypatrzywszy się bliżej, straszny widok mi się przedstawił. Jednemu psu rozciął wargę przez policzek, kark do połowy żeber, a zakrwawiona skóra wisiała na cztery cale tak, iż się zdawało, że chód będzie ubezwładniony; drugi pies miał cięcie głębokie od piersi aż do słabizny. Zaiste ów patrjarcha miał odpowiednie szable do walki. Psy, zemściwszy się dosyta, legły bez życia na śniegu, ja zaś, usiadłszy, jak triumfator, na dziku, trąbię do wydęcia płuc. Moje zdziwienie było niepospolite, gdy zamiast moich myśliwych, widzę dwóch ludzi nieznajomych, zbliżających się do mnie ze strzelbami w rękach, i pytających groźnie: «Co Pan robisz w naszym lesie Zawałowskim?» Na moje szczęście byli to chłopi leśni, słabi wobec pieniężnych pokus, więc kilka reńskich uspokoiło spór, w najlepszej tedy komitywie radziliśmy, jak odstawić dzika do domu. Wtem nadeszli moi myśliwi, a że strzeżonego Pan Bóg strzeże, pociągnęliśmy odyńca na naszą granicę i posłali po sanie. Gdy chciałem dosiąść mego Siwka, on się wali na mnie, nie mogąc znieść ciężaru, tak bo-

wiem był zmęczony pogonią, trwającą od rana do nocy po jarach, gąszczach i przepaściach. Dwa razy zdarzyło mi się, że dobry i wytrwały koń wieczorem nie pozwolił mi dostać się na siodło, i uginał ze znużenia kolana, chyląc się do ziemi. Nic mi nie pozostało innego, jak puścić Siwka i iść pieszo za saniami, wołami zaprzężonemi do leśniczówki o dwie mile oddalonej, do której dobiliśmy się o północy. Na dziku leżały psy, a dla nikogo nie było już na saniach miejsca. W nocy zdechł *Dunaj*, opłakany przez nas, a *Śpiewak*, po zeszyciu skóry, wyzdrowiał, i jeszcze upolował w ciągu krótkiego swego życia kilkanaście dzików w pojedynkę. Tej samej zimy puścił się waleczny pies w zapasy z wilkiem, ale został pokonany, a, co gorsze, pożarty, i nie mogliśmy mu nawet sprawić zasłużonego pogrzebu. I tak trójka waleczna w trzech miesiącach istnieć przestała.

IV

Podziwienia godne jest przywiązanie samury do warchląt, jej troskliwość i czułość, oraz odwaga w obronie swego potomstwa. W miarę posuwającego się wieku i rozrastania ciała, wzmaga się to przywiązanie i potęguje męstwo do szaleństwa, bo z narażeniem własnego życia. Ta świnia, pogardliwe zajmująca

miejsce w rzędzie ssaków, posiada znakomite cnoty i zalety matki, o czem się niejednokrotnie przekonałem, i twierdzić muszę, że jedna niedźwiedzica stoi z nią narówni co do macierzyńskości, a inne łowcze zwierzęta w uczuciu nawet się nie zbliżają do niej. Z jakąż niezmordowaną pracą ryje za żerem, i wskazuje go warchlakom, jak im ściele ciepły, miękki i wygodny barłog, to z choiny, to z traw suchych i mchów leśnych, a w braku tych materjałów, znosi liście do barłoga. Czy instynktem wiedziona, czy uczuciem, zawsze miejsce dniowania zasłania od wiatru, i wyszukuje zacisze, gdy zaś w bliskości go znaleźć nie może, zasłania ścianą od wiatru. Chodząc do barłogów z psami przez lat kilkanaście, napatrzyłem się tej architekturze, i podziwiałem budowniczych. Niejeden barłóg troskliwiej i z większem wysileniem zbudowany, jak gawra niedźwiedzia, niedźwiedź bowiem częstokroć włazi do dziupła, i tam zimuje, lub też wciska się pod grube łomy; przeciwnie samura z wielką pracą przygotowuje łoże dla rodziny. Przypominam sobie dwa barłogi, których wierne wizerunki przechowała pamięć moja. Jeden oparty o łomy i kłody był okolony ściętemi przez samurę gałązkami jedliny, piętrzącemi się na kilka metrów wysokości, a tak spojonemi, że się ten budyneczek trzymał w całości, pomimo zawiei i ciężaru śniegu. Drugi nad ścianą debry w gą-

szczu szpilkowym przedstawiał dokładnie zbudowaną altankę. Polując w Medynickiem państwie przez lat jedenaście, dziś jak wiele stołowych dóbr w rękach Izraela, pod którym zwierzyna, jako nie dająca procentu i nie dostarczająca znacznych dochodów, chować się nie może, śród łozów, trzcin, szuwarów, chmielów dzikich, chwastów tropikalnych rozmiarów, napotykałem barłogi, przypominające gumna nieporządnych gospodarzy, gdzie ekonom wychowuje świnie, a gumienny w stertach wygrzewa prosięta. Otóż tam znosiły samury te suche słańska, wyrywając je ryjem, wyścielały posłanie, wkoło zaś barłogu wytwarzały chroniący od wiatru wał tak wysoki, że często przeskakujących dzików nie można było strzelać z powodu tej zasłaniającej barykady. Naznaczyć tu muszę odwagę i przywiązanie, wykształcające się stopniowo z wiekiem, oraz troskliwość i zabiegliwość zdobytą doświadczeniem. Gdy młoda samurka porzuca swe nieliczne potomstwo, i ucieka co tchu, istne czyni *sauve qui peut*, nie troszcząc się o dzieci; to stara ich broni, szereguje i zabezpiecza. Możnaby mi zarzut uczynić ideologa i marzyciela, a jednak wyrażam tu głębokie moje przekonanie, oparte na doświadczeniu, że ssaki, gromadnie żyjące, i ptaki rozmawiają między sobą, ostrzegają się wzajemnie, dają sobie rady i wskazówki, wkońcu wspierają się wzajemną pomocą. Kto

przez długie lata polował na dziki, jelenie i sarny, ten podzieli wyrażone tu zdanie. W tej mowie często bez głosu są nieomylne ruchy, zabezpieczające życie, to znowu piski, mruczenia, świsty ostrzegające. Nie jest to temat, nad którym mógłbym się rozwodzić w czasopiśmie, należy on bowiem do najciekawszej nauki fizjologji zwierząt, głębokiej, dotąd nie dosyć zbadanej, a dla myśliwych nader zajmującej i pożytecznej w swych wynikach, więcej nawet powiem, bez znajomości tego moralnego obcowania z sobą zwierząt nie jest myśliwy tyle wykształcony, ile tego sztuka łowiecka wymaga. Dwa razy w życiu widziałem niedźwiedzice, rozmawiające z piastunami, raz matka wzięła piastuna w łapę, pomruczała do niego i posadziła na konarze, gdzie siedział do chwili, w której chłopcy z nagonki go zdjęli; drugi piastun od rana do wieczora siedział biedaczysko na drzewie, widocznie wskutek surowego nakazu spokojnego zachowania się aż do powrotu matki. Jakie owe ruchy i gestykulacje zwierząt mają znaczenie, nie zawsze odgadnąć umiemy, a badania w tej mierze są nader zajmujące. Gdy łania z podniesionemi uszami idzie, słucha i rekognoskuje, to całe stado ma w nią oczy utkwione, i nie ruszy się z miejsca, również gdy zadem nieco przysiada, wyciąga niezwykle szyję, uszami strzyże, i schyla się ku ziemi, ostrzegając stado powierzone jej opiece. Ileż to

razy ona idzie naprzód, a stado stoi, cofa się lub ucieka, pomimo, że ona przykładu mu do tego nie dała. Nieraz z podniesioną na chwilę nogą ostrzega towarzyszy, to znowu ku nim się zwraca, jakgdyby ich wzywała do dalszego pochodu. A ów jeleń, stojący na warcie z bystrością i poświęceniem, nie chylący się nawet po trawkę w czasie swej służby, ruchami daje wskazówki spoczywającej rzeszy! A jak się to zwierzęta wzajemnie ruchami ostrzegają, zachęcają, jak się z sobą porozumiewają! A owo poświęcenie matki rodu, nadstawiającej się psom, dającej się gonić jedynie w celu ratowania swej rodziny! Najłatwiejsze badania mowy zwierząt jest u sarn. One różnobrzmiącemi głosami wyrażają swe myśli i uczucia, widocznie z łatwością się z sobą porozumiewają, a oprócz tego wzajemne ruchy są dla nich zrozumiałe. Kwilenie sarny — to przyzywanie do siebie; cichy lament — to ostrzeżenie i niepewność; kilkakrotne tupnięcie racicą — to upomnienie do baczności. Gdy sarna schyla ciało ku ziemi, zginając swe stalowe nogi i wyciągając szyję, wtedy z pewnością żadna za nią nie pójdzie, czyni ona to, gdy wiatr powzięła, a jednak nic niebezpiecznego zoczyć nie może. Tak sarny jak jelenie ostrzegają się, zwracając uwagę przewodniczącej na przedmiot przez nią nie dostrzeżony. Często z złorzeczeniem widziałem posuwające się z tyłu dziki ku przodownikom,

potrącające ich i widocznie wskazujące myśliwych. Najzabawniejsza jest sarna rozkochana do szaleństwa, gdy ją z ukochanym rogaczykiem ciśnie nagonka. Jak to ona każe mu stawać i chronić się za drzewami i łomami, lub pozostać w gąszczykach do chwili zapewnionej ucieczki. Jak ona zaalarmowana, nieustannie szukająca wzrokiem rogacza, pragnie się zbliżyć do niego, popieścić się z nim, ale groza położenia uczynić tego nie dozwala. Uczciwa samica nigdy dobrowolnie nie narazi oblubieńca na niebezpieczeństwo, z poświęceniem często o sto kroków przed nim idzie, przez pół godziny rozgląda się, a rogacza wtedy dopiero powoła, gdy się jej zdaje, że nic mu złego nie grozi. Kto często badał rozkochaną sarnę, ten ją zawsze pozna w parze, i po ruchach jej się upewni, że rogacz za nią w oddaleniu czeka.

Z miłością dotknąwszy mego ulubionego tematu, powracam do dzików. Samura rechtaniem daje rozkazy, ryjem szereguje młodzież, którą albo mężnie broni wobec człowieka, psa i wilka, lub też nakazuje jej chronić się w gąszczu i pozostawać w nim w zupełnej nieruchomości, czasem też nakazuje ucieczkę w przeciwną stronę. Grubą księgębym spisał, wyliczając dowody mowy i porozumiewania się zwierząt, nie chcę wszakże nadużywać cierpliwości czytelników, zwrócę więc tylko uwagę na spostrzeżenia przez wszystkich myśliwych czy-

nione, że dziki w stadzie wskazują sobie przed rozprószeniem miejsce późniejszego zboru, że samura, zabezpiecywszy warchlaki, oznacza im *rendez-vous*. To już nie instynkt, to rozum, pamięć i doświadczenie pożyteczne, bo przecież nie zawsze idą dziki w jednym kierunku, nie zawsze odbywają marsze w jednej odległości, a wkońcu stwierdzają moje doświadczenia tu przytoczone liczne pojedyńcze sztuki, zabłąkane i nie mogące trafić do stada, więc oczywiście nie zrozumiały, nie dosłyszały lub nie otrzymały rozkazu. Mam na to twierdzenie liczne dowody i tak nieraz goniłem z lichemi i nie bierczemi psami dziki w przeciwnych kierunkach, a czasem w kilkumilowych odległościach te same stada bez zastrzelenia żadnego. Wiem, że się czasem gromadziły dopiero drugiego dnia po mozolnem, wzajemnem szukaniu się, a bywały sztuki, nie mogące już wcale odszukać towarzyszów swoich, przyłączające się do innych stad, lub żyjące nadal w odosobnieniu, mimo, że miejsce zboru naznaczone było niewątpliwie.

Działo się to w naszych górach, a dzień wypadku głęboko wryty w mej pamięci. Leśni miejscowi twierdzili, że na uboczy stożkowatej góry bawił niedźwiedź, że nie wyszedł, bo go na każdej ponowie śledzili, a zatem niezawodnie tam gawruje. Była to wyprawa zaiste królewska w kilkanaście koni z 24-ma chłopami,

z kartoflami, mąką kukurudzianą i różnemi wiktuałami, oraz z burkami i futrami. Gdyśmy na miejscu wskazanem stanęli, było blisko południa. Po krótkim odpoczynku, poszli chłopi gonić ubocz rozległości księstwa Sigmaringen, a my stanęliśmy na stanowiskach u grzbietu góry śród masztowych jodeł. Nakaz był surowy dany nagance trąbić, krzyczeć ile sił, celem obudzenia i wypłoszenia niedźwiedzia. Już dochodziła godzina druga, gdyśmy głosy naganiaczy usłyszeli w tak wielkiem oddaleniu, jakby gdzieś poza lasem, a trwało to do godziny czwartej bez żadnej odmiany dekoracji, bez ruchu i życia w kniei. Słońce jeszcze raz rzuciło promienie swoje na nas, i chylić się poczęło za góry, ośnieżone jodły zolbrzymiały i żałobną pokryły się barwą, tło zaś lasu stało się ciemne i ponure, jakby zimowy grób leśny. Naraz słyszę rechtanie dzików i ów znany dobrze myśliwym szmer, pobudzający serce do żywszego bicia, wywołujący kurczowe ściśnienie gardła i drżenie nóg, wreszcie pojawiła się w znacznem oddaleniu czarna plama na białej powłoce śniegu. Wiele było dzików, policzyć nie mogłem, lecz widocznie szły dwa stada, jedno za drugiem. Kiedy się ta czerń zbliżyła do mnie na 100 do 120 kroków, a na 30 do mego sąsiada, padł jego strzał, poczem usłyszałem kwik warchlaka. Wszczął się straszny zamęt w tej czarnej rzeszy i głośne rechtanie

z świstem i szumem jakby zbliżającej się burzy. Stara samura, fuknąwszy, rzuciła się na dym strzału, wciągając głośno nozdrzami powietrze, a nie dostrzegłszy zabójcy swego dziecka, galopem obiegała drzewo, fukając nieustannie. Obiegła siedm lub ośm razy, poczem podeszła do zabitego warchlaka, trąciła go i podniosła ryjem, jakby go do objawu życia pobudzić chciała, i powróciła do tej jodły, o którą był oparty, czyli raczej do niej przylepiony mój sąsiad, którego później pytałem, czyli też w drzewie nie zostawił odcisku swej postaci. Na szczęście jego była to samura dziwnie pozbawiona wiatru, w przeciwnym razie byłaby go niezawodnie w szmaty rozszarpała, tak strasznie była rozjuszoną. Do dzisiejszego dnia pojąć nie mogę, z jakiej przyczyny nie zwietrzyła mego towarzysza. Z początku obiegała z wściekłością jodłę, później zaś wolnym krokiem okrążała drzewo, stawała, wietrzyła, fukała, a nie szła do innej jodły. W tej reprezentacji i to było ciekawe, że druga olbrzymia samura zszeregowała warchlaki swoje i swojej towarzyszki, pędząc je za siebie i postępując przed nimi, jak komenderujący oficer. Zmrok nie dozwolił mi strzelić, rozpoznawałem wprawdzie dwa ogromne dziki i rój mniejszych, lecz ledwie dostrzegłem zarysów zwierząt. Scena opisana trwała najmniej przez 10 minut, dla nas pełnych wzruszeń, dla mego są-

siada trwogi i przerażenia. Wreszcie powróciła samura do stada, i po dosyć długiej rozmowie zebrały się wszystkie dziki, przeszły przez linję myśliwych i skryły się w czarnych ciemnościach lasu. W jakim stanie był zabójca warchlaka, nie potrzebuję opisywać, jeden rys tylko scharakteryzuje dostatecznie jego ówczesny nastrój duszy. Gdyśmy się zbliżyli do siebie, rzekł do mnie: «Ani pięciu minut byłbym dłużej nie wytrzymał, nogi mi się trzęsły i uginały, byłbym padł na ziemię i stał się pastwą rozjuszonej bestji». — W jednej chwili piętrzyć się poczęły choiny, bo góral zawsze ma przy sobie toporek, naganiacze poczęli dla nas budować altany (koliby), ścielono wkoło miękkie, zielone posłanie, a w środku rozniecono ognisko, w którem można było wielu heretyków naraz spalić. Mieliśmy spory zapas *aquae vitae,* herbaty, bigosu i wędliny, humor wyborny, pogadankę zajmującą, wyobraźnię podrażnioną i nieco gorączkową, a przytem próżnię w żołądkach niezwykłą. Do tej chwili był to istny raj przy dosyć chłodnej temperaturze, lecz z każdą godziną usposobienie nasze pogarszało się, i niebawem cierpkie narzekanie wszystkie te rozkosze przytłumiło. Piekielna noc, nigdy nie zapomniana! Obraz cudowny, zachwycający, w głębi pamięci mocno wyryty! Sklepienie niebios gwiaździste, blaskiem promieniejące, nad nami świecący księżyc blady,

jakby rekonwalescent po ciężkiej chorobie, przed nami stos gorejącego drzewa i płomienie, rwące się ku gałęziom jodeł, liżące i zapalające je, w powietrzu pryskające iskry, wokoło noc ciemna, cicha, gdyby noc duchów. Przede mną żar piekła, za mną mróz lodów podbiegunowych, ścinający szpik w kościach, sprawiający bole torturowe. Zadrżałem febrycznie, wstałem i odwróciłem się do ognia, i znowu piekło ztyłu, ziębiło dotkliwie zprzodu. Wyjmuję zegarek i z przestrachem widzę dziewiątą zaledwie godzinę, ciarki po mnie przebiegły, gdy obrachowałem, że śród tych dwóch ostateczności ognia i mrozu przebyć muszę jeszcze dziesięć godzin. Poszedłem do drugiej koliby, a tam inny przedstawił mi się obraz. Leśni i naganiacze leżą w posłaniu z choiny gęsto, jak śledzie w beczce, i śpią spokojnie snem sprawiedliwych, trzymając w zębach krótkie fajeczki. Na głowie czapki z lisów, naszywane, kożuszki do kolan, szarawary z płótna i krypcie na nogach. Tak spali, jak zabici! Jak owe lalki u fryzjerów i modnistek, tak ja kręciłem się przez całą noc, a gdym się zdrzemnął na kilkanaście minut, wnet budził mnie mróz lub skwar. Wreszcie z czarnej ciemnoty wynurzać się poczęły jodły, coraz gęstsze i widoczniejsze, brzask oświecił nas, niebo się ukazało z bledniejącemi gwiazdami, więc chórem zawołaliśmy: «Chwała Ci, Panie!» A było wtedy przy

zupełnie cichem powietrzu 17 stopni mrozu. W naszej kolibie cisza, w drugiej wrzawa, gwarzenie i krzątanie się koło ognia, bo chłop zawsze głodny. Mróz trzaskający towarzyszył polowaniu. Koło południa zginęła waleczna samura, niebo się poczęło chmurzyć i huculi oświadczyli, że jeżeli nas zachwyci śnieżnica, wszyscy poginiemy, więc, zwinąwszy nasz obóz, dobiliśmy się późno w nocy do wsi.

W bagnistym lesie Bielcza, w Samborskim obwodzie, śród kępin, młak, czarnych wierzb, przeplatanych chmielem, zarosłych pokrzywami i trzcinami w znacznej liczbie żyły czyli zimowały dziki w tych fortecach niebezpiecznych dla myśliwych, a jeszcze niebezpieczniejszych dla walecznych psów, gdyż dziki pruły gąszczami temi bez wysilenia, kundysy za to do gęstych krzaków przyciśnięte, czekać musiały na śmiertelne razy. W tych to lasach straciłem kilkanaście psiarni, i rzadko kiedy z polowania powracałem z psami, tam też u szwaba założyłem szpital dla mych rannych towarzyszy. W tym rewirze miały dziki inne zwyczaje, weksle i ruchy. Często na miękkim śniegu można było polować na pomkniętego dzika, tak dotrzymywały w barłogach lub w kopicach siana. Dwa razy mi się zdarzyło podejść i podjechać dzika na 10 kroków. Raz, idąc za postrzelonym warchlakiem bez psów, pomknął odyniec, jak zając, przede mną, śrutem go

można było zabić, lecz zaskoczył mi za gąszcz czarnej wierzby, i straciłem go z oczów. Drugi raz, tropiąc na koniu dosyć hałaśliwie z powodu skorupy śniegu, najechałem na kopiec siana, niebo się zaciemniło, koń ze mną do gąszczu wskoczył, strzelba w głowę uderzyła, sznurki trąbki i zarękawka się pomotały, czapka na oczy się zesunęła, jednem słowem, wszystkie nieszczęścia myśliwskie na mnie spadły, a gdy nieśmiały wzrok rzuciłem na kopiec z pod czapki, spostrzegłem jeszcze sianem okrytego, olbrzymiego odyńca, kłapiącego zębami i tupającego przedniemi nogami ze skręconym w obwarzanek ogonkiem, ze srogiem wejrzeniem i złowrogiem fukaniem. Bóg strzegł sługę swego, na łasce odyńca będącego i w niepospolitym strachu, bo przeraziwszy mnie aż do gorączkowego stanu, jakoteż mojego konia, trzęsącego się jakby w febrze, ruszył wolnym krokiem, otrzęsając siano z swego wspaniałego grzbietu. — W tym, dla mnie pamiętnym dniu poszedłem z trzema psami do barłogu za tropami stada, i zanim zdołałem puścić tropowca, wyskoczyła stara samura i pięć dosyć rosłych warchlaków, stanęła i groźnie na mnie patrzała przez ciemną młakę. Ledwie zdołałem puścić jednego psa, łańcuchy innych mnie otoczyły i spętały, a psiarczyk, chcący ratować, powalił mnie z nóg. Po tej arcyniemiłej katastrofie, wleczony przez psy, dźwignąłem się nareszcie,

i z niemałem zdziwieniem ujrzałem samurę na tem samem miejscu, najeżoną i broniącą walecznie swe dzieci przeciw jednemu psu. Z powodu gąszczu nie można było strzelić, należało rozjuszoną świnię z fortecy wypędzić, puściłem więc psy, ale ona uderzała bez najmniejszej trwogi na kundysy, powracała do warchląt, szeregowała je ze sobą, ciałem swem rozganiała moich odważnych pomocników. Taka była rozwścieklona, że za nogę przednią pochwyciła psa i taki mu dotkliwy cios zadała, że, skowycząc, na trzech nogach do mnie przybiegł i już do atakowania nie dał się nakłonić. Uważałem to wielokrotnie, że cięcia rozjuszają psy i wcale nie zniechęcają, przeciwnie zaś deptanie, szturkanie i kąsanie odejmuje psom odwagę. Śliczna to była dla myśliwego dekoracja: Jakby za zasłoną z gazu stała najeżona samura, z czubem na głowie, z pianą w ryju, z ogonkiem zwiniętym i trzęsącym, nogami tupała, zębami kłapała, rzucając się na psy z impetem i powracając w tejże chwili do warchlaków, do których rechtała i porządkowała je. Napatrzywszy się dosyta na tą scenę, postanowiłem wyzwać tę znakomitą matkę osobiście do walki, począłem się więc ostrożnie przedzierać przez gęste krzaki czarnej wierzby i zbliżyłem się do niej na kilka kroków, lecz gęste i giętkie gałęzie, otaczające mnie, nie dopuściły strzału. Dwa pozostałe psy, zachęcone moją

obecnością, skoczyły na samurę, lecz ona, pomimo srogiego ataku, poznała doskonale swoją sytuację i niebezpieczeństwo, nie uderzyła więc na psy, lecz, wpatrzywszy się we mnie przez kilka sekund, pędem błyskawicy skoczyła na młakę, w której stałem. Widocznie i dla niej była młaka za gęstą, i gąszczu tego przebić nie mogła, gałęzie bowiem zatrzymały ją na kilka stóp ode mnie. Nie łatwo sobie wyobrazić usposobienie zapalonego myśliwego wobec dzika w takiej odległości, nie mogącego strzelić. Położenie, przyzna każdy, nie do pozazdroszczenia! Byłem w niemocy, bezbronny wobec rozjuszonego dzika, stan taki rzeczy musiał się rychło zmienić. Samura, szarpana przez psy, wycofała się z krzaków, psy odgoniła, spędziła warchlaki do kupy, narechtała im instrukcje i kłusem puściła się w las z dziećmi, w porządku za nią kroczącemi. Wydobywszy się z tej piekielnej młaki, uspokoiwszy dosyć rozigrane nerwy i rozgorączkowaną krew, poszedłem za tropami, albowiem widocznie szukała teraz w szybkiej ucieczce dla siebie i dzieci ratunku, a głos psów już moich uszów nie dochodził. Uszedłszy ćwierć mili, usłyszałem upragnioną muzykę i to na jednem miejscu. Dotarłszy do miejsca walki, zobaczyłem w rzadkiej, młodej brzezinie stojącą samurę, za nią zakryte warchlaki, a psy naszczekujące zprzodu. Dziwny to i ciekawy epizod. Pragnąłem ubić

jedno lub dwoje warchląt, więc kilkakroć razy obchodziłem tę rodzinę, aby do młodych strzelić, lecz matka, już wcale nie zważając na dokuczające jej psy, z oka mnie nie spuszczała, i w miarę postępującej mej postaci obracała się, kryjąc swem ciałem warchlaki, a gdy dokoła obszedłem, ona stanęła na tem samem miejscu, gdzie ją zastałem. Powtórzyliśmy ten manewr dwa razy z tym samym skutkiem, wreszcie musiałem zabić tę arcyprzykładną matkę, nie dającą sobie zabrać dziecięcia. Ta, podziwienia godna samura, widząc we mnie jedynego, istotnie niebezpiecznego wroga, znosiła cierpliwie zęby psów, na mnie nie szarżowała, i zginęła, dając dowody prawdziwego poświęcenia macierzyńskiego.

W r. 1858 już w marcu zawitała do nas wiosna, skowronki, wzbijając się pod sklepienia niebios, zwiastowały nam odrodzenie przyrody, krzewy pokryły się zielonością, iwy i osiki powypuszczały ozdobne kitki, leszczyna swe karminowe strzały. Sowy już się pisklętami cieszyły, dzięciołów samice dosiadywały jaj, kruki młodym pożywienie donosiły, ciężkie wrony po zaręczynach, ruchliwe sikorki w konkurach, a na bagnach i stawach gwar, pisk i rozpusta. W całej przyrodzie jedna myśl dziękczynna, jedno rozkoszne westchnienie, jedna radość, bo to koniec lodowatego grobu. Któż w takiej porze pod dachem usiedzi, kogo

ten magnes przyrody nie pociągnie do woni balsamicznej i do tego, tak przez nas upragnionego, odrodzenia. Wezwałem mego towarzysza, przywołaliśmy wyżły i ruszyliśmy szukać słonek. Doszliśmy do brzezinki łaciastej i każdy poszedł w swoją stronę, a po kilku godzinach, nie słysząc ni strzału ni głosu mego towarzysza, począłem hopkać i szukać. Zastałem go leżącego pod brzozą, ledwie żyjącego, a na moje zapytanie opowiedział słabym głosem następującą katastrofę. Wiekopomny Parol, jego nieodstępny wyżeł, spotkawszy w gąszczyku samurę z warchlakami, jednego złapał i począł uciekać. Matka rozwścieklona odebrała dziecię, lecz, chcąc się zemścić na psie, poczęła go ścigać i, pomimo zręcznych obrotów, mało nie pożarła znakomitego psa. Parol, genjusz psi, pędem skoczył między nogi swego pana i ztyłu przywarował, samura, widząc innego wroga, rzuciła się na mego towarzysza, lecz tenże zręcznym skokiem dosięgnął brzozy, a Parol, widząc zdobytą fortecę, umknął. Czyby kto uwierzył, że ta rozzłoszczona matka przez dwadzieścia minut gryzła korę, tupała nogami i pieniła się, a Parol uznał za konieczne swego pana nie bronić, lecz w oddaleniu bezpiecznem czekać na koniec tego dramatu. Na szczęście sprzykrzyło się samurze beskuteczne atakowanie, mój towarzysz bowiem z kurczem w nogach byłby już na brzozie ani pięciu minut nie

wytrzymał. Ona, zabrawszy dziatwę, uszła, a biedak myśliwy spadł na ziemię bezwładny zupełnie.

V

Gadki o wycinkach, opisy tychże zaostrzyły moją ciekawość, więc badałem, pytałem i szukałem wiadomości o tej antyprzyrodowej operacji, zamierzam więc podzielić się ową skąpą zdobyczą z mymi czytelnikami. Z najdawniejszych czasów myśliwstwa naszego mamy opisy wycinków, czyli dzikich wieprzów przez odyńców wykastrowanych. Jak się dziki broniły za Jagiellonów, wiedzieć nie mogę, dziś zaś wiem, że zady swe bronią z przezornością i ostrożnością i z tego powodu rzadko kiedy odyniec traci cechę swej męskości. Widziałem poranione dziki i popłatane jak połcie słoniny przez drugie dziki, cięciami zabite, z wnętrznościami wypuszczonem, a przez całe życie moje spotkałem jedynie trzy odyńce z wyciętemi lub przeciętemi cynadrami, a niemało ich przede mną leżało. Polując z psami, uważałem zawsze w walce odwrócone zady lub do drzew przyparte, ten sam proceder odbywa się w walce między sobą. Nie często badać mogłem te zacięte boje, tak zajmujące a straszne, wszakże kilka widziałem, i zawsze ryjami przeciw sobie stały lub na połeć, cięcia zadawane były po

przodzie lub po bokach, a nie pamiętam ran na zadzie lub szynkach. Tak się boją tych ran, że szybkie zwroty robią, jakby piruety na miejscu, niekiedy w skoku się zwracają, widocznie towarzyszy im myśl bronienia zadów. Zdarza się i zdarzać musi, że na weselu cięcia zadawane bywają w niebezpieczne miejsce, lecz nie przez walczących z sobą, lecz przez asystujących. W chwili hukania bywa kilka i kilkanaście odyńców razem, jeden wywalczy sobie wyłącznie samurę, wszystkie rozjątrzone, rozgorączkowane, chciwe walki. I tak dwóch z sobą walczy, a trzeci i czwarty pędem przebiega koło bojowników i razy zadaje, lub podchodzi zdradziecko i kłami rany robi głębokie. Dzik tak na kule, jak i na cięcia twardy i wytrwały, częstokroć kilkanaście otrzyma, a jednak staje do dalszej walki, to znowu pokiereszowany i zbroczony dobywa samurę, i z ranami sączącemi odpędziwszy współzawodników uprowadza ją i korzysta w pełni ze swego zwycięstwa. Dopiero gdy rany wywołują gorączkę i poczyna się ropienie, wtedy traci odwagę, butę, chęć do natarczywości, zakopuje się w śniegi, przewraca się z jednej na drugą stronę, i leczy rany kompresami śnieżnemi. Wtedy to rzadko kiedy staje do walki z psami, lecz uchodzi, szukając ratunku w ucieczce, co późniejszy opis potwierdza, co też uważałem kilkakrotnie. Odyniec, leniwo idący przed na-

ganką i zabity celnym strzałem, wymierzonym w głowę, miał trzy cięcia w cynadrach, które już były w stanie zgniłego ropienia, wydającego fetor nie do opisania, drugi miał tylko jedno jądro zdrowe, widocznie drugie wyciekło, a rana się zagoiła, trzeci lekkie i nieszkodliwe rany, jednego zaś dwuletniego widziałem bez cynadrów. Czy się bez tychże urodził, czy też w walce stracił, orzec nie mogę, bo ani blizny, ani znaku cięcia nie miał. Jak się działo dawniej, że praojcowie nasi widywali wycinki i ubijali je, że nawet za mego życia opowiadali mi o wycinkach sędziwi myśliwi, wytłumaczyć sobie nie mogę. Ja tylko nader skąpe zebrałem wiadomości o tem kalectwie, byłoby więc pożądanem, żeby nasi myśliwi podawali do «Łowca» swe spostrzeżenia w tym względzie.

Znałem leśnego czyli pobereżnika odwiecznego, on sam i ludzie gromady nie umieli oznaczyć jego wieku, istny dąb-człowiek. Rosły, barczysty, z podciętym wąsem, podgoloną czupryną, nieco wiekiem pochylony, z siwemi włosami i głęboko w twarzy wrytemi zmarszczkami. Małomowny, z wyrazistemi oczami, z żywą mimiką, z fajeczką w ustach, był unikatem śród tropicielów, nigdy bowiem strzelby do rąk nie brał, a tropił z powołania nawet wtedy, gdy nie polowano. Skromny w swych potrzebach, trzeźwy, mieszkał w małej chacie w lesie, oddalonej od wsi, stronił od ludzi, i ledwie dwa

razy do roku bywał na jarmarku, pokochał las, cieszył się zwierzyną, prześladował drapieżne zwierzęta żelazami i dołami, miał różne łapki, i wiedział dokładnie, gdzie i kiedy jaki zwierz przebywa. Ta ciekawa leśna postać nigdy nie dała się skusić do opowiadania o dawnych czasach, o dawnych dziedzicach, wychowała dwóch synów rosłych drągali, lecz nie nadała im nawet cząsteczki swego typowego usposobienia, ani zaszczepiła żyłki myśliwskiej. Choćby sam cesarz do niego mówił, byłby czapki nie zdjął, ani fajki z ust nie wyjął, na powitanie odpowiadał kiwnieniem głowy i lekkiem uchyleniem czapki, poczem z cybuszkiem w zębach stał milczący. Otóż owa postać zagadkowa, istny Sylwan, przyciągała mnie do siebie, i zawsze z pewnem wzruszeniem cieszyłem się na spotkanie z nim. Do tego wszystkiego dziwnie był dla grosza obojętnym, czy dostał pięć reńskich, czy jednego, zawsze z tym samym wyrazem obojętności kiwnął głową, schował pieniądz do kieszeni, milcząc upornie. Opowiadano, że ongi służył w możnym dworze za łowczego, że pochodzi z dawnej szlachty chodaczkowej, że miał w życiu różne przeprawy i przygody, lecz nikt nie umiał wymienić szczegółów, a on sam zbywał nas zawsze temi słowy: «Niema o czem mówić». W okolicy nazywano go Stefanem. Otóż Stefan, gdyśmy na miejsce zboru przybyli, przybliżył się do mnie,

i kiwnąwszy głową, powiedział: «Jest, proszę pana, lecz smutny, słaby i goły». — «Jakto goły?» — «Goły jak jałówka». — «Jakże ty to wiesz, jakże potrafiłeś go zejść, aby mu się zbliska przypatrzyć?» — «Wczoraj, gdy wieczorem obchodziłem las, zobaczyłem bydlę, kroczące przez pole, schowałem się za dęba i przekonałem się, że to duży dzik idzie, pokłapywał zębami i pienił się, wszedł do gąszczu i dziś nie wyszedł, nawet ścieżki nie przekroczył. On tu w tym gąszczyku grabowym leży i psów nie potrzeba puszczać, bo on bardzo zły, a my go sami wygonimy». — Z Stefanem nie było dyskusji ani targów, trzeba było według jego woli działać, w przeciwnym razie zaraz się uchylał i znikał z oczów. Było strzelców czterech, Stefan wskazał nam stanowiska, sam zaś, zabrawszy kilku naganiaczy, poszedł nadół pod miot. Pod nami grabina, gąszcz nie dozwalający przystępu, przed nami pola bielą okryte w ramach leśnych, za nami ogrom lasów bez końca i granic, z suchemi i bagnistemi jarami. Staliśmy na wąskiej ścieżce, ja zaś na samym brzegu zrębu. Przywiązawszy konia do krzaka w braku drzewa lub gałęzi, stanąłem i usłyszałem znane mi świstanie Stefana, a niebawem ujrzałem go wychodzącego z gąszczu. «Jakto, nie wyszedł?» — «Nie wyszedł» — odpowiedziałem. Stefan był nieomylny, więc łatwo sobie wytłumaczyć jego zdziwienie, kiwnął na

chłopców, i przeszedł koło mnie, mówiąc: «On idzie z wesela zmęczony, może i cięty, pójdę go z barłogu wyruszyć». — Po chwili słyszę: «A pójdziesz stąd, husz! husz! pilnuj dzika!» I widzę odyńca, wolno kroczącego na mego sąsiada, który go za siebie puszcza, i w gąszcz strzela. Ja wołam: «Puszczaj psy!», dosiadam konia i pędzę na trop, ostygam wszakże w zapale, gdyż widzę na tropie jakby płucną krew, a z wysokości konia trudno było dopatrzyć jakości farby. Nie lubię dobijać cudzego zwierza i jechać za postrzelonym przez drugiego, lecz więcej koni nie było, odyniec mógł mi wyciąć wszystkie psy, musiałem przeto rozpocząć nader męczącą pogoń. Te lasy bez linji z zarosłemi drożynkami, poprzerzynane parowami, naszpikowane gąszczami, przedstawiły jeźdźcowi wiele przeszkód nader dokuczliwych. Odyniec wolno wprawdzie postępował, lecz się trzymał młodników, i z nich nie wychodził, często słyszałem naszczekiwanie na miejscu, lecz z przyczyny niedostępnych gąszczów nie mogłem zbliżyć się. Dzik coraz bardziej się oddalał, ja zaś nad miarę już zmęczony, prułem powoli te niedostępne zręby. Już słońce usuwało się z firmamentu, a jeszcze nie mogłem znaleść drożynki lub ścieżki, aby pośpieszyć i wydobyć się z tych zaczarowanych i wcale mi nieznanych lasów, ujechałem bowiem najmniej dwie mile przez kilka godzin, wreszcie usłyszałem

ujadanie psów i po chwili stanąłem wobec zaciętej walki. Pode mną w dole źródlisko, poza niem wyprute, głębokie łożysko zapełnione wodą, naprzeciw domostwa zacienione wierzbami i bzami, dalej stożkowata kupa gnoju i śmieci, a na niej bielejące skorupy z potłuczonych naczyń, na boku kilkadziesiąt odwiecznych guzowatych buków, a o jeden z nich był zadem oparty odyniec, wkoło niego rozżarte psy, próbujące wyprzeć dzika z fortecy i zad mu dalej zębami obrabiać. Pomimo głosu psów spojrzał na mnie odyniec i nasrożył się, oddalenie nie dozwoliło mi strzelić, a przede mną była stroma ściana. Opatrzywszy dokładnie buka, pod którym zwierz stał, aby plan podkradania się ułożyć, zwróciłem konia, objechałem kilkaset kroków, zsiadłem i począłem do tego buka podchodzić. Jakież było moje zadziwienie, gdy stanąłem niedaleko buka i zobaczyłem tańcujące psy, ale bez odyńca. Podsuwam się ostrożnie, staję śród psów i jeszcze dzika nie widzę, posuwam się więc dalej, wreszcie dostrzegam go, ale tak strasznym mi się ten potwór wydał, że zadrżałem i skoczyłem wtył. Dzik nieznanych mi rozmiarów, gliną oblepiony, siedział w łożysku, z krwawem spojrzeniem i pianą w ryju, widocznie już nad miarę zmęczony i niezdolny do dalszej walki. Nie uważałem, że między memi psami szczekały dwa małe pieski. Wtem jawi się kobieta dobrej

tuszy, w trzewikach na gołych nogach, w koszuli i spódnicy, z chustką na krzyż zawiązaną, pomimo piekielnego mrozu, z czarnemi, rozczochranemi włosami, gdyby Sybilla, i poczyna mnie łajać i kląć najzelżywszemi słowami, nie dozwalając mi słowa przemówić. W nadziei, że język się znuży, gardło wyschnie i szczęki omdleją, wziąłem pręcik i począłem odpędzać psy, a może się też i faworytom tej pani dostało się jakie uderzenie, bo wzmogła się wściekłość tej czarownicy. Podparła boki rękami i nanowo recytowała bogaty wokabularz przekleństw, podnosząc głos do najwyższego diapazonu, a ja pokornie słuchałem i więcej nie zdołałem wypowiedzieć, jak: proszę pani. Żadna *femme de la halle* w Paryżu, żadna przekupka z pod Sukiennic krakowskich nie mogła się mierzyć z tą wymową, ani z tą siłą głosu, a co jeszcze ciekawszego, że ta kaskada obelg już na mnie padała od pół godziny, i ani moje milczenie, ani moja pokora nie zdołały rozbroić rozwścieklonej baby, aż nareszcie moi towarzysze nadeszli i powiedzieli, kto jestem. Wtedy ona, podparłszy się raz jeszcze, powiedziała: «To przepraszam», zawołała na pieski, i nakształt posągu pozostała na wyżej wymienionej kupie, na której, jak się zdaje, królowała. — Stefan zbliżył się do mnie i szepnął: «Nieprawdaż, że goły?» Rzeczywiście odyniec był zupełnie goły z wytartą szerścią na całem

ciele, ledwie na grzbiecie i między uszami sterczało kilka szczecin, był również zmęczony i chory, widocznie powracał z wesela, które mu nie posłużyło. Rozpoczęła się nasza praca Danaid z dzikiem, którego w dziesięciu z koryta wydobyć nie mogliśmy, a fetor, wydobywający się z niego, nudności nam sprawiał. Nareszcie zapomocą sznurów wydobyliśmy zupełnie gliną oblepionego potwora, ułożyli z wielkiem wysileniem na saniach i pojechali do leśniczówki. Widocznie ten dzik nie miał ani odwagi ani siły do obrony, żadnego psa w czasie kilkogodzinnej pogoni nie ciął, szedł gąszczami wolno, a w grubszym lesie opierał się o drzewa, wreszcie, chcąc się zabezpieczyć, wskoczył do łożyska źródła, aby się ochłodzić, trzymając łeb z kłami w gotowości do obrony ponad brzegami koryta. Trudno oznaczyć dalsze plany tego odyńca, byłby musiał przejść koło ogrodu wymownej Diany, dalej przez trakt publiczny dosyć uczęszczany, aby się dostać do większych lasów, lub też byłby tropem wracał do swego barłogu w gęstym grabniku, gdzieby rozpoczął kurację ciężkiej choroby, spowodowanej rozpustą i rozhukanemi chuciami, ale kula moja za uchem położyła koniec tym zamiarom. — Nazajutrz rano budzi mnie strzelec, mówiąc, że nam dzika na saniach pokrajano. Niemało zdziwiony pytam, czy go zdjęto i powrozy rozwiązano, odpowiada, że

nie i że dzik leży na saniach tak, jakeśmy go w nocy zostawili. Ubrałem się i poszliśmy wszyscy *in gremio* oglądać odyńca i szukać pierwszej kuli. Wstręt wzbudzało to zwierzę zamarznięte z przymrużonemi oczami, z krótkiemi, wyszlifowanemi kłami koloru orzechowego — ów rozpustny starzec po śmierci. Siedmnaście ran odkryliśmy i narachowali, a niejedna uszła naszej baczności. Z ran tych sączyła się żółta woda i cuchnąca materja, niektóre były głębokie, a na 6 do 10 centymetrów szerokie, można było w każdą palec włożyć, najwięcej ich było po słabiznach i na żebrach, kilka na szynkach. Musiał on walczyć z niepospolitemi szablami, sam zaś tylko płytkie cięcia zadawać krótkiemi i zużytemi kłami i widocznie ustąpił z placu walki wskutek zupełnego wysilenia. Pokazało się, że oprócz kuli za uchem, nie miał żadnej innej. Sąsiad mój wcale go chybił, a płucna farba, którą znaczył swój trop, była sączącą się z ran materją. Musieliśmy ten rzadki okaz zostawić, fetor bowiem, wychodzący z odyńca, zatruwał powietrze, pomimo silnego mrozu. Rany te są świadectwem niezmiernej zaciętości w walce, toczącej się w czasie hukania, dotąd nie dosyć zbadanej. Przypuszczać należy, że nieraz słabszy lub mniej obrotny zginie od cięć dużych i ostrych szabel. Nieraz znajdywałem martwe odyńce w lesie, w części lub całości w putrefakcji, nad-

jedzone przez lisy lub pożarte przez wilki, często szukaliśmy kul, i nie zawsze odszukać zdołali, co nakłania mnie do mniemania, że niejeden odyniec wesele życiem opłaca. W tej porze dzik rozdrażniony, często się rzuca na człowieka bez strzałów i psów, czego dwa razy w życiu byłem świadkiem. Wielu żyjących dziś jeszcze myśliwych pamięta widok dwóch czarnych kiszek z pobereżnika Iwana, zawieszonych na konarze buka, rosnącego horyzontalnie na linji podłużnej rewiru kameralnego w Polanicy. Na nieszczęśliwego strzelca wychylił się niespodziewanie na czarnej stopie z gąszczu odyniec, i zanim mógł się zmierzyć i strzelić, już go na ziemię powalił i jednem cięciem rozpruł brzuch, kiszki wypuścił i ruszył dalej, nie pastwiąc się nad męczennikiem. Drugi dzik, równie zuchwały i odważny, znany był w Karpatach węgierskich w okolicy Koszyc. Polowałem na niego nieraz jeden z psami, zawsze jednak bez skutku, naganiacze bowiem w tym rewirze bali się stawać do obławy. Opowiadano mi, że gdy tylko człowieka zoczył, zaraz się na niego rzucał, szarżował nawet w lesie na pastuchów i baby, zbierające grzyby i jagody. Dla psów nie miał być bardzo groźnym, odpędziwszy je bowiem, szukał strzelca w przeświadczeniu, że on większym jego wrogiem jak psy. Polowałem w tych dziewiczych lasach przez lat sześć, często i na tego napast-

nika, nigdy wszakże do niego nie strzelano i nie mogłem się dowiedzieć, czy też ostatecznie przyszła kryska na Matyska? Zaiste te lasy i to dzikie polowanie, z odrębnemi zwyczajami zasługują na szczegółowy opis. Tam niema nic podobnego, ani nawet zbliżającego się do obrazów, kreślonych w naszym kraju, wszystko — dziwne z właściwą cechą, przerażające, a dla wytrwałego myśliwego nader ponętne. Góry stykające się z obłokami, jar na jarze, piętrzące się łomy, odwieczne drzewa, cieniem przygniatające rośliny, klomby naturalnych gąszczów — cisza grobowa — leśna pustynia nastrajająca duszę do smętnych marzeń. Tam zabłąkany, jeśli nie ma zmysłu myśliwego, nie szuka ludzi, postępując za biegiem sączącej się wody po debrach; to w leśnej pustyni bez granic zginąć musi, a do tego porozumienie ze słowiańskiemi węgrami bardzo trudne, bo ich mowa jest taką mieszaniną, że odgadnąć myśli nie łatwem zadaniem. Przestrzenie górskie z przepadzistemi jarami, góry wysokości kilku tysięcy stóp gonią tam 8 do 10 naganiaczami wyjącemi przeraźliwie, a najczęściej polują z małemi, lekkiemi ogarami, a to z przyczyny znacznych przestrzeni i odległości, zaczem idzie, że nocują w lesie tam, gdzie noc drużynę myśliwską zaskoczy. Mają tam koryta wydrążone w pniach drzew, ścielą nieco słomy,

i w tych korytach, u nas dla zabitych wieprzów przeznaczonych, układają się myśliwi, a jeżdżą końmi lub wołami pod niebiosy, ponad debry i jary tak głębokie, że mimowolnie drży serce z trwogi wobec tych przepaści. Opisywałem w części te urocze puszcze w Nrze 5. «Łowca» r. 1879 w polowaniu na niedźwiedzie, dziś pragnę ów obrazek wykończyć i uzupełnić postaciami do nich należącemi. Granic dla nas w tych lasach nie było, i nikomu nawet na myśl nie przyszło pytać o właściciela, trąbka nas zgromadzała, a znakomici przewodnicy kierowali nami. O bogactwie tak u drobnych właścicieli jak wieśniaków mówić nie mogę, niedostatek wszędzie był widoczny, lecz też potrzeb mało. Nieszczęśliwy, kto bez zapasów żywności puścił się w tamte strony, i zmuszony był słoniną zaspokajać głód, pić gorzałkę nielutrowaną, którąby nawet najznakomitszy pijak u nas pogardził, a przy obiedzie oblewać potrawy winem tegorocznem, z natury swej przeznaczonem raczej do sałaty. Tam jadłem sadzone jaja rozpuszczone w czekoladzie i kury z szodonowym sosem bijącym do nosa, nic więc dziwnego, że do śmierci mi te potrawy w pamięci towarzyszyć będą. Bracia S...., u których bawiłem, niepodobni byli do siebie, jeden wysmukły, chudy, blondyn, drugi barczysty, krępy i brunet, podzielili się ojcowizną, jeden dostał kilkadziesiąt morgów lichego pola i nieco

łąk, a kilka tysięcy morgów górskiego lasu liściastego, nie dającego żadnego dochodu; drugi taką samą część. Każdy posiadał gorzelniczkę średniowieczną, i wydobywał, przepraszam za wyraz, śmierdziuchę z kartofli i żyta. Pierwszy posiadał uroczą żonę, smukłą brunetkę z zacienionemi oczami, z powabnym uśmiechem i spojrzeniem, z kibicią pełną naturalnej giętkości, zaiste mogła uchodzić za Djanę tej lesistej okolicy, — niestety bez żadnej dla mnie ceny, nie mówiła bowiem zrozumiałym dla mnie językiem, i dziś jeszcze pytam siebie, co znaczyły wymówione wyrazy temi prześlicznemi ustami. Dźwięcznym głosem szczebiotała do męża i szwagra szybko i swobodnie, lecz jednego sensu nawet pochwycić nie zdołałem pomimo przeplatanych słowiańskich wyrazów. Mężczyźni mówili z sobą wyłącznie po łacinie. Drugi nie posiadał wprawdzie tak miłej towarzyszki, ale natomiast trójkę znakomitych piesków, obadwa zaś zamiłowani myśliwi, przebywający w lasach w ciągu połowy roku. Suczka drobnych rozmiarów z nazwą Fiołka, była przez dziki do tego stopnia pokiereszowana, że szew na szwie, wałek na wałku widzieć można było na całem ciele, co wszakże weteranki wcale nie odstręczało i nie zniechęcało. Kazano mi uczyć się poznawać głos Fiołki, polecając, bym, usłyszawszy jej głos, śpieszył na miejsce, gdzie napewne z dzikiem się spotkam,

bo ona go nie puści. Suczka chuda i mała musiała posiadać szczególną zręczność w przytrzymywaniu dzika, zawsze go z tyłu atakując. Przekonałem się tylokrotnie, że dzik pozostał w barłogu lub w pobliżu jego, a Fiołka, tańcując, kąsała go po nogach, nie mogąc się wyżej dostać. S.... mówił: «jak nie stanie Fiołki, to już nie będzie polowania na dziki». Szczęśliwym trafem, suczka wytrzymała przez czas mej dzierżawy, której przydłużać wstyd mi zakazywał, była bowiem od domu oddalona o 40 mil. Do tego oryginalnego kółka należała jeszcze indywidualność typowa już w Europie nieistniejąca, strzelec, psiarczyk, leśniczy i ekonom, zwany Bela. Mały, barczysty, zarośnięty, z kędzierzawemi włosami kruczej barwy, śniadej cery, niskiego czoła, z dużemi ustami, z wypiętym na krzywych nogach brzuszkiem. Nosił krypcie, spodnie z białego sukna, wyszywane czerwoną bawełną, kurtkę podszytą kożuchem, na szyi grubą, barwistą chustkę, na głowie siwą, baranią czapkę. Zawieszał na lewem ramieniu krótką strzelbinę z dużym wylotem, którejby był za królestwo nie odstąpił, w prawej ręce miewał gruby kij, ciało przepasywał rzemieniem, niby to smyczą wokoło ciała postronkiem cienkim, wreszcie zdobiły go: szeroka borsucza torba i trąbka z wołowego rogu. Bela był najznakomitszym tropicielem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotykałem, po mi-

strzowsku podkładał psy, poprawiał i zachęcał, wcale nie chciwy strzału i uczynny dla drugich. Psy doskonale układał, i można było przysiądz, że na dziki puszczone, nie pójdą za innym zwierzem pomimo, że z temi pieskami na lisy, zające i sarny polowano, o czem się nieraz przekonałem. Niestety ten pół cygan a pół węgier miał wadę nałogowego pijaństwa. Bracia S.... twierdzili, że przez całą zimę on się nie wytrzeźwia, a w lecie wódki wcale nie pija. Żeby ocenić genjalność tego tropiciela, i jego olbrzymią siłę pomimo, że był chodzącą kufą gorzałki, trzeba znać te góry, i myślą przemierzyć te przestrzenie przerażające każdego obcego myśliwego. Bela przededniem wychodził, obtropił dwie, trzy góry, stawił się zawsze o godzinie naznaczonej na miejscu zboru, potem brał psy, szedł do barłogu, i czasem do samego wieczora prześladował dziki. Myśliwy to był zaiste, któremu można było folwark darować i dawać bezpłatnie co roku beczkę wódki. Nie zdziwią się czytelnicy, gdy powiem, że przylgnąłem do Beli, jak dziecię do niańki. Z początku nie bardzo mu smakowała moja wódka, krzywił się, bo ani piekła, ani ponętnie śmierdziała, lecz się później do niej przyzwyczaił, i chodziliśmy zawsze razem. Ile razy dzik ruszył dalej, a Bela nigdy przedemną nie strzelił! Bieda mi była z nim w rozmowie, on bowiem tak jak pani domu, nie mówił zrozumia-

łym dla mnie językiem, więc wyuczyliśmy się nawzajem potrzebniejszych do polowania wyrazów, i te nam wcale wystarczały. Jedna mi tylko obawa bez przerwy towarzyszyła, że Bela z pijaństwa legnie i ja nie trafię do domu z tych lasów bez granic. Tam ani mowy nie było o przywiezieniu dzika do wsi w dniu jego śmierci, dopiero nazajutrz posyłano sanie po niego, a zwyczajem już było, iż kto zabił dzika, odrzynał ogonek i chował go do torby lub kieszeni, jako trofea i dowód ubicia. Nie małośmy ogonków zdobyli przez tych kilka zim, a w dniu grudniowym, o którym piszę, kilka ogonków umieszczono w torbach. Na świeżej ponowie obtropił Bela kilkanaście dzików wśród hukania, puszczono psy, a Fiołka wbrew zwyczajowi swemu popędziła warchlaka, i jak zawsze, pociągnęła za sobą inne psy. Warchlak nie chodził długo, przytulił się do kłody w parowie, i zginął z mojej ręki. Niebawem usłyszeliśmy piskliwy głos suczki na uboczy, i pośpieszyliśmy ku psom. Widocznie rozromansowane dziki chodzić nie chciały, strzały i pogoń psów nie przerażały ich, stanęły na uboczy, i każdy z nich na śnieżnem tle zarysowywał swą postać w znaczniejszych rozmiarach. Było ich do 15, między nimi siedm dużych, i odyniec atakowany przez psy nieco bliżej nas, ruchliwy i zręczny, odganiający napastników z podziwienia godną szybkością.

Nieraz widzieliśmy psa przewróconego i słyszeliśmy skomlenie. Widząc to niebezpieczeństwo, nabijając właśnie strzelbę, wskazałem Beli dzika. Zrozumiał mnie, zaiskrzyły mu się oczy, uśmiechnął się, splunął po tytuniu żutym w ustach, kiwnął głową, i bez przestrzegania ostrożności, dobrze podchmielony, szedł prosto na dzika. Odyniec pośród psów, z Fiołką dokuczliwą z tyłu, począł mamlać ryjem, toczyć pianę, tupać nogami coraz szybciej, nareszcie w straszliwym pędzie uderza na Belę. Ten gdyby ryś, odskoczył na kilka kroków, puścił dzika za siebie, strzelił, a odyniec, kozłując jak zając kilka razy, zwalił się do wody bez życia. Uściskałem nieustraszonego strzelca pomimo, że nie mogłem sobie zdać sprawy, czy to on, czy gorzałka tak odważna, wysączyliśmy do dna manierkę, i jak się później pokaże, wódka ta dobiła Belę. Po odcięciu ogonka poczęliśmy trąbić pełnemi płucami, aby resztę rozprószonych myśliwych zwołać i naradzić się, co począć, gdyż była dopiero trzecia godzina. Mój towarzysz rozogniony, zapalił sobie moje cygaro, i z gwałtowną mimiką i ochrypłym głosem począł mi coś wykładać, pokazując na drugą górę, na psy i na siebie, z czego jednak nic zrozumieć nie mogłem. Nareszcie i bracia S.... nadeszli, winszując nam zwycięstwa, a wysłuchawszy narracji Beli, oświadczyli mi, że jemu można wierzyć, bo zna zwy-

czaje dzików, ich barłogi i przesmyki, więc za stadem jeszcze iść trzeba, które na górze za pasieką stanąć musiało. Poszwargotali razem, Bela wziął psy i znikł nam z oczów, a my poczęliśmy się mozolnie drapać pod zaśnieżoną górę. W czasie naszego pochodu dowiedziałem się, że Bela obejdzie całą górę, i psy puści z parowu, a dziki na nas nagoni. Już światło dzienne mroczyło się, gdyśmy na szczycie stanęli i spuszczali się po dosyć spadzistej ścianie. Pod nogami strumyczek osłoniony wikliną, dalej łączka, na niej ogrodzony kwadrat, w dali czarne lasy okiem nieprzejrzane na stożkowatych górach, a cały krajobraz na różowem tle zachodzącego słońca. Zachwycony zanurzyłem wzrok w ową ojczyznę odwiecznego łowiectwa, myślą sięgałem w daleką przeszłość, podziwiałem siebie, że stoję w tej leśnej pustyni. Gdy tak dumałem, zmęczony nad miarę, jeden z braci S. porwał mnie za rękę, mówiąc: «Fiołka goni». Rozbiegliśmy się wszyscy, dążąc do strumyka, przez który dziki miały się przeprawiać, a spojrzawszy na pagórek przed nami stojący, zobaczyliśmy zataczającego się Belę, dążącego ku psom. Wobec bliskości dzików, sądząc po głosie psów, już nie można było cofnąć pijanego strzelca nawoływaniem, więc w milczeniu wyczekiwaliśmy posuwających się dzików. I tu znów wrył się w pamięć moją

obrazek na całe życie. Bela widząc wysuwające się z krzaków dziki, stanął jak osłupiały, na zupełnie pewnych nogach, przypuścił szarżujące stado na dwadzieścia kroków, dwoma strzałami powalił dwa ogromne dziki, przewrócił się na wznak, a cała czereda przeszła przez niego. Strach nas ogarnął, zapomnieliśmy o dzikach i pędzimy do zabitego według naszego mniemania Beli, niedającego znaku życia. Przybiegłszy do niego, usłyszeliśmy potężne sapanie, a obejrzawszy się dokładnie, przekonaliśmy się, że oprócz czerwonych plam na ciele od racic, nic pijakowi się nie stało. Dobiliśmy olbrzymie samury przewracające się i miotające ku psom, i naradziwszy się, posłaliśmy po sanie, zostawiając leśnego przy Beli i dzikach. Szarża tych dzików była podziwienia godna i dziś ją jeszcze widzę. Na przodzie pędził największy, za nim trójka dużych w szeregu, a z tyłu warchlaki. Pierwszego przepuścił Bela, z trójki ubił dwa, i wzruszeniem a może bardziej wódką pokonany, padł na wznak nieżywy. Po tym pamiętnym dniu opuściłem góry, wynagrodziwszy sowicie Belę znakomitego, a na wsiadanem usłyszałem te słowa: «Już Bela nie będzie trzeźwym przez trzy tygodnie!»

VI

Sądząc z ciekawego epizodu z mego życia myśliwskiego, wystawiam sobie, jakto się stado dzików wobec wilków broni, jak się formuje, jak szarżuje, tnie, i młodzież swą zabezpiecza. Polowałem na dziki z psami w Podhajeckiem państwie r. 1850 miesiącu grudniu, i powróciłem na noc do miasta z zamiarem polowania w następnym dniu, lecz w nocy spadł śnieg na łokieć, przysypał tropy, więc pojechaliśmy do krajnego lasu na drobnego zwierza, a na moje nieszczęście odesłałem konia i psy do oddalonego folwarku. Zanim plan ułożony został i naganiacze się rozeszli, przyjechał młody leśniczy na koniu, i zaklinał nas, abyśmy nie płoszyli dzików, oraz twierdził, że wieczorem weszły, więc w taką śnieżnicę nie ruszyły. Rada w radę, postanowiliśmy posłać po psy, bo chociaż tropy śniegiem przysypane, to jednak las niewielki, dębowy od pola i mało podszyty, więc psy zwietrzyć i ruszyć muszą dziki. Po chwili przyprowadzono psy, ale o moim koniu zapomniano, gościnny leśniczy chcąc to złe naprawić, ofiarował mi swego konia. Nawet Sancho-Pansa byłby mi nie pozazdrościł tego Rossinanta, który pewnie ziarna owsa nie znał, chudy był, na wysokich nogach, z drzemiącemi oczami, niby gniady, niby deresz, dotąd tkwi

w mojej pamięci z tem kozackiem na grzbiecie siodłem. Ledwie odjęto psom drążki, rozpoczęły się wrzawa i hałas, a że nikt z nas przypuścić nie mógł, że dziki pójdą w pole, więc staliśmy wszyscy od grubego lasu. Biegnę co tchu ku koniowi, wsiadam na to torturowe siodło i pcham konia piętami, cuglami i kolbą, ale niestety bez skutku. Wywłoka przeznaczona już za życia na ścierwo dla wilków, obojętna na razy, posuwała się stępo, wyciągając ostrożnie nogi ze śniegu. Rozpacz mnie ogarnia, niecierpliwość trawi, wstrząsa całym systemem nerwów, gdy widzę wdali 15 dzików staczających walkę z psami, i posuwających się ku miejskiemu cmentarzowi, zarośniętemu dzikiemi wiśniami. Nic nie pomaga, Rossinanta nawet do wolnego truchta nakłonić nie mogę, zastrzyże uszami, ogonem się ogoni, i dalej z flegmą postępuje, a ja na grobach zmarłych Podhajczyków widzę to psa, to dzika, to warchlaka, tam walkę, tu ucieczkę, a wiele sposobności zastrzelenia przynajmniej dwóch dzików. Już zamierzałem zeskoczyć z tego zgniłego konia i pieszo podchodzić stado, lecz wyrozumowałem sobie, że po takim śniegu nie zdążę za psami, i że dziki nie pójdą do miasta, lecz wrócą do lasu. Tak się też stało. Gdy się im sprzykrzyło deptać na nieboszczykach, sformowały się w zwarte stado, starszyzna stanęła na przodzie, młodzież z tyłu, a w ariergar-

dzie duża sztuka, jakby dla asekuracji warchlaków. Tak wolnym truchtem w towarzystwie psów dążyły dziki pochyłością pola do lasu. Miot zwano: Panieńskie łozy. Czy tam panienki niegdyś przesiadywały, czyli też w tych krzakach odegrał się kiedyś sentymentalny jakiś dramacik, nie wiem, to wszakże pewne, że dziki weszły w te łozy, i tam oszczekiwane były na miejscu przez kilkanaście minut. Ja z niecierpliwości i szamotania się z koniem byłem cały w potach, i ani na chwilę choćby truchtem naprzód niepodążyłem. Gdym się już wreszcie zbliżał do krzaków, ujrzałem nader ciekawą scenę. Psy widocznie bały się wskoczyć do gęstych krzaków, może już były poturbowane, a może też poznały odyńców i stchórzyły, więc zławiając, tańcowały przed gąszczem. Wtem wysuwa się całe stado, na przodzie staje jeden dzik, za nim trzy, dalej cztery, a z tyłu gromadka warchląt, i ze świstem i szumem uderzają na uciekające psy, powalają wszystkie i tratują, przebiegając w tym samym porządku koło mnie w odległości może stu kroków, i dążą do lasu. Już mi też mój Rossinant nadto dokuczył, zsiadam więc i biegnę do psów, które znalazłem w nader smutnym stanie. Jeden w kabłąk zgięty charczał, drugi ranę na nodze wylizywał, trzeci przeraźliwie skomlał, a czwarty leżał bez życia. Trzy pozostające patrzyły na mnie w osłupie-

niu. Była to szarża, jakby kirasierów z pod Waterloo, wykonana z wielkiem powodzeniem, bo na siedm psów atakowanych, jeden tylko dał się nakłonić do dalszej pogoni, i to z niezwykłą ostrożnością, bo co chwila wracał do strzelców. Przed tym jednym psem ubito odyńca zuchwałego, nie szukającego ocalenia w ucieczce, jak to uczyniło stado. Zabraliśmy rannych i pojechaliśmy do domu. Z psów jeden tylko był cięty w nogę, reszta zdeptana, z czego chorowała przez trzy tygodnie. Takie tratowanie racicami musi sprawiać niesłychany ból, bardziej bowiem psy zniechęca, jak najgłębsze cięcia. Dwa dosknałe psy w ten sposób podeptane, już nawet za tropem iść nie chciały, a przed dzikiem jakby wścieklizną pędzone, uciekały, więc musiałem je kazać zastrzelić.

Na pierwszych śniegach listopadowych polowałem w Mikołajewskiem państwie, i postrzeliłem dzika. Noc nas zaskoczyła i dochodzenie zwierza musiałem do rana odłożyć. Towarzystwo moje miało polować w odległym rewirze, ja zaś namówiłem mego *alter ego* myśliwskiego, zabraliśmy konie i psy, i ruszyliśmy ku naznaczonemu miejscu. Na moje nieszczęście padał w nocy śnieg, wprawdzie bardzo drobny, ale dostateczny, aby farbę przykryć i pogoń tak nam jak i psom utrudnić. Słońce ledwie się z za góry wychylało, my so-

bie miotełki wiązali, aby śnieg zmiatać z tropu, bez której ostrożności nie można się było posuwać za farbą, z drugiej zaś strony wstrzymywało bardzo dochodzenie dzika i męczyło nas ciągłe schylanie się do ziemi. Śród takiej pracy szliśmy może godzinę, gdy mój *alter ego* wskazuje mi zbroczony barłóg. Puściliśmy psy na świeży trop i niebawem usłyszeliśmy naszczekiwanie na drugim pagórku. Losy mi w tym dniu nie sprzyjały, owszem, dziwnie prześladowały. Psy, idąc za tropem postrzelonego dzika, ruszyły na oko z barłogu dużego odyńca, porzuciły farbę, i chwyciły się zdrowego, piekielnie zuchwałego i ciętego dzika. W przekonaniu, że raniony, prosiłem towarzysza, by nie strzelał, i puściłem się na moje nieszczęście za psami. Posiadałem wtedy dwa zacięte ogary i cztery kundysy, między nimi dużego, czarnego, podżarego z mordą i zębami do rozdarcia tygrysa, walecznego a ostrożnego, co stanowiło jego największą zaletę. Gdy się zbliżyłem o kilkanaście kroków w gąszczu ciemnym do odyńca, stojącego śród psów, mój kundys uznał za swój obowiązek skoczyć na dzika, w okamgnieniu miał go odyniec pod sobą, i począł po nim racicami deptać, broniąc się innym kłami na miejscu. Z wlepionemi w niego oczami wyczekiwałem chwili stosownej do strzału , gdy wtem kundys się wyrwał z pod dokuczliwych racic, i pędem do nóg moich

przybiegł, a za nim rozwścieklony, pieniący się odyniec, i stanął o krok odemnie. O strzale ani myśleć można było w tym piekielnym gąszczu, więc odskoczyłem na łokieć wtył, zatrzymałem dwoma rękami strzelbę napoprzek, i krzyknąłem przeraźliwie na dzika. Ani strzelba, ani mój krzyk nie przestraszyły odyńca, widocznie się nademną zlitował, odwrócił się, i wolno wracał pod pagórek, wtedy celnie wymierzywszy, strzeliłem za nim, i chybiłem, puściłem drugą kulę, lecz i ta zwierza nie dosięgła. Widocznie byłem zastraszony, zdenerwowany i rozdrażniony, ręce pewnie mi drżały, kiedy chybiłem dzika wielkości wołu i to na 15 i 20 kroków. Stało się, wstyd mnie ogarnął, pot z czoła w kroplach spływał, a trząsłem się jakby w febrze, gdy mój towarzysz nadbiegł. Teraz począł się straszny dramat. Pies potratowany jęczał żałośnie i nie mógł się dźwignąć, po chwili przywlókł się drugi pies z rozprutym brzuchem, potem trzeci z udem głęboko rozciętem, a w końcu mój faworyt z wydobytą i wiszącą wątrobą, patrzący na mnie tak smutno, że mi się łzy w oczach zakręciły. Ten śmiertelny jęk, to skomlenie wołające o pomoc, ta lejąca krew, ów wyraz oczów pełen smutku i wyrzutów, towarzyszyły mi żałobnie w wycieczkach przez długie lata. Złożyłem się, aby dwa ciężko ranne psy zastrzelić, lecz towarzysz wstrzymuje mnie, mówiąc: «My tu strze-

lać nie możemy w obcym lesie, bo narazimy się na awanturę, właściciel gwałtowny człowiek i zapamiętały myśliwy, więc trzeba bez hałasu dobić psy». Utrzymują dawni i dzisiejsi myśliwi, że mocne uderzenie po nosie każde zwierzę zabija, mylne to wcale twierdzenie, na dowód przytaczam ten dla mnie najboleśniejszy epizod, iż walecznego kundysa biliśmy kilkakrotnie po nosie bez skutku, więc z najsroższą boleścią w sercu, towarzysz mój włożył patyk w ranę, wiercił nim aż do serca, i tym sposobem zabił mego faworyta, drugiego zaś dobić nie chciał, twierdząc, iż zaszyciem rany go uratujemy. Igła i jedwab, nieco arniki ze śniegiem, okład z chustek naszych dokazały, że powlekło się psisko do domu, a później doskonale jeszcze brało dziki. Podeptany zdechł. Kiedy zajęci byliśmy operacją, usłyszałem głos ogara Zagraja i jego towarzysza, więc lazaret powierzyłem memu towarzyszowi z psiarczykiem, a sam począłem się podsuwać pod odyńca. Szedłem długo za głosem, i nie mogłem się zbliżyć, bo Zagraj znakomicie gonił przez dzień cały, lecz nigdy nawet warchlaka nie chwycił, więc dzik fukał, w gniewie bezskutecznie szarżował, ale nigdy kieł jego nie dotknął mądrego Zagraja, przy którym kilkadziesiąt już dzików zginęło. Odyniec się posuwał, ja za nim, lecz w tak obszernych lasach mogło to trwać do wieczora bez skutku, postanowiłem przeto od-

szukać mego konia i przeciąć drogę dzikowi, pewny, że go pies nie puści. Zanim wszakże konia odszukałem i na zręby powróciłem, minęła niejedna godzina, aż przecie wjechawszy na szczyt góry, usłyszałem chrypliwy, zmęczony a tak dobrze mi znany głos Zagraja, lecz już bez akompanjamentu, widocznie sam tylko gonił. Prę co mogę konia, zbliżam się, lecz, o, rozczarowanie! widzę odyńca idącego przez łąkę, psa za nim, dążących do rzeki napół zamarzniętej, w którą odyniec wskakuje, wydobywa się na drugi brzeg z Zagrajem towarzyszącym mu wiernie, lecz w oddaleniu, z pewnem uszanowaniem. Spadzista droga śliska i kamienista nie pozwalała mi szybko jechać po śniegu i zgóry zobaczyłem dzika z psem wchodzącego do lasu pod bystrą górę. Nadjechawszy nad rzekę przekonałem się, że ani przeskoczyć, ani też przepłynąć można, z powodu wysokich brzegów i niepewnych lodów. Przywiązałem konia do jednego krzaka wikliny, sterczącego na łące, wskoczyłem do wody, i brodząc zaledwo po pas, dostałem się na drugą stronę uszczęśliwiony sukcesem, dającym mi możność pomszczenia mych psów. Wlokę nogi za sobą, zadyszany staję na szczycie góry i waham się, czy podchodzić dzika, czy na niego czekać w miejscu, na które przyjść musi wcześniej lub później, a czasu nie było do stracenia, bo słońce chyliło się już ku zachodowi.

Z tej niepewności wyzwolił mnie sam odyniec, kroczący majestatycznie rzadkim lasem z parowu pod górę. Gdy się zbliżył na kroków 30, strzeliłem. Przewrócił się na miejscu, a wtem słyszę na drugiej stronie wypowiedziane chrypliwym głosem: «zabij, zabij!» Ciarki po mnie przebiegły, pot oblał, a nogi tak drżeć poczęły, żem się musiał chwycić rękami drzewa. Przerażony zagłębiam wzrok mój w tę stronę, lecz nic nie widzę — oczywiście zabiłem człowieka. Po długiej chwili piekielnego oczekiwania, widzę postać dźwigającą się z przestraszonym wyrazem na twarzy o kilkanaście kroków od dzika, i zbliżającą się do mnie. Na zapytanie moje, co znaczył jego okrzyk, wykrztusił, że to uczynił z radości. Przezorny chłop, widząc odyńca i mnie za nim postępującego, położył się na śniegu, a ja korne dzięki złożyłem Bogu, że obawa moja była płonną. Nie na tem koniec fatalnego dla mnie dnia, na strzał wybiegł gajowy z dwoma chłopami, i obcesowo zabrał się do wydzierania mi z rąk strzelby, a ja byłem sam w obcym lesie, o milę od wsi oddalonym. Krótka walka przeistoczyła się w parlamentowanie i zakończyła łatwą ugodą na podstawie kilku reńskich, nawet nastąpiła szczera życzliwość napastników, bo mi pomogli ciągnąć dzika. Niemałe to było zadanie, ułatwione wszakże uboczą, po której sunęliśmy dzika bez wysilenia. Teraz dopiero okazały się trudności,

rzeka bowiem stanowiła granicę, trzeba więc było odyńca przeprawić na drugi brzeg. Czterech ludzi staje w wodzie, a ja z moim towarzyszem, który był nadszedł, pcham dzika, chłopi go utrzymać nie mogą, i wpada nam w rzekę napół zamarzniętą. Pomimo lodowatej wody i mrozu spociliśmy się, a przybywszy na drugą stronę, poczęliśmy za kły, za uszy i nogi przednie ciągnąć patrjarchę lasów na brzeg, i wreszcie wyciągnęliśmy go. Fura jadąca do lasu, zabrała odyńca i zawiozła do leśniczówki. Przemoczony i zmarznięty przebrałem się i położyłem na sianie, aby przywrócić równowagę strudzonym członkom, a mój towarzysz opowiadał tymczasem moje triumfy, zapewne z różnemi barwnemi dodatkami, może niezupełnie zgodnemi z prawdą, gdyż całe towarzystwo przyszło winszować mi i wołać: «Wiwat Wodzicki!» Towarzysz Z. uniesiony zapałem, ofiarował mi ostatnią butelkę swego szampańskiego wina i kazał ją na podwórzu w śniegu zamrozić. Już to dzień ów był dla mnie bardzo niefortunny, i rzeczywiście nic mi się nie wiodło, dzień, o którym niemcy mówią, iż można w nim palec w maśle złamać. Do nocy prześladował mnie niemiłosiernie. Wchodzi strzelec i opowiada, że świnia ryjem stłukła zamrożoną butelkę wina. Można sobie wyobrazić wrażenie, jakiem mnie ta wiadomość przejęła, ale homeryczny śmiech rozwiał mgły złego hu-

moru, bo polowanie i moim towarzyszom się udało, więc nawet niezmordowanego Zagraja zaproszono do wspólnego obiadu, rannym psom zaniósł każdy z panów rosołu, a następnie po swobodnej gawędce, zakończyliśmy ów dzień ołowianym snem.

Odyniec w jesieni i pod zimę nie strzelany, jest nader niebezpiecznym wrogiem człowieka i psów w choinach, trzcinach i miotłowych zapustach, a ranny i prześladowany, zły do wściekłości. Kilka razy za lat młodych chodziłem za nimi i mam liczne dowody ich odwagi i chęci pomszczenia się za otrzymane rany. Przekonałem się, że największe niebezpieczeństwo jest w impecie ich szarży, oraz że niepojętą jest szybkość tych zwierząt, ważących trzy cetnary, a budowa ciała dozwala biec galopem po najgrubszych gąszczach. W Medenickiem państwie na dosyć głębokich śniegach polowało nas tylko trzech z dwoma psami w miesiącu styczniu. Puściliśmy psy na odyńca i obstawili miot, jeden z nas poszedł do barłogu, a po chwili słyszymy wołanie o ratunek i skomlenie psa, pierwej zaś padł pojedyńczy strzał. Był to jeden z odyńców, o którym sprawiedliwie można powiedzieć: *noli me tangere,* bo z barłogu jednego psa ciął, drugiego powalił i poturbował, stłukł mu biodro, lecz nie ciął, i poszedł dalej gąszczami. Zobaczywszy smutne pole walki, usłyszeliśmy, że odyniec jest ranny, lecz rów-

nież opowiadanie o straszliwej szarży, o bolu w boku i niemożności chodzenia. Z całego naszego zastępu zostało nas tylko dwóch i to bez psów. «Chodźmy za nim» — mówię. Mój towarzysz odpowiada: «To śmierć, panie, bo on w młakach lub w trzcinie oblegnie, przed nim żaden z nas nie ucieknie». Jak powiedział, tak się stało. Odyniec sznurem idzie wzdłuż miotu, wprawdzie farbuje, lecz jasną farbą, nie staje i nie kładzie się nigdzie. Ja naprzód z szaloną zawziętością, mój towarzysz za mną, idziemy przez godzinę bez odpoczynku. Gdyśmy doszli do gęstej trzciny, przerośniętej czarną wierzbą, mój *alter ego* w swem poświęceniu mówi: «Ja hrabiego nie puszczę, on tam oblęgł, bo tu już staje, kręci się i kluczkuje, ja pójdę, a pan mnie bronić będziesz, gdy powalony zostanę». Targ w targ, musiałem ustąpić pierwszeństwa, lecz trop w trop idę za nim z odwiedzionemi kurkami. Przedzieramy się przez gąszcze, za gęste dla zająca, łamiemy trzcinę, robiąc ogromny hałas na nasze nieszczęście, nie słyszeliśmy bowiem, jak odyniec dźwigał się z barłogu, pomimo, że to był zimowy, cichy i mroźny wieczór. Nagle widzę rękę mego towarzysza, wskazującą na prawo, a po chwili skaczę na dzika, potrącam o niego, padam i słyszę wykrzyk: «Jezus Marja!» Dźwignąłem się szybko ze śniegu, a widząc wolno postępującego dzika, strzeliłem. Drgnął wprawdzie, ugiął się, ale znikł mi

w gąszczu. Powróciłem do mego towarzysza, dziwnie był blady, a gdy się śmiać począłem z jego strachu, odpowiedział mi: «Pan też nie różowy». Dziwne to było zdarzenie, ja dzika nie słyszałem, ani też widziałem, on zaś przeciwnie był przygotowany i na sztych do niego strzelił, lecz kula w łopatce ugrzęzła. Chcąc mnie ostrzec, wskazał ręką, gdzie mam skoczyć, ja zaś rozumiałem, że w tym kierunku odyniec idzie, więc skoczyłem w przeciwną stronę na idącego dzika, i szczęście moje, że mnie ryjem nie zarwał. Uspokoiwszy się nieco, byliśmy oba chciwi zemsty i postanowiliśmy iść za tym srogim odyńcem. Nabiwszy strzelbę jeszcze wtedy stemplami, obejrzeliśmy dokładnie proch na kominkach i kapsle, i jak dzieci, nieprzewidujące niebezpieczeństwa, puściliśmy się pod noc w pogoń za dzikiem. Na tropie była obfita, świeża farba zprzodu i ztyłu, lecz zwierz idzie bez przystawania, noc nas zaskoczyła, więc powróciliśmy do mieszkania Szwaba. Od Wigilji dzieliło mnie 24 godzin, a jako przykładny mąż i ojciec musiałem być w dniu tym śród kółka rodzinnego z opłatkiem w ręku i z szczerem: Szczęść Boże i życzeniem dosiego roku, a tu znów markotno w duszy na myśl pozostawienia potwora w lesie, a do tego postrzelonego kilku kulami. Myśliwy przeważył nad mężem i ojcem, postanowiłem wziąć odyńca na Święta do domu. Ledwie się szarzeć

poczęło, już byliśmy na tropie z dwoma psami, w przekonaniu, że już trupa znajdziemy, pchaliśmy się przez gąszcze i trzciny, nie puszczając kundysów. Widocznie cierpiąc mocno, gdyż, jak się pokazało, przestrzeliłem mu cynadry, chodził dzik ów przez całą noc z miejsca na miejsce, nie wyszedłszy z miotu, układał się kilka razy, lecz z barłogu wypędzał go zapewne ból srogi. Już dziesiąta godzina, uczucie obowiązku przywodzi na myśl żonę i dzieci, ale namiętność myśliwska nie pozwala porzucić lasu. Naradzamy się we dwóch, co dalej robić, puszczamy wreszcie psa, później drugiego, lecz nasza strategja zupełnie fałszywa, a to z tej przyczyny, że chodząc kilkakrotnie po tym samym tropie za odyńcem, zupełnie zatarliśmy je i psom wiatr odjęli. Bierzemy więc psy na drążek i szukamy tropu poza tem zaklętem kołem. Wreszcie w kępie trzciny ruszył potwór, stanął, fuknął, a gdy psy nadbiegły, poszedł wolno, stawając co chwila. Niewielka więc rzecz była dobić go, ale o wiele trudniej dostać go do domu. Musieliśmy pójść po sanie do wsi, później odwieźć trupa do Szwaba, więc już słońce zachodziło, gdyśmy o chłodzie i głodzie siedzieli na saniach, oddaleni od domu o mil 20. Przez całą dobę jadąc, stanęliśmy w Olejowie o 10 wieczorem i zastali wszystkich, czekających na nas z opłatkiem. Ten przykład niejednego może powstrzyma od pogoni dzików przed

świętami, tem bardziej, żeśmy mieli piekielną drogę w srogi mróz, bez pożywienia, śród istnego cierpienia, spowodowanego znużeniem, a do tego odyniec przeważał sanie, wywracał je, sam zaś wypadał, musieliśmy więc z niemałem wysileniem na sanie go pakować. Oto skutki wygórowanej namiętności myśliwskiej.

W tej samej zimie i w tymże lesie doświadczyłem dosyć ciekawego zdarzenia. Przy wesołej gawędce o odbytem polowaniu, na którem niejeden poległ pies, ale też sowicie był pomszczony, wieczorem oznajmiono mi, że leśniczy pragnie ze mną mówić. Wszedł z psem, rosłym ogarem, widocznie rączym, bo na wysokich nogach, z rozumnemi oczami, i oświadczył mi, że pies ten jest w drugiem polu i że za jego pomocą zginęło 10 dzików, że wszakże przy owych zaletach ma tę ujemność, iż z przodu atakuje dziki. «Panie S. — rzekłem — twój pies w tych lasach zginie przy pierwszym odyńcu w trzcinach lub młakach». On na to: «To przepadną moje 50 złr., tyle bowiem za tego psa żądam». Żal mi się zrobiło, myśląc, że może za cenę tego psa ma być kupioną krowa, lub może te pieniądze mają służyć na utrzymanie synów w szkole, więc, jakby przeczuciem wiedziony, rzekłem, wręczając mu pieniądze: «Jeśli pies zginie, to raczej niech ja stracę 50 złr., a nie pan». Z widoczną wdzięcznością przyjął i począł opowiadać o stoczonych przez

tego psa walkach z dzikami. Wtedy każdy z nas wyjeżdżał rano na koniu do jednego z rewirów i tropił, następnie zjeżdżaliśmy się na umówionem miejscu. W tym dniu obtropiliśmy dużego odyńca, sądząc po tropie, w niewielkim gąszczu. Chcąc się przekonać o cnotach psa, rozstawiłem myśliwych i poszedłem w miot z leśniczym. Pies doskonale, bo sznurem i pocichu poszedł po barłogu, naszczekał i wyparł dzika do łaciastego lasu, gdzie rozpoczął walkę z nim. Z początku obszczekiwał go, chwytał i uciekał, później coraz śmielej brał się do dzika, któremu, gdy się ta walka sprzykrzyła, wynosił się szybkim truchtem, nie atakując ogara. Pies, widząc tę zmianę i przenikając zamiary dzika, zabiegał mu zprzodu i usiłował zatrzymać, i coraz bardziej rozżarty, skakał mu niemal do ryja, odyniec jednak ani razu na niego nie szarżował, widocznie pragnął się wynieść do sąsiedniego lasu. Wkońcu wszakże uprzykrzyła się zwierzowi ta natarczywość psa, stanął więc na łączce, kilkoma brzozami zacienionej, długo patrzał na psa, stojącego przed nim, i w jednej chwili widzimy psa wyrzuconego na trzy metry na ziemią i spadającego bez życia. Można było pomścić śmierć jego, ale widok ten tak przejmujące na mnie zrobił wrażenie, żem zapomniał o strzelbie i kuli. Gdyśmy do psa przybiegli, leżał w kabłąk zwinięty z raną w sercu bardzo głęboką. «A cóż, czy nie

lepiej, że ja stracę 50 złr.?» — rzekłem. — On otarł łzę, poszedł, i już go w życiu nie widziałem.

VII

Zwyczaje dzików tak co do stad jak i osobników ciekawy dostarczają do badania przedmiot w różnych porach roku. Jedne migrują, szukając żeru, drugie usuwają się przed śniegami, inne pozostają w miejscu, częstokroć srodze biedując, wkońcu są i takie, które szukają zacisza i spokoju, nie mając nawet odpowiedniego pożywienia. W części instynkt, rozum, pamięć, w większej części porozumienie i wrodzona ostrożność niemi kieruje. Przypominam sobie lata, w których sypano wał pod kolej ze Lwowa do Brodów i to na znanych wekslach dzików z Żółkiewskiego w Złoczowskie. Stada i pojedyńcze sztuki dochodziły do wału, ale nie miały odwagi przekroczyć go, więc wracały. Przez trzy lata nie mogły się zdobyć na śmiałość przejścia przez nasyp i dziś jeszcze widzieć można po tropach, że od kolei wraca ich wiele. Ostrożność ich wyrafinowana i wyrozumowana, i tak nigdy szkody w bliskości nie robią, a na dniówkę idą sznurkiem, trop w trop, aby jak najmniej śladu po sobie zostawić. Dwa razy uwziąłem się wystąpić lub przepłoszyć dziki, czyniące ogromne szkody, a jed-

nak znaleźć ich nie mogłem. W Brzeżańskiem były istną plagą większych i mniejszych właścicieli, przeszukałem z psami wszystkie lasy i część łanów, a później się pokazało, że latowały w łanie pszenicznym. W Stryjskiem to samo poświęcenie z mej strony nie lepszym uwieńczone było skutkiem, przekonaliśmy się później, że przebywały wszystkie w małym kawałku, a było ich przeszło 20. Nocne wycieczki łupieżcze odbywają się u nich z wedetami, z awan- i ariergardą w największym porządku i karności. Sztuka prowadząca idzie naprzód, często fuka i wciąga powietrze, szukając wiatru, gdy się oderwie stado, odpowiada, a warchlaki wtórują, rozlega się rechtanie nieustanne, a na dany sygnał rozściela się grobowe milczenie. W szkodzie gdy starszyzna fuknie, młodzież staje, podnosi uszy i ryj do góry, wtedy nie wolno żerować, a gdy głodne, pomimo ostrzeżenia chrupią zębami, stare mruczą lub się posuwają i ryjakiem trącają niesfornych. Kiedy nic nie grozi, nieustająca brzmi rozmowa, albo może nauka, bo młode ciągle odpowiadają; odyńce zaś milczą. Zasiadki na dziki są niebezpieczne, niewdzięczne i przykre, samury i odyńce zawsze na dym i ogień strzału uderzają, a niezawsze pośród ciemnej nocy można się usunąć. Następnie skutek zasiadki zawisł od sprzyjającego wiatru, którego przewidzieć nie można, wreszcie rzadko kiedy

strzał bywa celny i śmiertelny, najczęściej postrzelone sztuki uchodzą i giną w zbożu lub gąszczach. Wprawdzie widzi się kontury zwierza, lecz trudno dopatrzyć miejsca do śmiertelnego ugodzenia. Nieszczęśliwy myśliwy, gdy w zbożu lub kukurudzy zabije warchlaka, wtedy rozwścieklona samura, o wiele odważniejsza w nocy jak w dzień, pewnie go conajmniej poturbuje, jeżeli kalectwem lub śmiercią nieprzypłaci. Wprawdzie wyszedłem cały z takich wypraw, mimo tego jednak radykalnie jestem wykurowany z namiętności do zasiadek. Jednej nocy pożarła mi psa dosyć rosłego rozjuszona samura.

Szkody wyrządzone przez dziki są nie do obliczenia, a kto ich nie badał, nie uwierzy opowiadaniom i skargom. Trzy razy w życiu musiałem szczegółowo badać szkody, i wtedy przekonałem się, że dziki są arcyszkodnikami. W owym roku bezskutecznego szukania dzików w Brzeżańskiem, postawiono z resztek zmaltretowanej pszenicy stertę pod lasem. Widocznie dziki uradziły podminować stertę, już zupełnie osiadłą, a zatem prawie skamieniałą, i w niej szukać pożywienia. Postanowienie wykonane zostało z znakomitą zręcznością, podziwienia godną wytrwałością i rozumem. Oczywiście nikt z oficjalistów i ze służby nie obchodził sterty dokoła, rewidowano ją z drogi od pola, gdzie żadnego tropu dzika nie było,

i patrzano, czy wichry nie zrzuciły dachu. Dziki, jak nihiliści w Petersburgu, minowały stertę od strony lasu, i dopiero, gdy przypadkowo leśniczy dotarł do sterty, przekonał się o wyrządzonej szkodzie i narobił hałasu. Sterta w swem wnętrzu przedstawiała sklepienie, któreby się było niebawem zawaliło, w środku zaś setki korcy sieczki narobionej przez dziki, szukające kłosów i ziarna, a przecie mimo pokusy tych miękich barłogów, podobnych do niemieckich pierzyn, żadnemu dzikowi nie przyszło na myśl ułożyć się na dzień w tym ciepłym barłogu, wiedziały bowiem dobrze, że po wyrządzonej szkodzie należy uciekać do bezpiecznego i oddalonego miejsca. Po skonstatowaniu tak ogromnej straty zawrzało pragnienie zemsty, postanowiliśmy więc łapać dziki, nieprzystępne dla nas w tej pamiętnej zimie z powodu głębokich śniegów i niezamarzniętej ziemi. Wykopano rów pod stertą od strony lasu na sążeń głęboki i tyleż szeroki, nakryto go gałęziami i przetrzęsiono słomą pszeniczną. W gorączkowem oczekiwaniu siedzieliśmy do rana, i przekonali się, że dziki przy stercie nie były, ale nazajutrz rano z niesłychaną radością naszą znaleźliśmy w rowie rozwścieklonego odyńca, samurę i troje warchlaków. Po tropach sądząc, musiało znaczne stado powrócić do lasu, spostrzegłszy katastrofę doznaną przez towarzyszy. Wiązanie dzików bez licznych

bierczych psów, jest mrzonką nie do wykonania, przekonałem się, że pomimo naszych wysileń w kilkunastu, przy pomocy sznurów i wideł, nie można było złowić żywych, dużych dzików później zastrzelonych, i ledwie zdołaliśmy związać trzy warchlaki, które się zacięcie broniły, i chłopów po nogach potłukły.

Wiatr dzika jest nadzwyczajny, i on to jest przyczyną tak często niewychodzenia dzików przed naganką. Kilkakrotnie badałem wyrzucone kartofle grubą warstwą ziemi pokryte, lub kultury dębowe, w których żołędzie z pod śniegu wydobywały odyńce, nie opuszczając żadnego rzędu. Jak to się dziwić, że dziki nas wietrzą przesiąkłych tytuniem! Dziki doskonale rozróżniają ludzi i przewidują niebezpieczeństwo. Nieraz słyszałem głos trąby, śpiew i różne hałasy, widziałem ognie płonące, a opodal dziki, wyrządzające szkodę w polu; przeciwnie zaś, gdy kilku myśliwych zasiadło na nie, to one ich wietrzyły, i rzadko kiedy udało się strzelić do nich. Szacowałem ogród przestrzeni blisko morga, zasadzonej kukurudzą, zupełnie wyjedzoną w jednej nocy przez odyńca, a pole pięciomorgowe, zasiane jarą pszenicą, z której nie wiem, czy można było zebrać sześć snopków. Nie można się przeto dziwić nienawiści wieśniaka do dzików. Dzik w ogólności nie smakuje w kartoflach, jedynie głodem trapiony pożera je i to w zimie. Nieje-

den sądzi, że dzik ryjący w kartoflach takowe zjada, że tak nie jest, najlepszy dowód w leżących na powierzchni kartoflach, on ryje za pędrakami i poczwarkami, które tak lubi, że przewróci niekiedy przestrzeń dwóch morgów. Po tej jego pracy można korcami ziemniaki zbierać pod jesień. W wielu leśnych okolicach sieją pszenicę w kartofliskach, i ludzie doznają ogromnych szkód, gdyż dziki ryjąc, przewracają oziminę, z korzeniem ją wyrywają, pustosząc zupełnie zasiewy. W głodzie rozwalają spróchniałe pniaki, pożerają to próchno z zarodkami robaków, a pamiętne mi są napełnione sianem, a chude jak szkielety.

Układają się te rozumne zwierzęta częstokroć w miejscowościach ludnych i na widowni będących, a przyczyny tych licznych wyjątków odgadnąć nie można. Szczególnie odyńce to czynią, jakgdyby do walki wyzywały i niebezpieczeństwem gardziły. Muszę tu kilka takich wyjątkowych barłogów opisać. Nie jednego znałem odyńca, leżącego śród rębaczy, lub przy publicznych drogach tak blisko, że ze sanek można było do niego strzelać. Lubieżnik ten trapiony owadami, zakopuje się w mrowisku tak głęboko, że mu tylko głowę z uszami widać, i rozkoszuje w łechtaniu spowodowanem przez mrówki, pożerające owady, trapiące go, a czyni to w późnej zimie, nigdy go bowiem nie widziałem w mrowisku przed Nowym Rokiem,

wnoszę więc, że się tam układa wtedy, gdy część gęstej szczeciny stracił, i skóra jego stała się dla mrówek przystępniejszą. Badanie odyńca nader zajmujące, jakto on doskonale poznaje chłopa idącego lub znajomego leśnego, jak nieruchomy patrzy na chłopskie sanie lub wiozące drzewo, a jak ostro strzyże uszami na widok surdutów lub futer, większych koni lub malowanych sani, głowę podnosi, wciąga powietrze, wreszcie się podnosi, rekognoskuje, i według okoliczności albo układa się w mrowisku lub wynosi w miejsce bezpieczniejsze. Posągowej piękności jest wtedy, gdy się na przodzie podniesie, szczecinę grzbietu najeży, i uszami strzyże. W moim lesie był miot, nazwany kąt zajęczy, tradycja wskazywała, że się od wieków tak nazywał z powodu podobieństwa od łba zajęczego. Miot to był kilkumorgowy nad drogą z dwoma głębokiemi jarami, jeden wzdłuż, drugi poprzek. W miocie tym przeniewierzył mi się stary Hryńko. Pomimo, iż nauka chrześcijańska nakazuje dobrze mówić o umarłych, to ja jednak do tej chwili po 25 latach nie mogę tego epizodu zapomnieć, ani też Hryńkowi przebaczyć. Przychodzi on raz do mnie i powiada, że w tym kącie leży 17 dzików. Roześmiałem się, mówiąc, że na taką ich liczbę niema tam nawet miejsca. Hryńko odpowiada mi z pogardliwym uśmiechem: «chodźmy cicho pod tego buka, a zobaczy Pan

całe stado leżące». Osłupiałem, jakgdyby wyrocznia mówiła, i rozglądałem się, choć nie w obcym lesie byłem; z jednej strony była droga leśna, z drugiej łąki z porozrzucanemi na niej drzewami. Przypuścić mogłem dniowanie odyńca, lubo w ciągu lat trzydziestu nigdy tam dziki nie zalęgały, ale stada i to tak licznego bez warchlaków — przenigdy. Idę z Hryńkiem cicho jak pająk pod tego wskazanego buka, i rzucając okiem za ręką tropiciela, widzę obraz dotąd niezatarty w mej pamięci. Od parowu na ośm metrów leży w kupie 15 dzików, mniejsze w wianek ułożone, każdy ryj między tylnemi nogami poprzedniego, w środku zaś wianka leżą spokojnie dwie sztuki, opodal jeden duży dzik, wyżej nieco drugi tych samych rozmiarów. Zadrgało serce, byłbym z radości brudnego Hryńka uściskał, i myśl egoistyczna przesunęła się przez umysł, ale nie pozostała w nim. Nigdy sobkostwem nie grzeszyłem, więc zwalczyłem pokusę dosyć silną, można było bowiem z łatwością zrobić dublet do leżących — powróciłem do mych towarzyszów. Oczywiście był to czas hukania, a dziki po weselu i prawdopodobnie nader dalekiej podróży, były bardzo zmęczone, i spały doskonale. Podobnego zdarzenia drugi raz niedoświadczyłem. Wypytawszy się dokładnie o wchodowy trop, rozstawiłem myśliwych, sam zaś przekradłem się przez jar, i stanąłem od

leżących dzików na tropach może o 50 kroków. Co robi Hryńko? Pokusę zabicia dzika nie zdołał przemóc ów tropiciel, przepełzł więc na brzuchu głęboki parów, doczołgał się do brzegu i stanął od dzików na ośm metrów. Wymierzywszy, jak twierdził, doskonale w kupę całą, strzelił dwoma półkulami i trzynastu lotkami ze swego karabina, i —ani jednego nawet nie drasnął. Dziki tropem swym pędzą na mnie tak szalonym galopem o kilkanaście kroków, że ledwie jednego zdołałem ubić, a do drugiego nawet strzelić nie mogłem. I tak dziki ujęte jakby w klatkę, uszły, zostawiając tylko jednego trupa, na którym Hryńko otrzymał zasłużoną karę z całą surowością.

Wspomnę jeszcze o drugiem nader rzadko wydarzającym się wypadku. W Stryjskiem był genjusz-tropiciel zwany Kupryk, małomowny jak marynarz, bystrości w tropieniu niewidzianej i przenikliwości podziwienia godnej, ze znajomością zwyczajów i natury dzika jakby ukończony zoolog. Mnie, jak mniemałem, również dobremu tropicielowi, imponowała szczególnie umiejęność jego rozpoznawania liczby dzików idących częstokroć sznurem, ślad w ślad jeden za drugim. Nie pamiętam jednego wypadku, w którymbyśmy nie sprawdzili zapowiedzianej ilości dzików. Było to w końcu listopada, gdy stary do nas przystąpił i oznajmił, że w parowie na Łazach jest 14 dzików.

Łazy i czahary są właściwością Stryjskiego i Stanisławowskiego obwodu. Nie każdy z czytelników ma o nich jasne wyobrażenie, więc je tu naszkicuję. Są to krzaki gminne dębowe, wyrastające z pni ściętych dębów, na mokrych miejscach przerośnięte łąki olchowemi i wierzbowemi gęstwinami, pomotane pędami dzikiego chmielu, poprzerzynane strużkami bagnistemi, łączkami, częstokroć strumyczkami. Gdzieniegdzie rosną tam na kępinach osokowe trawy, to znowu kupki trzciny i olbrzymich chwastów. Są to w części sianożęcia, w części pastwiska dla bydła. Na tychto przestrzeniach ginie wiele zwierza w ogniu podkładanym na wiosnę przez chłopów w celu wytępienia krzaków i ułatwienia wegetacji traw, a w szczególności ginie wiele cieciórek siedzących wtedy na jajach. W lecie na suchszych miejscach buja wrzos, rosną borówki, poziomki i różne jagodowe krzewy — to istny raj dla myśliwego-przyrodnika. Krocie owadów, barwistych motylów, pieśń melodyjna śpiewaków, derkanie chruścieli, bicie przepiórek, beczenie rogaczów, wabienie kuropatw, ruch i życie absorbuje badacza. Niby to las, niby łąka zarośnięta, gąszcze, opodal stogi siana, widok dzików, spotkanie z niedźwiedziem śród smętnego śpiewu kosarzy. Często na te przestrzenie zlatują słonki w jesieni i na wiosnę w niezmiernej ilości. Jestto jedyna

miejscowość przystępna dla myśliwego z wyżłem, krzaki bowiem nie są wysokie, wszędzie łączki i smużki dozwalające łatwego strzału. Przestrzenie to kilkumilowej rozległości, istny zwierzyniec, z którego można brać ptaki i inną zwierzynę. Kto posiada mokre łazy i czahary, i zbadał je po myśliwsku w każdej porze roku, może zaiste ciekawych dostarczyć wiadomości dla «Łowca». Ruszałem tam cietrzewie, kuropatwy, chruściele, przepiórki, dubelty, kszyki, kuliki różnego gatunku, kaczki, cyranki, czaple, bąki i kurki, dziki, sarny, lisy i zające, dwa razy zaś w życiu ruszyłem niedźwiedzie. Obrazek ten sądzę obudzi w niejednym myśliwym żywą chęć zbadania tego łowieckiego raju.

W listopadzie obieliła przyprószka całą przestrzeń, a przyroda, gdyby cukrem osypana przedstawiła się oku. Taka mała ponówka wystarczyła już bystremu tropicielowi do najdokładniejszego otropienia dzików. Gdyśmy konno na miejsce dojechali, doznałem niemiłego wrażenia. Pole otwarte, tu i ówdzie sterczące starodrzewa pokonane zimowemi burzami, łąki zarośnięte krzakami, pasma wąskie gąszczów, i jar na jarze zacieniony krzewiną niską, lecz gęstą, dosyć nieprzystępną dla człowieka. Pomyślałem sobie, że ta miejscowość musi być ojczyzną dzików w lecie, gdyż w zimie nadto jest otwartą. Wątpić o podaniu Kupryka nie było wolno, on był nieomylny. Po-

stawił mnie nad żyłką parowu śród młodych olszynek, palcem wskazał bezdeń podemną, i rzekł lakonicznie: «Są!» Po tym objawie właściwej sobie wymowy, kiwnął głową, i poszedł rozstawiać myśliwych i puścić psy na wchodowy trop, a czynność tę uważał za tak ważną, iż nigdy jej nikomu nie powierzył. Rozglądałem się ciekawie, nigdy bowiem nie spotkałem dzików na tak gołej przestrzeni i w tak małym parowie, w jakim zwykle w jesieni polujemy na zające. Do parowu zajrzeć nie mogłem, bo ściana, nad którą stałem, zbyt była stromą i nie mogłem się do niej zbliżyć. Po chwili oszczekał tropowiec dziki, puszczono psy, zawrzał gwar i hałas nie do opisania, szum i furkanie, zdawało się, że podemną krocie kundysów ujada za setkami dzików. Gwałtowne bicie serca zapowiadało zbliżenie się zwierza, gdy żyłką, nad którą stałem, wysuwa się stara samura, wydobywa się z wysileniem na brzeg, i przez chwilkę odpoczywa, fukając z znużenia. Mogę tu zaprawdę zastosować przysłowie: «*Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi*», do tej bowiem stojącej postaci niepospolitych rozmiarów, najspokojniej mierząc, chybiam na pięć kroków odległości, a gdy skoczyła w bok, strzelam z drugiej lufy i znowu chybiam najhaniebniej. Dreszcz po mnie przebiegł, uroki się przypomniały, drgać począł cały organizm, wreszcie krew uderzyła do głowy, bijąc mnie za karę po

skroniach. Nie widząc wychodzących psów, a słysząc pod sobą głośne ujadanie, domyśliłem się, że resztę dzików psy trzymają, i że dążą za przewodniczką, rzuciłem więc mój nieszczęśliwy sztuciec, wydobyłem kordelas, zbliżyłem się do żyłki, i czekam, nie mogę twierdzić w spokojnem usposobieniu, ale nic zobaczyć nie mogę. To trawiące mnie oczekiwanie skończyło się wreszcie pojawieniem się dwuletniej samury, idącej tropem pierwszej. W chwili, gdy się miała z parowu wydobyć, wskakuję na nią, a widocznie byłem dla niej za ciężki, bo przysiadła, następnie powaliła się na bok i przygniotła mnie, lecz po chwili znowu stanęła na nogach, uginając się i kwicząc przeraźliwie. Kłułem kordelasem mego wierzchowca, ale siedząc zbyt na przodzie, czynność ta była mi niedogodną, więc kłułem, gdzie mogłem, posuwając się ciągle na grzbiet samury. Nastąpiła katastrofa, wcale dla mnie niemiła, kwikiem dzika przywabione psy porzuciły stado i przybiegły szarpać samurkę, na której siedziałem, to chwytały szynkę, to moją lisiurkę, nawet poczułem kilka zębów w pewnej części ciała, wkońcu widzę kawałki mego ubrania na śniegu, i gdyby się był zakłuty dzik nie przewrócił, byłbym musiał opuścić moją ofiarę, i ze wstydem wołać o pomoc. Wprawdzie wyszedłem z walki zwycięsko, lecz ubranie było w opłakanym stanie, a wiatr, przez łachmany

wciskając się, ziębił mi wnętrzności. Psy były do tego stopnia rozżarte na samurę i na mnie, że nawet nie zwróciły uwagi na przesuwające się koło mnie dziki i na padające strzały mych towarzyszów.

W zimie widywałem w górach oblęgające dziki w parowach leszczyną zarosłych przy wsiach, a w nocy żerujące po ogrodach. Zdawało mi się, że to być muszą swojskie świnie, ale przekonałem się, że to były dziki, i niejeden odyniec leżał tam zapewne zapędzony głodem i niezgłębionemi w górach śniegami. W lecie można często spotkać dziki po małych lasach w bagnistych okolicach, nawet w wiklinach nad rzekami chmielem przerosłych, a niezbyt suchych, w zbożach i kukurudzach, a często w małych kawałeczkach zacienionych wpobliżu domów. Zdarzało mi się nieraz widzieć dziki w bliskości dosyć hałaśliwych dworów i szczekających psów. Zwierz ten zawsze ostrożny i czujny, dopiero na śniegu myli trop, jakgdyby wiedział, że on go zdradzić może, aby zaś ocenić jego rozum, pamięć i ostrożność, trzeba studjować ślady na śniegu i przekonać się naocznie, jak to on chodzi, aby zmylić drogę do barłogu.

Roku 1861 polowałem w Majdańskich lasach, dosyć wysoko w górach, na głębokich śniegach, z pamiętnym dla mnie Konstantym, dosyć szczęśliwie, bośmy wybili w okolicy

dziki, i trzeba było przenieść się w wyższe góry. Rosła samura z ośmiu warchlakami straciła w walce z psami troje dzieci, następnie znikła z rewiru. Wstrzymywał mój wyjazd Konstanty, upewniając, że samura być tam musi, bo w tem miejscu urodzona i wychowana, więc pewnie, jak się wyrażał, gdzieś się zapchała, ale on wynaleźć ją musi. Niebawem po małej ponowie zjawia się on i oznajmia, że zatracone stado odkrył, i że ono zaległo w otwartem polu. Któżby temu uwierzył, a jednak istotnie tak było. Na górze zoranej przestrzeni kilkuset morgów były jamy, utworzone przez poszukiwanie rudy żelaznej, okolone głogami, tarniną, a nad jamami stało jedno skarłowaciałe drzewo, od kniei znacznie oddalone. Z pewnością niktby tam dzików nie szukał i trzeba było sprytu i niezmordowanego trudu Konstantego, aby je wykryć i obtropić w miejscu, gdzie prawdopodobnie od dziesięciu dni zalęgały, po polu żerowały, do lasu zaś wcale nie chodziły. Stawia nas Konstanty od lasu na potoku i zapowiada, że je sam wypędzi bez psów, byleśmy cicho i zakryci stali. Od nas do dzików było najmniej 1500 kroków, a przestrzeń zupełnie biała, niczem nie zacieniona. Stoimy w radośnem usposobieniu, oczekując pojawienia się stada dzików na czystem, śniegiem pokrytem polu, co zaiste nader rzadko się zdarza. Gdy Konstanty zaszedł od grzbietu góry i huknął, wysunęła się

z tarniny samura, za nią warchlaki, a gdy donośnym głosem wołać począł: «Pilnuj! pilnuj!» sadziło stado galopem, w susach na nas tak rozpryśnięte, że na każdego z myśliwych wypadła jedna sztuka, którą też każdy położył. Zginęło sześć dzików i śmiało twierdzić mogę, iż w bliższej okolicy już żadnego nie było.

Dziki srogo cierpią na głębokich śniegach i utworzonej na nich skorupie. Nietylko głód im dokucza, bo nie mogą doryć się ziemi, lecz też ostre, lodowate śniegi golą im nogi po kolana i skórę z nich zdzierają tak, że mocno farbują. Pomimo tej męczarni, łażą i wędrują, bo taka ich natura. Zdarzało mi się nieraz widzieć dziki, wychodzące z lasu, obfitującego w żer, idące do sąsiedniego rewiru i powracające nad ranem do swego lasu. Dlaczego to czyniły — trudno wytłumaczyć. Gdy śniegi są głębsze, jak wysokość nogi dzika, ustają zwykłe wędrówki, a dziki prują sobie koryta, idąc gęsiego na krótkich przestrzeniach. Często widywałem stado dzików, pchające się za pierwszym tak, że tylko grzbiety, uszy i czuby głów były widoczne, a ileż to takich w moich oczach chybiono przez górowanie. Między innemi zdarzeniami jedno mocno utkwiło mi w pamięci. Nie pomnę w którym roku spadły śniegi na wysokość co najmniej dwóch metrów i już aż do wiosny nienaruszone przetrwały, a że śnieg spadał bez wiatru, powierzchnia wszędzie była

równą. Przypominam sobie, że nie można było wtedy wierzchem jeździć, gdyż koń z trudnością wydobywał nogi ze śniegu, a nawet psy nie mogły gonić na dalszą odległość i kładły się ze zmęczenia, gdyż wszędzie zapadały w śniegu. W późnej zimie potworzyły się ślady, drożynki i ścieżki, wydeptane przez leśnych, fury poczęły jeździć po drzewo, chłopi, potrzebujący zarobku, rąbali sągi, bałując po kolana w śniegu i odkopując zaśnieżone pnie. Poczęliśmy wtedy z psami polować z wysileniem i trudami nie do opisania, do tego stopnia, że w sześciu obcięliśmy odyńca z trzech stron w miocie, i nikt z nas, pomimo dobrych wierzchowców, nie był w stanie czwartą stronę obciąć. W tej pamiętnej zimie puściliśmy na stadko dzików nasze trzy psy, rozstawiliśmy się jak było można, a dziki nas minęły, bo na głos psów nikt nie mógł podejść, zbliżyć się do nich, więc wszyscyśmy się rozproszyli, za przewodnika mając tylko swój myśliwski instynkt. Ja, wyrozumowawszy, że dziki muszą przejść drogę, jechałem ścieżkami różnemi i dostałem się na trakt, na którym przedstawił mi się pocieszny obrazek. Dziki wolno, jak żółwie, pchają się korytem jeden za drugim, było ich pięć, a psy idą gęsiego za dzikami, i ani razu nie wyskakują z głębokiego koryta. Ostatniego dzika szarpie potrosze pierwszy pies. lecz czyni to widocznie tylko dla formy, bo wcale go nie przytrzymuje.

Prę konia, ile mogę, lecz pośpieszyć niepodobna, lubo widzę już starego W., składającego się do dzików. Strzela raz — pierwszy dzik się kładzie; strzela do drugiego, i ten się wali, a widząc mnie za sobą, woła: «Dwa zabiłem!» Od tej sceny byłem oddalony najmniej o 300 kroków, można więc sobie łatwo wyobrazić, z jakiemi trudnościami w pochodzie walczyłem, kiedy, pomimo takiej pokusy, nie mogłem się na strzał do dzików zbliżyć. Żaden z mieszkańców stron zachodnich nie uwierzy temu opowiadaniu, nie ma bowiem pojęcia o takich śniegach. W bieżącym roku 1879/80 mogłoby się takie zdarzenie powtórzyć, były bowiem lasy podobnie zawalone śniegiem z dodatkiem zawieruch i zasp na krajach każdego miotu. Owóż W. nie może dojść i ledwie się rusza, dwa dziki leżą, trzy stoją, a psy naszczekują, ale nie dążą do zabitych. Po chwili zmartwychwstały ogłuszone tylko dziki i, sznurkiem ciągnąc, giną w gąszczu. Sądzę, iż mało który z myśliwych w zapiskach swoich umieścił podobne wydarzenie.

Zimy z głębokiemi śniegami, a do tego jeszcze z twardą i ostrą skorupą dziesiątkują dziki, a szczególnie warchlaki. Przypominam sobie śród olbrzymiego łomu trzy warchlaki nieżywe, ułożone jeden obok drugiego, inne trzy znowu pod bukiem, pięć w barłogu, a raz zeszedłem siedm w wianek ułożone. Samury ni-

gdy przy nich nie było, widocznie silniejszy jest u matek instynkt zachowania życia, jak przywiązania do dzieci. Znachodząc często nieżywe dziki po gąszczach i debrach bez ran od strzałów, zadawałem sobie pytanie, ażali one nie giną z nędzy i głodu, jednakże żadnego z nich nie widziałem wychudłego i szkieletowatego, więc według mego doświadczenia, dorosłe dziki w najcięższych zimach wytrzymują polskie mrozy i śniegi, i wkońcu doczekają się naszej zawsze spóźnionej wiosny. Dosyć ciekawe porównanie robiłem między odyńcami i samurami. Pierwsze około wiosny były kościste i wyschnięte, gdy przeciwnie nigdy zupełnie chudej samury, zwłaszcza prośnej, nie spotkałem. Przypisuję ten nędzny stan odyńców męczącym wędrówkom, które nieustannie odbywają i, jak się zdaje, odbywać muszą. Warchlątka, do chwili ostatniego wysilenia, łażą przez noc całą, próbując słabemi ryjami ruszać twarde śniegi, i gdy już ostatnia godzina wybiła, wtedy rodzeństwo układa się jedno koło drugiego i biedactwo oczekuje śmierci. Ileż to warchlaków wyłapały moje psy bez żadnego wysilenia, niemal w barłogach, nawet się te biedne stworzenia nie broniły, tak były osłabione, a chude do tego stopnia, że nikt ich potem jeść nie chciał, nawet psy ze wstrętem od tej strawy się odwracały. Dwa czy trzy razy

chłopi w nagance pozabijali i połapali warchlaki zupełnie bezbronne.

Doświadczenie nas uczy, że dziki po kilka i kilkanaście godzin na dobę chodzić i włóczyć się muszą, ale w porze śnieżnic i zawieruch nie opuszczają barłogów i częstokroć leżą dwa dni, a odyńce niekiedy leżą 4 do 5 dób, nie ruszając się wcale; widywałem śniegiem przyprószone i tak od leżenia skostniałe, że uciekać nie mogły. W czasie burzy są najmniej czujne i jeżeli jest wyraźny trop, można z pewnością dojść do barłogu, używając dobrego wiatru. Stada wytrzymać nie mogą bez ruchu i pożywienia nad 24 godzin, widocznie głód zmusza młodsze i szybko trawiące żołądki do szukania żeru, kiedy przeciwnie odyńce leżą nieruchome przez długi czas. Przypominam sobie, że dnia jednego, powracając z polowania przez las, wstąpiłem do budy leśnych w celu zapytania, co słychać o dzikach? Jeden zdał sprawę, że tego samego dnia, w którym wyjeżdżałem na łowy, duży odyniec wszedł do klinu zrębu i od tego czasu nie wychodził z niego, oni zaś codzień miot ten obchodzili. Dziwnie mi się to wydało, żeby odyniec mógł leżeć przez pięć dób bez żadnego pożywienia. Celem przekonania się o tem, puszczamy dwóch leśnych na zawiany trop, ja zaś z moim znajomym stajemy na śladach rzekomo wchodnich, które w zupełności były prawie przez kurzawę zagła-

dzone. Może przez dwadzieścia minut hałasowali chłopi, a odyńcowi nie chciało się ruszyć, nareszcie, widząc go zgarbionego i wynoszącego się z gąszczu ku mnie, strzeliłem. Po strzale padł, a gdyśmy go wypatroszyli, to kiszki były zupełnie próżne, on zaś w okrągłem ścierwie.

VIII

Przystępuję w końcu mych opowiadań do dwóch najprzykrzejszych zdarzeń w mym zawodzie myśliwskim, a nie życzę nikomu, by doznał tych wzruszeń, zmartwień i niepokojów, jakich ja doznałem. Polowałem z psami w samborskim obwodzie, gdy się do mnie przyplątało kilku myśliwych ze Lwowa, nie bardzo pragnących spotkania się przy psach oko w oko z odyńcem, których nadto posądzałem, że ich miłość bliźniego nie tak gorąca, aby mogła powstrzymać od strzału do człowieka, a tem bardziej do psa. Byli to ludzie widocznie nie oswojeni z tego rodzaju polowaniem. Już to z ich powodu, już też że mi wypadło krajne stanowisko, nie chciałem stanąć w jednej linji, rozstawiwszy więc wszystkich, wsiadłem na konia i stanąłem na brzegu miotu, przypuszczając, że się który dzik (a było tam stado dużych w czasie hukania) odbije i wysunie na mnie, lub też, że psy po strzałach pójdą z dzi-

kami w dalsze mioty, kazałem psy puścić w trop, a sam czekałem. Niebawem słyszę głośne naszczekiwanie przez długi czas na jednem miejscu, widocznie rozromansowane dziki ruszyć nie chciały, gdy już zsiadałem z konia, aby psy strzałem wynagrodzić za znakomite trzymanie dzików na miejscu, słyszę dwa strzały, dalej nawoływanie i odpędzanie psów, widzę samurę, wysuwającą się na linję, którą przeskoczyła i z dwoma psami weszła w gąszcz. Znając przesmyki i ulubione miejsca dzików, popędziłem o pół mili na trzecią linję, lecz samura, widocznie przepłoszona, wyprzedziła mnie galopem, stanęła w rowie wodą napełnionym i broniła się naszczekującym psom. Koń mój nie chciał przeskoczyć rowu z płaskiemi i śliskiemi brzegami, nie pozostawało mi więc nic innego, jak zsiąść i puścić konia, nie było bowiem ni drzewka ni gałęzi do przywiązania go, i to właśnie było powodem doznanego nieszczęścia, gdyż dziarski i przywiązany do mnie wierzchowiec uznał za stosowne mnie opuścić i powrócić do towarzystwa zaalarmowanego powrotem konia bez jeźdźca. Podchodzę samurę, walką z psami zajętą, na 40 kroków, mierzę i strzelam, — zachwiała się, bryznęła ciemną farbą na śnieg i poszła z jednym psem, drugi widocznie był mocno przez nią poturbowany, gdyż uchylił się od dalszej pogoni. Patrzę za zwierzem idącym wolno rzadkim la-

sem, i jak daleko oko sięgnąć zdołało, widziałem smugę krwi. Markotno mi było, gdyż widocznie za wysoko trafiłem dzika, zakrytego ścianami rowu, nabiwszy więc strzelbę, trąbię z całej siły, aby towarzyszów z psami sprowadzić i wziąć samurę, wreszcie posuwam się za tropem i słyszę za sobą chód dwóch ludzi. Muszę tu nadmienić, że jeden z moich znajomych miał strzelca, istnego kłusownika, plagę całej okolicy, a tak strzału chciwego, że z przed swego pana zabijał zwierzynę. Zobaczyłem go i niemiło mi się zrobiło, ponieważ jednak jego pryncypał surowo mu zakazał strzelać do tego dzika, poszedłem spokojniejszy za farbą. Po chwili przybiegł do nóg moich pies i począł się łasić, wziąłem go na sznurek trąbki, wielce zadowolony z jego powrotu, bo stąd dedukowałem alternatywę, że dzik leży, a pies nie odważył się w pojedynkę go szarpać, lub też chodzi, więc przed psem nie zalęgnie do wieczora. Idę przez całą godzinę, owi dwaj postępują za mną o kilkaset kroków i dochodzę do młaki z czarnej wierzby, przerośniętej trzciną, w której środku spostrzegam dużą czarną kupę. Podchodzę z psem i puszczam go na trop, pobiegł, naszczekał, podniosła się samura, lecz z miejsca nie ruszyła, a ja strzeliłem do niej najspokojniej, jak do chałupy. Samura pada, a z drugiej strony młaki słyszę jękliwym głosem wyrzeczone wyrazy: «Boże mój, jestem przestrze-

lony!» Biegnę w to miejsce i widzę leżącego we krwi przeklętego kłusownika, którego zostawiłem za sobą o kilkaset kroków. Kula przeszła udo wyżej kolana, nie naruszyła kości, lecz została w mięsie. Ściągnęliśmy mu buty, rozebrali do naga, chustkami obandażowali nogę, i Bóg łaskawy na swego sługę dopuścił, że konie z saniami pocztmistrza stały właśnie na drodze w bliskości. Ból, zimno, do tego febra mroziła biedaka, i jak żyję nie widziałem, by się kto tak trząsł i dzwonił zębami, jak on, jęczał i wołał, że nie dojedzie. Nareszcie donieśliśmy go do sanek i odesłali do stryjskiego szpitala. Mogą sobie czytelnicy wystawić moją noc, zatrutą myśl i moje usposobienie, bolałem srogo, bo chociaż nie ja jego, lecz on sam się zabił, nadstawiając się pomimo zakazu, to jednak obraz śmierci przerażał mnie. Drugiego dnia pośpieszyłem do szpitala i usłyszałem z radością nie do opisania, że kula szczęśliwie wyjętą została i że rana nie grozi wcale niebezpieczeństwem. Epizod ten smutny i niezwykły opłaciłem 300 złr., z wielką krzywdą dla zwierzyny, gdyż ów niepoprawny kłusownik, przy swej niepospolitej sile i zdrowiu, niszczył ją zapewne dalej, bo po trzech tygodniowej kuracji chodził znowu nieustannie ze strzelbą.

Drugie zdarzenie tkwi w mojej pamięci, dotąd nie wyjaśnione, a mogłem je życiem przypłacić. Bywają wypadki tak wyjątkowe, nie-

zgodne z naturą zwierząt i ich zwyczajami, że mimowolnie myśl bada przyczynę i szuka bez skutku porównania. W r. 1856 psy oderwały od stada dużego warchlaka i pogoniły go, pomijając linję strzelców, a ja pośpieszyłem na koniu galopem za niemi. Warchlak jak szalony pędził wzdłuż mych lasów, mających do 3/4 mili przestrzeni, istny świński zając, i ani razu nie stanął, ani razu go psy nie doszły i nie przytrzymały. Dlaczego ten warchlak tak pędził i skąd miał tę ogromną siłę odyńca? To trudno odgadnąć, a krocie takich zdarzeń przekonują, że w każdym gatunku są wyjątkowe stworzenia z wadami, z przymiotami, różniące się charakterem i zwyczajami od swych współplemieńców. Moje polowanie w tym dniu było istną zabawką w łapankę, ile razy udało mi się przegonić warchlaka, idącego gąszczami i zaskoczyć drogę, on ją już był minął, i tak trudził mnie od rana aż do trzeciej godziny. Wreszcie, dostawszy się pomiędzy jary, począł kręcić, stawać i walecznie się psom odcinać. Zsiadłem z konia, podszedłem ponad debrę i w chwili, kiedy stojąc na samym brzegu miałem strzelić, on puścił się na mnie z otwartym ryjem w takim impecie, że nie miałem czasu wymierzyć i strzelić, począłem umykać wkoło buka, stojącego nad samym jarem, w strachu rzeczywistym, gdyż bardzo łatwo można było wpaść w bezdeń, a warchlak z godną podziwie-

nia wytrwałością gonił mnie i ani chwili nie dał mi spocząć. Nareszcie nadbiegły psy, przytrzymały go, ja strzeliłem, i zwalił się waleczny dziczek do parowu. Te krocie tropów, narobione w miocie i zmęczenie mego Siwka było powodem, że o mało życiem nie przypłaciłem spotkania z odyńcem w dniu następnym. W tym samym miocie, nad samą wsią, gdzie było stado, oblęgł odyniec drugiego dnia, widocznie szukając wybranej samury. Był u mnie sąsiad, doskonały myśliwy i celny strzelec, więc zebraliśmy się i pojechali do lasu. Według mego doświadczenia psy zawzięciej gonią odyńca, jak stado. Droczone i na niebezpieczeństwo wystawione prześladują dzika ze złością i pragnieniem zemsty, przeciwnie, goniąc stado, gonią wszystkie sztuki naraz, lub też kilka, więc nietylko siła psów rozerwana, ale nadto jeszcze bałamucą się, często opuszczają gonioną sztukę, idąc za głosem naszczekiwania, a wtedy oderwą pojedyńczego dzika, a stado tymczasem wynosi się. Odyniec czekał na nas spokojnie w barłogu, obstawiliśmy miot, a mój towarzysz stary i doświadczony wyłazi na świeżo postawiony sąg drzewa, już to dla lepszego rozglądania się, już też dla ukrycia swej postaci niepospolicie długiej, i za ten nieszczęśliwy pomysł srogo został ukarany. Ja, w przekonaniu, że odyniec będzie szukał stada i pójdzie w jego kierunku, stanąłem na wczoraj-

szym tropie, lecz instynkt mój myśliwski zawiódł mnie w tym dniu. Pocieszną memu oku przedstawił scenę mój długi i siwy towarzysz, i dziś go jeszcze widzę, jak machnąwszy koziołka, znalazł się pośród psów i balansującego na ruchomych łupkach sągu. Ledwie tropowiec naszczekał, już widzę posuwającego się ku górze odyńca, a gdy go psy naparły, ruszył galopem na wyżej wymieniony sąg. Mój sąsiad zgiął się, potknął, wyprostował, wymierzył i strzelił, ale wiatr poniósł kulę, strzelił bowiem w chwili, gdy dzik był pod sągiem, poczem zachwiał się, nachylił i spadł w środek psów, nieprzygotowanych na przyjęcie takiego pojedynka. Nie uniesiony uczuciem troskliwości, zostawiłem losowi mego towarzysza i pogoniłem na zmęczonym koniu wczorajszym tropem za odyńcem. Dojechawszy na tę samą linję, na której zostawiłem był konia, usłyszałem naszczekiwanie w parowie na miejscu przez kilka minut. Mój siwek w tym nieszczęśliwym dniu był wystawiony dwa razy na śmierć przez rozprucie brzucha, a wyszedł bez szwanku niepojętym sposobem. Niepodobna wątpić o naszych instynktach złych i dobrych, szkodliwych dla nas i korzystnych. W tej chwili mój instynkt uratował mego ulubionego siwka, wytłumaczyć sobie jednak nie mogę, dlaczego przywiązałem go wtedy powyżej mej głowy do buka, kiedy zawsze nisko go wiązałem w po-

śpiechu. Pełen obawy o rozżarte psy wobec tak groźnego wroga, biegnę co tchu ku parowowi. Był to staropniowy, dębowy las, leszczyną podszyty, przerznięty głębokim jarem, a pośrodku łączka, rozległości kilku sążni kwadratowych. Zanim dobiec zdołałem do połowy miotu, już widzę pieniącego się ze złości, najeżonego dzika, zdążającego ku polance. Stanąłem, schowawszy się za dęba, wymierzyłem spokojnie i dokładnie, oparłszy broń o drzewo, i strzeliłem z tem przekonaniem, że dzik, trafiony w komorę, śmiertelną otrzymał ranę. Nie było czasu do rozumowania, dzik bowiem pędem błyskawicy zwrócił się ku mnie; wymierzywszy fatalnie, ciął w korę dęba i zarwał kawał mojej lisiurki, bom się wygiął ze strachu w przeciwną stronę. Chybiwszy mnie, spostrzegł przywiązanego konia i z tym samym impetem uderzył na niego. Jak sobie poradził mój rozumny koń? Naprzód począł targać trężlę, a gdy się nie oderwała, rozkroczył się, przysiadł na nogach, w chwili zaś zbliżenia się kłów do brzucha, stanął dęba i wyprostował się pionowo. Każdy przyzna, iż manewr ów nie był bezmyślnym, a ja sobie wdzięczny byłem, żem konia wysoko przywiązał do drzewka, bo niżej przywiązany byłby kiszki na kłach zostawił. Gdy do niego przybiegłem, trząsł się jak w paroksyzmie febry, a po chwili był cały potem oblany. Nie mogłem wsiąść na trzęsącego się

konia, więc piechotą pogoniłem za zuchwałym odyńcem, idącym w tropy wczorajszego warchlaka. Pomimo widocznej płucowej farby, tak mnie ona i tropy warchlaka i odyńca obałamuciły, a może też i moje rozgorączkowanie było tego przyczyną, że, jak to chłopi mówią, *obłęd mnie opanował,* i z labiryntu tropów wydobyć się nie mogłem. Wreszcie nadjeżdża mój nadleśniczy, a wysłuchawszy opowiadania i widząc farbę, świadczącą o śmiertelnym postrzale, rzekł ku wielkiej mojej radości: «On już leży, bo i psów nie słychać». Po naradzie postanowiłem dalej sylabizować tropy, a jemu poleciłem objechać miot i w razie wyjścia odyńca dać mi znać trąbką. Chodzę i błądzę jak dusza w czyśćcu, wkońcu znajduję trop ciągle farbą znaczony, już więc łudzę się nadzieją dojścia nieżywego odyńca, gdy wtem słyszę głos trąbki, oznajmiający przejście dzika do drugiego miotu. Już słońce zachodziło, światło dzienne mroczyć się poczynało, a tu jeszcze tyle pracy miałem przed sobą. Powróciłem do Siwka, pomimo bronienia się i forkania wsiadłem na niego i pośpieszyłem za głosem trąbki. Gdy nadjechałem, wskazał mi nadleśniczy klinek młodej dębiny gęsto podszytej, w którą wszedł odyniec. W przekonaniu, że taki matador w małym kawałeczku lasu na śmierć się nie ułoży, mając zapewnienie, że nadleśniczy tego klina nie objechał, kazałem mu obciąć gęsty

zrąb na drugim pagórku, sam zaś na mocno zmęczonym koniu jadę pod dębinkę i śród gęstej tarniny przy samej łące, którą jechałem, widzę czarną dużą kupę, ponieważ jednak mrok już zapadał, nie mogłem rozpoznać, coby to było, więc pojechałem dalej szukać wychodnego tropu. Gdy dolazłem do końca tego klinu, zobaczyłem ślady pobojowiska, rozliczne tropy dzika i psów, oraz dosyć farby jasnej i ciemnej, objechałem łąkę i przekonałem się, że dzik nie wyszedł z tego malutkiego miotu, więc tu być musi, a psy gdzieś przepadły. Dobrze to przysłowie mówi: «*Kogo Pan Bóg chce ukarać, rozum mu odejmie*», na myśl mi nawet nie przyszło, że ta czarna kupa, od której na metr przejeżdżałem, może być martwym dzikiem. Mój Siwek znużony ledwo lezie, potrząsając uszami z głową i w myśli niezawodnie narzekając na namiętność swego pana, mnie zaś markotno, że ani psów ani moich myśliwych przy sobie nie mam. Do zrozumienia całego epizodu trzeba jeszcze dodać, że leżałem prawie na szyi konia, aby tropu nie prześlepić, a koń szedł ze spuszczoną do ziemi głową bez cugli. Nadjeżdżam po raz drugi nad czarną kupę i gdy ją mijam, podnosi się potwór z trzaskiem i fukiem, ja konia łydkami i nogami prę, ale memu Siwkowi ani w głowie zmienić swój żółwi krok, a widocznie dzika nie słyszał, bo byłby napół żywy jeszcze galopem uciekał. Co

się ze mną działo, opisać trudno, i co dzik dokazywał ztyłu, wiedzieć nie mogłem, bo koń zachwiał się, zgięły mu się kolana, ja spadłem na głowę jego, a gdy po chwili Siwek jakoś się ocknął i wyprostował, znalazłem się znowu w siodle. Zwracam głowę i widzę olbrzymiego dzika, wracającego chwiejnym krokiem do tarniny. Złożyłem się, strzeliłem, dzik się potknął, lecz idzie dalej, zeskakuję z konia i strzelam po raz drugi, poczem odyniec siada i kłapie zębami. Po tylu wzruszeniach już siły mnie opuściły i nogi odmówiły posłuszeństwa, siadłem, a tymczasem nadbiegł nadleśniczy i dobił dzika. On patrzał na ten cały dramat, a nie mógł mnie ratować i potem mi opowiedział, że odyniec wolno wszedł między tylne nogi konia i widocznie usiłował rozpruć mu brzuch, lecz koń był za wysoki, więc po kilku daremnych wysileniach cofnął się, odwrócił i poszedł w las. Trudno było stanowczo wyrzec, kto z nas obu większym był przejęty strachem i wzruszeniem, gdyż towarzysz pewny, iż patrzy na ostatnią moją godzinę, był blady jak trup, a trząsł się jak zwiędniały listek jesienny. Teraz też przypisywałem moje nieszczęście śpiczastym kulom, mam bowiem przekonanie, iż odyniec byłby od okrągłej kuli zginął na miejscu, pomimo wysokiej rany, ale zawsze jeszcze w komorze. Siwkowi po tej awanturze jakby urosły cztery świeże nogi, więc połączywszy się z kla-

czą nadleśniczego, pobiegł cwałem w las. Niemiłe było nasze położenie i zaiste nie do pozazdroszczenia, noc już ciemna zapadała, byliśmy bez koni, bez sanek, o milę od domu oddaleni, z próżnemi żołądkami, bo bez pożywienia od rana, a do tego dawało się czuć strudzenie we wszystkich członkach nie do opisania, szczególniej w moich kolanach. Dźwignął mnie towarzysz i podtrzymując doprowadził do domu o godzinie 10-tej wieczór. Zastałem nader sympatycznego znajomego, czekającego na mnie, więc przy wesołym i trochę oblanym obiedzie on mi zazdrościł tej awantury, ja zaś bynajmniej nie pragnąłem powtórzenia jej. Nazajutrz pojechaliśmy wszyscy na pobojowisko zabrać odyńca i robić obławę na konie, które w przerażeniu zapchały się w niedostępny gąszcz i tam przez całą noc marzły do rana.

W Stryjskim obwodzie polowaliśmy kilka razy na trzechletniego odyńca, doskonale obznajomionego z polowaniem, przy najlepszym bowiem wietrze uderzał on groźnie i walecznie na nagankę, przebijał się i uchodził, nawet strzały go od tego manewru nie wstrzymywały. Niepodobna było dostać tego dzika, a że koło Żórawna pewien dzierżawca posiadał trzy kundysy, złe jak czarty i na dzikach zaprawione, przeto nabyliśmy je. Odyniec, pewny siebie, lekceważąc obławę, powrócił po kilku dniach do obranego barłogu i oblęgł. Z wiel-

kiem zadowoleniem dowiedzieliśmy się o tem i pojechali na dziarskich koniach do lasu, ja, na moje nieszczęście, na ogierze butnym wschodniej krwi, który wcale nie uspokajał mojej krwi i ręki. Puszczono te trzy szatany psie do barłogu, a odyniec wolnym krokiem defiluje przed nami, jakby urągał, i wychodzi skrzydłem na strumień i leśne łąki. Dosiadam mego lansadującego rumaka i jadę za psami, ale bez chłopaka dodanego mi, który gdzieś się zapodział na moje nieszczęście. Jego nieobecność była powodem utraty psów, bo z konia wielkiej wartości nie mogłem strzelić, ani też go samopas puścić. Nieustraszony odyniec i doświadczony widocznie lekceważył sobie nas, psy i całe polowanie, wykąpał się swobodnie w strumieniu, wyszedł na brzeg, otrząsł się kilkakrotnie, a zmierzywszy okiem psa, uderzył nań i zabił, drugiemu rozpruł wnętrzności, a trzeciemu uciął jak brzytwą tylną nogę wobec mnie i tańcującego konia, który doprowadzał mnie do ostatecznej niecierpliwości, nie dozwalając mi swoją niespokojnością ani psów ratować, ani ich pomścić. Te trzy znakomite cięcia, zadane w jednej minucie, przejęły mnie niemałem zdziwieniem, i dziś jeszcze widzę tego zaiste wyjątkowego dzika, patrzącego spokojnie na pokonane psy, jakgdyby się zastanawiał, czyli któremu z nich nie trzeba będzie zadać nowego cięcia, a potem kroczącego najspokoj-

niej po zarosłych, okiem nieprzejrzanych łąkach. Odciąłem psu nogę, wiszącą na skórze, był to ów dzielny później Śpiewak, mój trójnogi nieoceniony tropowiec. Czyli ów waleczny dzik zginął później, nie mogłem się dowiedzieć, ale do swego ulubionego barłogu już nie powrócił, a we mnie dziś jeszcze kipi krew pragnieniem zemsty.

Jak wyżej już wspomniałem, zwierz jeden od drugiego różni się charakterem, zwyczajami, a niekiedy ma zupełnie wyjątkowe chody, żerowiska i kryjówki. Doniesiono mi, że w Korczynie nad samą wsią bywa codzień odyniec, wyrządza znaczne szkody i że na kilku urządzonych polowaniach nie zdołano go zabić. Wyprawiłem się na tego dzika w końcu sierpnia i puściłem w tę małą olszynę tropowca, a sam stanąłem od wyższych gór, dokąd zawsze dąży grubszy zwierz, jako do pewnego *asilum*. Nie zawiedliśmy się, odyniec oszczekany i napędzony minął nas i poszedł z psami w góry. Dzień był śliczny, droga mszasta do jazdy, atmosfera smolna, szpilkowa, balsamiczna, śpiew dziewcząt pasących bydło, gra chłopców na fujarkach, klekotanie dzwonków u szyi bydła, niebo czyste i jasne, tło lasów niebieskawe, odblask promieni słonecznych, łamiących się na stożkowatych górach, wyziewanie, parowanie z ziemi nocnej rosy, podnoszące się jakby gazowa kurtyna — to wszystko

tworzyło uroczy i wspaniały obraz. Lekko mi było w duszy, umysł swobodny, radość w sercu. Dzik, pomimo, że się wychował, jak twierdzono, śród ludzi, przeczuł niebezpieczeństwo, szybko więc w prostej linji posuwał się ku górzystym lasom. Nie było czasu do stracenia, gdyż na czarnej jedynie głos psów mnie prowadził i gdyby były psy zaszły za pagórek pierwszy do jaru, już moje polowanie byłoby stracone. Miałem wtedy doskonałą klacz, istną artystkę w gimnastycznych ruchach, więc przeskakiwałem lekko kłody i leżaki, a barykady z łomów utworzone przełaziła klacz moja jak gazela. Dotarłem wreszcie do polanki świerkami zarosłej i do naszczekujących psów. Podkradam się więc pod psy, które widzę rozsrożone, ale dzika przy nich niema. Czary czy omamienie, — cóż się z nim stało? Była tam miejscowa, prześliczna suka, wielkości niemal jałówki, zażarta i odważna, ta najeżona naszczekiwała na leżącą czarną kłodę olbrzymich rozmiarów i nasunęła mi myśl, że dzik uśmieścił się pod tą barykadą, aby zadu swego bronić. Odwodzę kurki i obchodzę ostrożnie dokoła kłodę, lecz dzika nie widzę, rozpatruję się nanowo i spostrzegam sukę zbliżoną do czarnego otworu, istnej pieczary smoka, szczekającą. Zbliżam się do niej, wyginam się, zanurzam wzrok w głąb tego dziupła, lecz nic dostrzec nie mogę. Reszta psów, ostrożniejszych

wprawdzie, w większem oddaleniu, ale niemniej zajadle szczeka na ów otwór. Widocznie wcisnął się odyniec do środka, czego jeszcze pewnie nikt nie widział i nie przypuści, aby takich rozmiarów zwierz mógł się zapchać głęboko w dziupło drzewa leżącego. Zamiast stanąć na boku, pukać w kłodę i czekać wysuwania się odyńca, włazi mi w głowę arcygłupi koncept wypędzenia dzika chodzeniem po kłodzie. Czart mnie do tego skusił, trzeba bowiem wiedzieć, że był to leżak zgniły, śliski, jakby mydłem posmarowany, a do tego sękaty i nader niebezpieczny. Włażę nań od przeciwnego końca, balansuję jak skoczek na linie, chwieję się, spadam, znowu wyłażę z uporem głupca, bo już też próżne wysilenia mogły mnie były przekonać, że pewny chód po tej kłodzie jest niemożliwy, lecz ja z zagwożdżoną w tej chwili głową idę dalej, a gdy doszedłem do połowy drzewa, słyszę pod sobą łomot i trzask, składam się więc, będąc pewnym, że dzik wyrusza, ale w tejże chwili tracę równowagę i spadam na twarz. Odyniec jak strzała przeszył złaję psów i popędził ku rzece, przepłynął ją i począł się drapać pod strome ściany, ja pędzę za nim z psami, lecz pogoń ta była bezskuteczną do samego wieczora i musiałem porzucić dzika, którego miałem pod sobą na cztery cale.

Dziki doskonale pływają i prądu wody nawet bystrego się nie boją, często nawet prze-

pływają Dniestr, Prut, Bystrzycę, Świcę, Sukiel, Stryj i mniejsze rzeki, o innych zaś nic powiedzieć nie mogę, dalej bowiem moje doświadczenie nie sięga. Odyniec w wodzie jest okazały, podnosi grzywę, strzyże uszami, najeża czub i trzęsie ogonkiem ponad zwierciadłem wody, pruje ją szybko, prąd mało go unosi, a gdy na brzeg wychodzi, wypoczywa po wielkiem widocznie wysileniu, otrząsa się kilkakrotnie i po chwili rusza w dalszą drogę. Przeciwnie ciężkie samury płyną wolno, nigdy nie przepływają w prostym kierunku, bo woda je unosi, małe zaś rechtając kładą na starsze ryjaki swoje lub jeden na drugiego i tak w kupie płyną. Znałem duże stado, czyniące znaczną szkodę, przeprawiające się w tem samem miejscu przez rzekę w nocy i powtarzające ten manewr znowu rano z powrotem do głębszych lasów. Czyniły to przez trzy miesiące aż do zimy, a my nie mogliśmy temu przeszkodzić. W listopadzie poczęła się woda przy brzegach ścinać więc musiały lód racicami łamać. Opowiadano mi, że stare, zapędziwszy wtył warchlaki, łamią lód naprzód przedniemi potem tylnemi nogami, powracają na brzeg i znowu dla dzieci robią koryto, dopiero gdy przeprawa ubezpieczona, wołają warchlaki i rzucają się wpław. Rozumne te i ostrożne dziki chodziły do pszenic, jarego zboża, kukurudzy, wkońcu do dębiny gęsto podszytej ze zwartemi młodnikami,

a nigdy tam nie obległy, widocznie omijały miejsce i okolicę, gdzie szkodę robiły. Polowaliśmy na nie z psami i na zasiadkę, a nigdy żadnego nie można było ubić, a ile razy psy przytrzymały warchlaka, to stare go obroniły i psy nam poturbowały.

Stada zalęgają prawie zawsze w gąszczach, odyńce mają swe wyjątkowe zwyczaje, często w staropniowym lesie, rzadkim, układają się w jarach lub pod kłodami, widziałem leżące na stromych ścianach nad rzekami, odzwierciadlających się w wodzie, gdyby który z nich zabity był w takiem legowisku, byłby się niezawodnie do wody stoczył. Ufny w swoją siłę i odwagę, pewny swego słuchu i nadzwyczajnego wiatru, układa się odyniec często w miejscowościach pełnych życia i ruchu. Gdy się dziki cisną do stożków i kopic siana, to jest to zapowiedzią srogiej zimy, zawieruch i silnych mrozów. Był to zawsze nieomylny termometr, a nieraz w życiu go badałem, nawet w roku, w którym spisuję moje wspomnienia już w grudniu zastałem w jednym kopiaku cztery warchlaki, jak się zdaje, osierocone, w drugim samurę z młodemi i dwoma większemi sztukami. Badanie tych zimowych kryjówek wielce jest zajmujące, więc je tu opisać muszę. Już wspomniałem o tym ogromnym odyńcu tak twardo leżącym w kopicy, że dozwolił mi na kilka kroków do siebie przyjechać pomimo

hałasu z łamania kopytami lodu. Wygonione z tych ciepłych i miękkich barłogów są złe, najeżone i gotowe do walki, widocznie nierade opuszczają te wygodne legowiska, podobnie, jak ludzie, wypędzeni w zimnym pokoju z ciepłego łóżka.

W Samborskiem polowałem w mroźny czas, rozstawiwszy myśliwych, sam musiałem stanąć na kraju lasu przed brogiem, w którym mogło być dwadzieścia fur siana, nakrytego i związanego gałęziami. Miałem wtedy tropowca namiętnego do dzików, był zacięty i chciwy, a zawsze pomrukiwał lub piszczał na tropie wiodącym do barłogu, kiedy już zwietrzył dzika. Otóż słyszę dobrze mi znane pomrukiwanie, widzę psa, idącego na ten bróg, wreszcie naszczekującego na siano. Zdziwienie moje było niemałe, bo nie spostrzegłem żadnej dziury w brogu. Po chwili wyskoczył z niego odyniec i popędził na mego sąsiada, który go celnym strzałem powalił. Poszedłem obejrzeć kryjówkę dzika, wydrążenie było tam na dwa metry wysokości, a najmniej na cztery długości, sklepione u góry, wysłane i czyste na dole. Zadawałem sobie pytanie, jak też dzik ów otwór wygrzebuje, ryjem czy nogami, lecz nigdy tej zagadki rozwiązać nie umiałem i pojąć nie mogę, co z wyrzuconem sianem się dzieje, któreby go zdradziło, a w lesie wiatr go przecie roznieść nie może. Zagadka ta o tyle cie-

kawsza, że usunięte siano, sądząc po próżni, musi ważyć najmniej 40 funtów. (Czy też się poprostu siłą i ciężkością swoją nie wgniatają w środek siana? P. R.). — Warchlaki zakopują się w sianie, samura leży bez przykrycia. Nic pocieszniejszego, jak stado w kopicy z psami naszczekującemi przy otworze, duet głosu psów i rechtanie warchlaków trwa czasem kilka minut, bo dziki boją się wyskoczyć. Zdarzało mi się znachodzić stado w kopicach niebardzo osiadłych, wtedy istotnie w pierwszej chwili trudno strzelić z powodu unoszącego się w powietrze siana, które, gwałtownie wyruszając, roztrzęsają na cztery wiatry. W r. 1859 polowaliśmy w Stryjskiem na dziki, otropione w kopicach na łąkach z kilku drzewami. Do pomyślnego rezultatu w takim razie niezbędnym jest świeży, miękki śnieg, zsiadły bowiem i twardy chrupie pod nogami i często dzik się wymknie, nim strzelec dojdzie do kopicy. Strzał do wyskakującego dzika z siana na czystej łące pozornie zdaje się być łatwym, przeciwnie nader jest trudnym, gdyż wypada z niesłychaną szybkością poza kopicę, a przytem miota wkoło siano w powietrze. Jednego nawet nie pamiętam zabitego w chwili wyskakiwania z kopicy, zawsześmy tylko postrzelili, następnie obcinali, gonili lub szczuli psami. Raz wypędzone ze stogów dziki już do nich nie wracają, zasmakowawszy w polowaniu tego

rodzaju, bacznie obserwowałem kopice przez całą zimę, ale bezskutecznie.

Tropienie dzików jest osobną, zawiłą nauką, wymagającą pamięci, wytrwałości i ścisłej baczności w pochodzie, nadto niemałej wiedzy myśliwskiej. Do dokładnego tropienia koniecznem jest wiedzieć, gdzie dzik dniem przedtem leżał, można bowiem nawet na ponowie znaleźć wchodny i wychodny trop, a jednak nie być pewnym, czy oblęgł na prawo lub na lewo. Tropiciel musi mieć na względzie porę roku, temperaturę, bo inaczej obchodzi dziki na miękkim, inaczej na zamarzłym śniegu, musi obok dokładnej znajomości lasu wiedzieć, którędy obcinać może, aby obtropić w jak najmniejszym ostępie, a nie ruszyć dzika. Podstawą jednak jest dokładna znajomość barłogów, szczególnie stad, które niechętnie je zmieniają, należy więc na wiosnę i w porze zabronionego polowania poznać ulubione i wybrane miejsca, do których zawsze powracają. Nawet odyniec miewa kilka barłogów gotowych i innych nie robi. Obserwowałem przez lat kilkanaście lasy kilku tysięcy morgów rozległości, zawsze w nich dziki w tych samych miotach zalęgały. Tropienie jest najtrudniejsze w czasie hukania, gdyż wtedy nietylko ciągle chodzą, ale wracają w tropy, tropiciel więc musi zawsze, a szczególnie w tej porze, zapisywać lub karbować tropy wchodowe i wychodowe, i dopiero

skombinowawszy ilość ich i porównawszy je z sobą przekonać się, których jest o jeden więcej. Dokładna znajomość barłogów jest z tej jeszcze przyczyny niezbędną, że ona jedynie daje możność obtropienia bez ruszenia zwierza, a przedwczesne płoszenie dzików i niedokładne obtropianie najbardziej dokuczało nam w naszym zawodzie myśliwskim. Niejeden leśniczy lub gajowy ugania z szczerem poświęceniem przez dzień cały bezskutecznie za tropami po wszystkich miotach i zaledwo nad wieczorem wytropi dziki, gdy już niema czasu do polowania; gdyby znał, jeżeli się tak wyrazić mogę, dzicze mioty, toby nóg nie strudził i dziki na czas obtropił. W moich lasach w Brzeżańskiem, na 3000-morgowej przestrzeni było pięć miotów, w których oblęgały dziki i znaliśmy wszystkie barłogi, wyjątkowo tylko czasem oblęgł odyniec w innym miocie, więc też ginęło każdej zimy po kilkanaście. Inaczej rzecz się ma z wędrującemi i migrującemi za żerem dzikami, te, nie znając miejscowości, układają się tam, gdzie ich znużenie do odpoczynku zniewoli, wtedy i w obszernych lasach musi tropiciel tropicielowi oddawać trop do dalszego prześladowania. Na ten cel w pewnych wekslowych przesmykach stoi słup z dziurami, a leśny, przyszedłszy do niego, wkłada biały lub czarny kołek, pierwszy gdy dzik przeszedł, drugi gdy go wcale niema. Słup

ten i tę przynosi korzyść, że leśniczy i właściciel lasu, porachowawszy kołki, jest pewnym, że wszyscy tropili na całej przestrzeni lasu. To, co tu powiedziałem, dotyczy miotów niezmienionego drzewostanu, rzecz naturalna, gdy las wyrąbano, to dziki na czystem polu nie oblęgną. Polowałem w bardzo obszernych lasach przez lat jedenaście i przekonałem się, że dziki jedynie w kilkunastu miotach spoczywały, a w innych nie zalęgały nigdy. Gdy żer mają obfity, a w bliskości gąszcze i jary, wtedy obierają sobie świeże barłogi, lecz te łatwo wykryć można na pierwszych śniegach, a dziki przestaną w nich, jak długo żer wystarcza. Wędrówki dzików są zagadkowe i niezawsze zależą od pożywienia. Bywają lata, w których z gór schodzą i idą kilka i kilkanaście mil płaszczyzną, w innych latach srogo biedują, a jednak górskich siedzib nie opuszczają. Przypominam sobie kilka lasów, gdzie było po kilkadziesiąt dzików dobrze przezimowanych, zdawało się, że się z nich setki potworzą, a jednak przeciwnie się stało, bardzo mało z nich pozostało. Bywają też miejscowości przypadkowo przez dziki nawiedzane, w których dawniej nigdy nie bywały. Dziki mają niepospolitą pamięć i przezorność z niej wynikającą. Przypominam sobie stado, złożone z 17 sztuk, mianowicie z dwóch odyńców, dwóch olbrzymich rozmiarów samur i z 13 rosłych warchlaków.

Towarzystwo to żyło z sobą w zgodzie, razem się trzymało i niemałą mi w grochu czyniło szkodę, stoicznie ją wszakże znosiłem do pierwszej ponowy, na której zginęły matki, a byłby i odyniec padł, ale ocalił go brak odwagi u jednego z moich towarzyszów. Dziki te wyrosły i błąkały się przez trzy lata w sąsiednich lasach, nigdy już u mnie nie oblęgały, a gdy konieczność zmuszała je przechodzić przez moje lasy, szły szurkiem i nie zatrzymywały się wcale.

Ulubione i wybrane przez zwierzynę miejsca do spoczynku można rozpoznać i korzyści stąd odnosić bez unużenia. Setki kotlin zajęcy znałem, do których z ciekawości jeździłem na koniu i chodziłem śledząc, czy są zajęte, zawsze upatrywałem w nich zająca, setki takich zajęcy wystrzelałem i znowu były zajęte. Rewiry kuropatw cechują się tą samą właściwością, kto ich nie zna, będzie się bezskutecznie męczył i najczęściej kuropatw nie znajdzie. Przekonałem się nieraz, że na przestrzeni pięciu do sześciu tysięcy morgów było ledwie 300 do 500 morgów zamieszkałych przez kuropatwy i na tych je tylko należało szukać, łapać i strzelać, na innych zaś polach nigdy ich nie bywało. Twierdzenie to moje odnoszę jednak tylko do św. Michała, później bowiem zmieniają pole i szukają zasiewów ozimych. Nawet przepiórki mają swe rewiry lęgowe

i podczas gdy zabijałem i łapałem po 600 i 800 przez lato na mojem terytorjum, to na tysiącach morgów innych było ich nader mało. Również chruściele trzymają się stale wybranych miejsc, tu wszakże przeważa wzgląd wilgoci, wyschłe miejscowości opuszczają, nie mogąc żyć bez wody. Dziś nawet mogę napewne wskazać łąkę, gdzie niezawodnie siedzi chruściel, równie też drugą, na której od lat dwudziestu gnieździ się ich para, pomimo, że je co roku wystrzelam. Te barłogi, kotliny, siedliska usprawiedliwić można tylko szukaniem wygody, bezpieczeństwa, żeru, jakoteż dogodnemi atmosferycznemi warunkami. Lisy, jak inne zwierzęta, mają również pociąg i przywiązanie do pewnych jam i rewirów. Niektórzy myśliwi twierdzą, że czyste i wygodne mieszkanie je ku sobie pociąga, kto jednak zbadał, jak szybko lisy wykopują sobie jamy, ten jest przekonany, że taka praca pewnie go nie odstraszy. Wszak widujemy lisy, srogo biedujące w starych jamach wywodowych po wycięciu chróstu lub drzewa, a przecież ich nie opuszczają, mimo odkrytego pola i niemożności wychodzenia za dnia, a często i powracania do domu z pożywieniem dla lisiąt. Ciekawszem jeszcze jest, że wygryzione i wyszczute, wystrzelane i wytrute, wnet w tychże samych jamach bywają zastąpione przez inne lisy, co stwierdziłem w ciągu wielu lat.

Myślistwo jest wdzięczną nauką dla umysłów badawczych i wielce korzystne, gdy bywa umiejętnie prowadzone. Krocie zdarzeń niepodobnych do prawdy, epizodów wyjątkowych i wzruszających, krocie niespodzianek i rozkoszy wieńcem otaczają pamięć myśliwego, który myślą ożywia je w najsędziwszej nawet starości, a jak za młodu duszą i ciałem polował, tak w późnym wieku, gdy krew w żyłach stygnie i siły upadają, w żywych obrazach swych wspomnień myśliwskich żyje i działa, dokąd zasłona śmierci nie zakryje na wieki tych uczuć i wrażeń. Dziś jeszcze po latach wielu mógłbym żywo naszkicować obraz owych jarów, drzew, gąszczów, postaci zwierząt łownych, psów i ludzi, które w ważniejszych polowaniach utkwiły mi na zawsze w pamięci. Iluż to miłych towaszyszów, ilu znakomitych myśliwych, ile wkońcu dzielnych psów zaległo stale w mej myśli. Nie mała liczba sprytnych i zawziętych ogarów, rozumnych wyżłów, śmiesznych postaci, przepysznych krajobrazów, wspomnień głodu i trudu nad siły, rozkoszy wypoczynku i posilenia, błądzeń po lasach, powrotów nocnych — to zaiste nader zajmująca księga, pełna obrazów, którą nieustannie rozpatruję, karty w niej przewracam i żałuję, że już drugiego tomu tego myśliwskiego dzieła mieć nie będę. Lata biegną, ale namiętność myśliwska najwyższa ze wszystkich, nie ostyga, zawsze pędzi w pola, na ba-

gna, do lasu, zawsze ubarwia mi życie wspomnieniami niemniej przyjemnemi, jak dawniej. Często drzewo, grupa pni, jary i debry, kępiny lub zarośla, smugi, trzciny, tajemnicze głosy borów, wzruszający szelest zbliżającego się zwierza, wabienie ptaka, pracowite kucie dzięcioła, hukanie sów, beczenie rogaczy, budzi w mej duszy wspomnienia dawnych zdarzeń myśliwskich, wysnuwa powabne obrazki, bawi, wzrusza, wywołuje tęsknotę za przeszłością wobec tak odmiennej teraźniejszości. W takiem marzeniu pogrążony stałbym godziny i dnie całe na miejscu, byle się tylko nie rozwiały owe sny złote, przywodzące szeregiem zdarzenia i postacie z życia mego myśliwskiego. Dla mnie każde polowanie ma urok i powab, każde jest balsamem dla smutnej myśli, odtrąceniem nasuwających się chmur, zrzuceniem trosk, wzmocnieniem ducha i ciała. Gdyby jakiemś fatalnem zrządzeniem zabrakło zwierzyny, polowałbym w ostateczności na pośmieciuchy, lubo szczerze kocham te patrjarchalne ptaki. Wszak polowanie na grubego zwierza z psami, to zaprawdę rozkosz iście rycerska, to walka, która upaja, rozbudza wzruszenia nie do porównania z innemi, a owa różnorodność, nieskończoność niespodzianek radosnych, smutnych i żałobnych, te zawody i powodzenia, zwątpienia, posądzania, niepewności, gorączkowe oczekiwania, triumfy i upo-

korzenia, te guzy, sińce i rany, spotkanie z towarzyszem po długiem błądzeniu, powrót radosny do ludzi i rodziny, do pracy i odpoczynku — to wszystko jest prawdziwą wonią, rozkoszą i ozdobą życia. Więcej powiem, dla krewkości młodzieńczej myślistwo jest najodpowiedniejszą aperturą, ono od wyuzdanych porywów powstrzymuje, gorące zapędy koncentruje w jeden punkt, daje możność wyszumienia się szałowi młodzieńczemu bez uszczerbku sił i fortuny, niejednego młodzieńca odwodzi od demoralizujących stosunków i towarzystw, rozbudza uczucia moralne, a nawet estetyczne zamiłowanie do badania przyrody, wyrabia odwagę, zimną krew, uczy ostrożności, hartuje ciało, wyplenia z duszy chorobliwe fantasmagorje i przygotowuje młodzieńca do przyszłych walk w życiu. Oby Hubert i Diana wzięli w opiekę dorastającą naszą młodzież, bo w takim tylko razie wychowa się ona na ludzi silnych i ochoczych do produkcyjnej pracy i do twardej walki tak z własnemi ułomnościami, jakoteż z chorobami dzisiejszej dziejowej chwili!

Olejów, 19 marca 1880.

WSPOMNIENIA O WILKACH

Przeczytawszy w pierwszym numerze «Łowca» zajmujący opis łowów na wilki, skreślony przez Wójcickiego, — poczęły mi się snuć w pamięci niezliczone wspomnienia o tych drapieżnych naszych zwierzętach.

Nie trzeba nam myślą sięgać w dawne wieki, ani szukać dziewiczych lasów lub puszcz i w naszem stuleciu znaczna ilość wilków dziesiątkuje jelenie i sarny, a napada ludzi bezbronnych. — Nie mówię już o zabranych naszych krajach, przepełnionych wilkami, zapraszającemi się wyciem na herbatę do dworów, wykradającemi źrebięta, świnie i owce ze stajen, — lecz wkoło nas bez przerwy niszczą zwierzynę i wyłącznie są przyczyną, że w górach z każdym rokiem jeleń szlachetny staje się coraz rzadszym zwierzem, a jeżeli kameralne władze pozostaną, jak dotąd, obojętne na mnożenie się wilków, śmiało wyrzec można, że jeleń powędruje za bobrem i zostawi nam jedynie wspomnienie. — Za moich młodych lat jelenie zamieszkiwały jeszcze niższe góry

w Stryjskiem i w Stanisławowskiem, na dowód przytoczę, że ubiliśmy łanię w Korczynie w roku 1849, a w r. 1856 w Dorze, koło Delatyna, trzechletniego jelenia z pięknym wieńcem na głowie. — Dziś przestraszony jeleń drapieżnością człowieka, niszczącego jego zacisza, cofnął się ku szczytom gór i zamieszkał pod połoninami, wśród nieprzystępnych łomów i zwalisk, — barykad takiej wysokości, że i rewolucjonista paryski zapragnąłby takowe na bulwarach postawić. — W tych to miejscowościach gromadzą się okoliczne jelenie i wspólnie zimują, założywszy sobie koszarę pod drzewami. Tam z pewnością przez zimowe miesiące, ani człowiek, ani pies nie dojdzie, — lecz wilk, sroższy wróg pilnuje tego stada i śmiało twierdzić mogę, że przez zimę jedną trzecią, a niekiedy połowę jeleni rozszarpie. — Wilki czekają na odosobnienie się sztuki i tę pędzą do śmierci, lub też, gdy lodowata powłoka dozwala wilkom biegać po wierzchu, a racice jelenia przebijają śnieg, wtedy to codzień i w nader krótkim czasie porywają jelenia.

Mam w pamięci kilka wypadków powyżej opisanych, lecz nie one mają stanowić treść tej pogadanki.

Działo się to w roku 1843 w okolicy Miechowa, gubernji radomskiej, leśnej i przepełnionej wilkami. Sroga i twarda to była zima z głębokiemi śniegami. Wtedy to jeszcze gdzie

niegdzie napotykaliśmy tych starych myśliwców, istnych wolnych strzelców, ze skarbami tajemnic łowieckich, — znałem w życiu mem zbliska trzech takich, którzy mej pamięci do tej chwili towarzyszą. — Były to typy dziś zatraconych łowców, z nimi zaginęły skarby dla myśliwych i to niepowrotnie, z wielkiem więc zadowoleniem przypominam sobie ich opowiadania i powierzone mi środki do ułatwienia polowania. Kasper, towarzyszący nam w tej wycieczce, był z nich trzech najznakomitszy myśliwiec dawnej daty, istny czarnoksiężnik i czarownik, ideał dla mnie myśliwego, — dziś mi się jeszcze zdaje, że Kasper byłby wyłudził połowę mojego majątku, bo magnetycznie mnie do siebie przykuwał. Niby szlachcic na zagrodzie, niby mieszczanin, a z charakteru przebiegły chłop, — twarz ogorzała, wydatne rysy, bystre oko, pinczowate siwe wąsy, obrzednie włosy, krępa postać, nosił w lecie płótniankę, w zimie kożuch, a na paradę wdziewał długą, zieloną kapotę z czarnemi pętelkami, zawsze miał na sobie długą, borsuczą torbę i dubeltówkę ciężką, złożoną z karabinowych luf francuskich. — On to zwabiał młode wilki, on w styczniu za sobą prowadził wilki w czasie tyczni, jak ich niewiele było, na cienie zwabiał cietrzewie i takowe strzelał, łowił na sidła i sieci jakie kto chciał ptaki, a na żelazka i cewki zwierzynę. Wiedział o zwierzu, gdzie się lęgnie,

któremi drogami chodzi, jaką miejscowość zamieszkuje i w jakiej porze roku. Umiał fuzją zażegnać, i takowa nic nie zabijała, i odżegnać, rozdawał na polowaniu spotkanie ze zwierzem, lub też myśliwy nic ujrzeć nie mógł. Jednem słowem, był to jasnowidzący myśliwy i wszyscy uznawaliśmy w nim wyższość, myślą naszą nieobjętą, — miał więc posłuch i zaufanie. Chodził, gdyby wieczny żyd, wiek jego nieodgadniony, w manierce czerpał często i chciwie, wszakże pijanego nie przypominam go sobie, strzelał celnie i spokojnie, strzelbę na polowaniu miał zawsze w pogotowiu, a gdy strzelał, zawsze coś mruknął, lecz tych słów nigdy posłuchać nie zdołałem, ani też Kasper powierzyć mi ich nie chciał. Ongi służył po dworach i dostarczał zwierzyny, później służył za podleśniczego, nareszcie kupił sobie grunt z domkiem i był do dyspozycji myśliwych, gdy go zaprosili. Żywy jego inwentarz składał się z jednego srokatego pieska ostruszka, niby to mały wyżełek, niby kundys, lecz do każdego użytku. On mu ptaki wystawiał i do sieci gonił, on napędzał zające, lisy i sarny, on sam stanowił dziki i nigdy pociętym nie był. — Scharakteryzowawszy, o ile mogłem, postać Kaspra, dodać muszę, że był olbrzymiej siły i zimnej odwagi, niemało zabił wilków i niemało zabrał wilcząt w swem życiu.

Działo się to 13 stycznia 1843 roku, mróz

był trzaskający, niebo zaiskrzone, księżyc rzucał światło dostateczne. O godzinie 9-tej wieczorem wchodzi Kasper i oznajmia, że sanie zaprzągnięte i że prosiak uwiązany, lecz wydawał się nam zachmurzony i niegadatliwy. — Zapytałem go, czy wczoraj zawabił w nocy? — «Oj, zawabiłem, paniczu, lecz zaraz musiałem się drapać na drzewo, a strzelbę na ziemi zostawić, bo tam ich hurma była! Ej, panicze, może być źle z nami, jeżeli się tam cieka kilka wilczyc». — Młodość, płochość nie zna niebezpieczeństwa, więc nas pięciu wesołych siada na sanie, i w rezerwie zabieramy trzy dubeltówki. Śnieg pod saniami skrzypi, konie parskają, a z ust młodzieży sypią się koncepta i dowcipy. Jeden Kasper pozostał milczący i ponury. Dojeżdżamy do lasu dobrze mi znanego, z głębokiemi jarami i z trawistemi porębami, — a po drugiej stronie wysokopienny las. Jeszcześmy nawet prosiaka nie podusili, kiedy nas wilki zwietrzyły, bo wiatr wiał od pola. Zawyło kilkadziesiąt głosów, ciarki nam po skórze poszły, konie stanęły jak wryte i parskać poczęły. Chcieliśmy ruszyć, lecz ani batog, ani głos woźnicy skamieniałych koni do ruchu pobudzić nie mógł, a tu wilki zbliżyły się do nas w odległości do sześćdziesięciu kroków i stanęły lub na zadach siadły na łączce leśnej. Wiele ich było, powiedzieć nie mogę, ani ściśle oznaczyć liczby, widziałem do czter-

dziestu światełek, jak szabasówek, tak się im iskrzyły oczy, lecz to nie było stado zebrane, jak bowiem zawyły różnemi tonami, usłyszeliśmy dokładnie głosy z większego oddalenia i z głębokości jarów pochodzące. W duszy nie było błogo, ręka też spokojnie nie trzymała broni, po chwili ocuciliśmy się z przerażenia i pomału przykładaliśmy broń do twarzy. Wtem Kasper porwał moją strzelbę, kiwnął na mych towarzyszów i cicho rzekł do nas: — «To straszne wesele się tu odbywa, jest do czterdziestu wilków, z pewnością między niemi kilka wilczyc, po zranieniu jednej tylko, noga żywa z lasu nie wyjdzie. Ja z furmanem w rękach poprowadzę konie, panicze niech mają broń w pogotowiu, aby strzelić w razie rzucenia się na nas, a da Bóg ujdziemy, to im zostawię prosię». — Jak powiedział, tak zrobił, konie nawrócone rwać się poczęły, lecz my wolno noga za nogą posuwali się na kraniec lasu, a za nami w tej samej odległości kilkanaście wilków truchtowało z jednym olbrzymim na przodzie. Gdy konie wydostały się na pole, Kasper rzucił prosię i cwałem pojechaliśmy ku folwarkowi, widząc przez długi czas żarzące się oczy wilków. Nie byłem od dzieciństwa tchórzem podszyty, i nieraz z dzikami i niedźwiedziami narażałem życie, nie przypisuję sobie żadnej zasługi, bo mnie tak Bóg stworzył, i zawsze zachowałem zimną krew i przytomność umy-

słu; — lecz tu z pokorą wyznać muszę, że gdy wtedy żarcik wygłosić chciałem, okazało się, że głosu wydobyć nie mogłem. Moi towarzysze z bladością na twarzach, pozostali posępni przez cały wieczór i oznajmili, że z prosiakiem więcej do lasu nie pojadą. — Od tego pamiętnego roku nigdy już nie spotykałem wielkiej ilości wilków razem. W Medenickiem państwie spotkałem raz dziewięć, w Węgrzech koło Eperies (Koszyc) siedm napastniczych wilków. Ja zaś, niepoprawny w mej namiętności, dalej polowałem zapamiętale na grubego zwierza.

W r. 1856, sprzedawszy znaczny majątek, zadzierżawiłem z niego jeden folwark, położony śród znacznych lasów. Wprawdzie mieszkałem pod strzechą w chatce, psy trzymałem w piwnicy, lecz w nagrodę udała mi się w tym roku doskonała psiarnia kundysów. Śnieżna to była zima, wilczyska się włóczyły i szkodę wyrządzały, było ich trzy i pięć, — wyuczyłem był sobie świnię, kwiczącą na zawołania — istna włoska śpiewaczka — do tego stopnia znała swe obowiązki, że poczynała lamentacje, wjeżdżając do lasu. Niewielkie były wprawdzie moje laury na tem wilczem polowaniu, lecz w każdą jasną noc objeżdżałem granice. — W styczniu — dnia sobie nie przypominam — gdy siedziałem w ciepłym pokoju, wpada nasz doktor blady i przerażony i z trud-

nością wyjąknął te wyrazy: «Wilki mnie goniły». Zapytałem, wiele ich było? — Odpowiedział: pięć. Pomyślałem sobie, to moi znajomi, kazałem założyć do sani i pośpieszyłem do wskazanego mi kopca granicznego, gdzie lekarz widział wilki. Pomimo, że *cantatrice* moja śpiewała pełnym głosem, wilka nie spotkałem, a usłyszawszy strzał za granicą, powróciłem do domu. Ten strzał był powodem strasznego dramatu, który się odegrał w lesie Zawałowa. Młody praktykant stanął na znanym wekslu wilków i zaledwie zdołał przygotować broń, spostrzegł pięć drogą sunących wilków. Skoczył za pień dębu, a gdy pierwszy przesuwał się koło niego, strzelił i powalił wilka. W tej chwili cztery wilki straszliwie zawyły, poczęły trupa targać, a zwietrzywszy strzelca, rzuciły się na niego. Upuściwszy strzelbę, począł się drapać na drzewo i z wysileniem nadludzkiem dostał ręką do pierwszego konara i na nim się zawiesił. Gdy mi rano dano znać o tym ciekawym epizodzie, pośpieszyłem na scenę odegranego dramatu i do młodzieńca, który ciężkim tyfusem odpokutował zabicie ciekającej się wilczycy. Śnieg był wkoło na pół metra wydrapany, mech wydarty, kora dęba pazurami i zębami porysowana, widoczne było harowanie i moczenie rozwścieklonych wilków. Dowiedziałem się, że biedaczysko od 10 do 5-tej rano

wisiał na gałęzi, w rzeczywistej męczarni, przy temperaturze 15 stopni mrozu.

Niemal co roku słyszymy gadki o zjedzonym żandarmie i o księdzu, zdawałoby się, że ta część społeczeństwa jest największym przysmakiem dla wilków, wszakże nikt z nas jeszcze nie widział pozostawionych butów po żandarmie, ani też nie był na pogrzebie resztek kapłańskich. O ile więc doświadczenie mnie nauczyło, to wilki nader wyjątkowo atakują w Galicji ludzi, wszakże w czasie tyczni są wielce niebezpieczne. Kilka razy spotykałem wilki po 3, 5 do 7, zawsze mi ustępowały. Wracając w nocy z Karpat węgierskich saniami, zastąpiło nam drogę 7 wilków i pomimo trzaskania z bata, nie ruszyły się z miejsca; strzelby były zapakowane, konie nam się płoszyły, i zanim mogliśmy nawrócić i broń wydobyć, wilki odeszły o kilkanaście kroków i czekały na strzały, których ołów, niestety, zamiast w ciało, poleciał w dalekie strony. Wtedy dopiero cwałem odbiegły i znikły w ciemnościach nocy.

Szkody, wyrządzone przez wilki w zwierzynie, są nie do obliczenia, gdyż nietylko znaczną część pożerają, lecz rozpłoszą na cztery wiatry, w szczególności sarny i jelenie, taki je paniczny strach ogarnia, że biegną bez przytomności, dopóki sił stanie. Dziki dziesiątkują, tu im nie potrzeba męczącej pogoni, lecz sprytu i odwagi, której im odmówić nie można. Widziałem po-

bojowisko na ciepłej ponowie trzech wilków z odyńcem trzechletnim, którego pożarły, nie zostawiając, jak tylko głowę, nogi i kość pacierzową, a z wilków jeden tylko był mocno cięty, jak pokazywała osoka na śniegu. Gdy samura zginie, wtedy śmiało można twierdzić, że wilki, jeżeli się w lesie znajdują, bez przerwy asystować będą warchlakom i takowe pożerać. Myśliwcy mówią: «te warchlaki wilki pasą», co znaczy, że je w twardych zimach do nogi wybierą. Pamiętam z siedmiu pozostały trzy, z trzynastu jeden później przeze mnie ubity, a raz z dziewięciu pięć, reszta stała się pastwą wilków. Wszystkie polowania na wilki, wszelkie obławy, zasiadki i nocne jazdy z prosięciem, doły z kaczką i opłotki, to półśrodki, nieszkodliwe dla wilków, te szkodników nie wytępią, z powodu przebiegłości i ostrożności tych zwierząt, a przedewszystkiem z powodu ich niepojętej czujności i braku potrzeby snu w godzinach dnia. Jeżeli wilk nie obżarty, w dzień nie zaśnie na kilka godzin, lecz siedząc na zadzie drzemie, a przy najmniejszym szeleście idzie do drugiego miotu i zasiada do drzemki. Jedyne skuteczne środki do wytępienia wilków są w wybieraniu młodych wilcząt i truciu takowych ścierwem ze strychniną, lub zaprawionemi zrazikami tą trucizną w czasie zimowym. Kto obrachował szkody, wyrządzone przez wilki w zwierzynie, ten z pewnością nagród ża-

łować nie będzie dla pogromców i nie ustanie w podawaniu do władz, aby się potęgą kameralnego leśnictwa przyczyniły do wytępienia wilków w naszym kraju temi samemi środkami, których użyły na niemieckiej ziemi, gdzie wilk jest już tylko *lupus in fabula.*

SPIS RZECZY

Przedmowa 7
Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach . . . 9
Wspomnienia z łowów na dziki 75
Wspomnienia o wilkach 221